

+

THE
L. L. FRENCHSON

15
El. Orzechowa

WYDANIE JUBILEUSZOWE

J. I. KRASZEWSKIEGO.

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.

POWIEŚĆ BEZ TYTUŁU.

CZĘŚĆ I.

TOM VI.

Wydawnictwo na korzyść Jubilat.

WARSZAWA.

DRUK JÓZEFA UNGRA,

ulica Nowolipki, Nr. 3.

1878.

✓

KOMPUTER

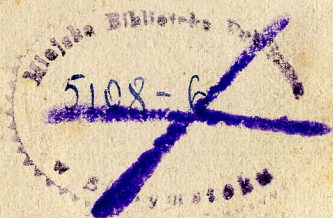


884-3

Дозволено Цензурою.

Варшава, 14 Декабря 1877 г.

821,162.1-311,2



Д. 8.2 15.6.45.

44

POWIEŚĆ BEZ TYTUŁU.

Zdawało się może niejednemu z czytelników, że *Powieść bez tytułu* dla oryginalności jest tak nazwana. W istocie właściwy jej tytuł użyty został zawczasie, i cały ten obraz, z winy ojca wydziedziczony, musiał wyjść bezimiennym... *Powieść bez tytułu* jest to znowu może *Poeta i świat*, ale już ze szkicu na szersze naciągnięty ramy. Pokrewieństwo między temi dwoma opowiadaniem jest wielkie, chociaż i różnica znaczna. Pomiędzy 1837 a 1853 rokiem autor przeżył wiele, nauczył się trochę, zapomniał nie mało, doświadczył do sytu, i z tamtego pierwszego poety czuł potrzebę stworzyć Szarskiego. Obu losy podobne, obu siły niedostateczne, walka ich łamie, nie są jeszcze na wysokości poety, jakiego my dziś we dwadzieścia lat pojmujemy, choć go może nie znajdziemy na świecie.

W *Powieści bez tytułu* maluje się życie ostatnich lat bytu uniwersytetu wileńskiego, schwycone z natury, odwzorowane wiernie; lecz choćby w niem upatrywać chciano osobistości i portrety... możemy zaręczyć, że są tylko typy i charaktery. Pomawiano podobno autora, wytykając palcami postacie powieści, o odmalowanie kilku ludzi... do tego się on przyznać

nie może. Podobieństwa wyszły mimowolnie, nieuniknione... ale nieżądane. Jeden może professor Hipolit, *mutatis mutandis*, z imieniem nawet tém samém, żyje dotąd w Marsylii, i za zdjęty z niego wzorek wcale się nie gniewa... Z towarzyszków ławy akademickiej nikt się nie upomni o podobieństwo z Bazylewiczem i innymi, Bazylewiczów zaś pełno jest zawsze i wszędzie. Są to ludzie, którzy nie mają talentu, ale ich Pan Bóg obdarzył zręcznością wielką, która dla tłumu częstokroć starczy nietylko za talent, umie ona i geniusz zastąpić.

Jak w innych powieściach, tak i w tej widzimy już świat niedzisiejszy, umarły.. uczucia, idee, popędy, wszystko się niesłychanie zmieniło... Jest to historia, lecz historia tych uczuć i myśli, których dziejów nikt nie pisze... Nawet ci, co jak my przeżyli je, rozumiejąc dobrze, iż przez nie przejść mogli, dziś się dziwią po trosze, że na tém stanowisku się znajdowali. Świat idzie, a idzie dziś, dzięki pomocniczym środkom, nie-równie szybciej niż kiedykolwiek. Materyalne warunki przyspieszają rozwój ducha, oszczędzając czas... podwajają pęd, z jakim ludzkość leci.. naprzód! naprzód!...

Można płakać po przeszłości—są to łzy poszanowania godne,—lecz jej powrót niepodobna... Mylą się też wszyscy ci, co oburącz trzymając się słupa, sądzą, że w ten sposób obrot ziemi pohamują... Ze spokojem i rezygnacją patrzeć należy na pochód konieczny, często może bolesny, zawsze ostatecznie ku lepszemu wiodący... Są w nim momenta straszne i pełne zwątpienia... ale za przepaściami szmaragdowe łąki się śmieją... Co to ma za związek z *Powieścią bez tytułu*? zapytacie... Nie z samą tą powieścią, ale z ca-

łym ich szeregiem prawdy te mają związek... a jeśli go kto nie dopatrzy, temu my go tłómaczyć nie czujemy się w obowiązku.

Typy izraelskie z Niemieckiej ulicy w Wilnie są [właśnie współczesne tej chwili, gdy genialny współpracownik *Revue des Deux Mondes* wychowywał się w sklepiku sukiennym przy tej samej ulicy... Na owe lata było prawie zuchwalstwem wprowadzenie ich do powieści. Wskazujemy je dla tego, ażeby okazać że autor za wczasu równouprawnienie to rozumiał, nim za nie ciężko i boleśnie walczyć i cierpieć zaczął. Dopiero w dziesięć lat prawie dano mu było w dzienniku propagować tę samą ideę, która żyła już w instynkcie narodowym i jednego pięknego marcowego poranku spełniła się czynem... Lecz po cóż przypominać to tutaj?... zawczasie z jednych względów, za-późno z drugih... zamilczmy.

Drezno, d. 14 czerwca 1872.

J. I. Kraszewski.

OSTRZEŻENIE.

Jakkolwiek powieść, którą dajemy czytelnikom naszym, z tego jest rodzaju, że w niej z trudnością dopatrzećby można obrazów z żywego świata żywcem pobranych—nauczeni bardzo przykrém doświadczeniem, i na jój czele umieścić musimy najuroczystsze oświadczenie, że w niej nie ma nikogo prócz typów wziętych z wyobraźni i wizerunków fantazyjnych.

Takeśmy jeszcze nieoswojeni z utworami imaginacji, że w każdym z nich szukamy otaczającego nas świata, nie w ten sposób, w jaki byé w nich może i powinien, ale odbitego dagerotypem niechęci. Nigdy piórem mojem nie kierowała ani namiętność, ani nieprzyjaźń jakaś; gdybym go ku temu chciał użyć, mógłbym krzykaczy złośliwych pobić ich własnym orężem, ale mi się zdaje, że prócz wzgardy na nic więcej nie zasługują.

Dla tych, co uwierzyć nie umieją, żeby pisarz nie czerpał ze świata gotowych wzorów, wcielając je w pism a swoje, powtarzam tu raz jeszcze, że w téj jak w innych powieściach moich, w których lub mnie samego, lub kogoś tam upatrzonego chcą widzieć niechętni, nie ma

i nie było myśli wystawienia siebie lub drugih. Są typy, są obrazy, są ludzie daj Boże jak najżywsi, ale nie ma osobistości, portretów być nie może, chyba przypadkowe. Kiedy malarz w wielkim obrazie tysiące głów charakterystycznych umieścić musi, z konieczności fizyognomie te przypominają osoby znajome, ale nie idzie za tём, żeby artysta chciał je malować. Protestuję więc za wczasu przeciwko wszelkiemu tłómaczeniu i nakręcaniu złośliwemu powieści; protestuję raz jeszcze, i jeśli można raz na zawsze, że nazwiska osób i rodzin, któreby się tu trafić mogły, trafiają się chyba przypadkowo. Trudno ich uniknąć, ale któżby je chciał umieścić umyślnie?

Żytomierz, d. 5 grudnia 1853.

Wielki ruch panował pomiędzy młodzieżą zasiadającą ławy piątej klasy w szkole gimnazyjalnej w S... Tylko co był wyszedł, po skończonej godzinie, pocziwy professor matematyki H... i na tablicy jeszcze posiwiślał od kredy sterczały formuły, któremi cała zapisana została... Wszyscy uczniowie przygotowywali się do następującej lekcji literatury, w której wypadało czytać zadane ćwiczenia. Jedni chwytały z seksternów pilniejszych i zdatniejszych uczniów kawałki, z których coś swego zszyć mieli; drudzy za obiecanego kubana zakupowali gotowe wypracowania; inni rozpatrywali się w tём co mieli przed sobą; a przeważna większość korzystając z chwili swobodnej, wprawiała się do życia praktycznego żywą rozmową, sporami żywszemi jeszcze, nawet maleńką bójką, która pyłem i wrzawą napełniła salę.

W tój skupionej gromadce blisko pięćdziesięciu młodzieży, widać było w zarodku wszystką przyszłość każdego; dobitniej nawet i wyraźniej malowały się tu charaktery niż na starym świecie, gdzie poduczywszy się udawania, ludzie stąpają już ostrożniej i kryją się z grą swoją. Każdy na wyłot znał towarzyszków, i nikt z namiętnostką, ze skłonnością, z nałogiem, z popędem

nie potrafił się zataić przed bystrém okiem współtowarzyszów swoich. Wczesna ostrożność i skrytość nie bez przyczyny obudzała nieufność, a każdy stronił od takiego, który się mu cały nie odsłaniał.

Co za rozmaitość w tych kilkudziesięciu twarzach, postawach, wejrzeniach i mowie każdego! Wszystko, z czém oni później wystąpić mają na świecie, już tu jest w zarodku. Począwszy od ponurego milczka, od którego stroni cała klasa, zepchnąwszy go swym wstętem w ostatnią ławę, aż do dobrego koleżki przyjmującego wesoło pocałunki i szturchańce, prześladowania i żarciki braterskie, któremu sekstern zrzucono pod ławę i powywracano kieszenie,— znajduje się tu cała nieskończona gamma charakterów ludzkich. A co się tam roi w tych jasnych główkach, opromienionych całym myśli światem, niedoświadczeniem i snami malowanemi przed dwudziestym rokiem... o! któż to wypowie!

Professor matematyki chodzi jeszcze po korytarzu z nauczycielem literatury, a klasa korzysta z tych minut dziesięciu, przedzielających dwie godziny tak do siebie niepodobne jak dwie życia epoki. Na katederkę lecą rzucone czapki, łapka zajęcza od tablicy, książki i papiery, szmer dochodzi do wrzawy i szaleństwa... Wtém drzwi się otworzyły powoli, i maleńka, chuda figurka nauczyciela wchodzącego szybkim krokiem z czapką naciśniętą na uszy, z książkami i papierami pod pachą, w płaszczu z ramion spadającym i jedną swą połą zamiatającym kurzawę z podłogi—ukazała się na progu, przesunęła wśród ławek, do których pchają się rozpierzchli uczniowie... i oto już panuje na katedrze. Szał w jednej chwili uciął jak burza zaklęta trójzębem Neptuna, szmer tylko wolny przelatuje po nad ławami

jeszcze, wszyscy usiedli, professor poskładał części ubioru zbyteczne i zapasy papierowe... i lekyą się rozpoczyna. Nikt się wprowadzie nie lęka łagodnego literata, który z surową na pozór miną, z usty ściągniętymi, z brwią nachmurzoną, z okiem przymkniętém rozpatruje papiery i rozkłada książki; ale dobroć jego silniej tu działa niż surowość wielu jego kolegów. Podniósł osłabłe od pracy oczy na uczniów swoich, i wszystkie wejrzenia skierowały się ku niemu.

— No, kochani panowie, kto tam z was przeczyta mi ćwiczenie?

Jeden i drugi wyrwa się z zasmarowanym papierem na popis... wybór trudny... pierwszy z brzegu...

Ale zgadnięcie co było zadaniem? A! niewinne zaprawdę i miluchne ćwiczenie, po prostu tylko opis wiosny. Któżby go, zdaje się, lepiej mógł dokonać niż ci chłopcy, którym ona kwitnie i latem i zimą w piersi pełnej uczuć wiosennych? Jednakże... gdy im przyszło opisywać wiosnę, jakże to szło trudno!... Nigdy jeszcze nie mieli czasu spojrzeć i rozpatrzeć się ani w siebie, ani po świecie, i gdy nauczyciel zadał ten nieszczęsny opis najpiękniejszej pory roku... co się następali biedacy, od czego zacząć... co weń włożyć i na czém zakończyć!

I wątku, i myśli, i barwy tak brakło nieborakom, że się musieli uciekać do wzorów, i przetrzęśli co gdzie kto na rachunek wiosny wyśpiewał, wykaszlał, nabredził. Thompson, Kleist, Wirgiliusz i Gessner, i krajowi poeci zrabowani zostali do koszuli przez tych młodych rabusiów bez litości... ale poszarpany łup niewielką im przyniósł korzyść.

Czyta jeden i drugi deklamacyjnym tonem, a nauczyciel przechadza się po sali, spoglądając z pod brwi,

chwaląc pół-usty, notując zdania, uśmiechając się nieznacznie gdy trafi na znajome ułamki pokradzione bezwstydnie. Nareszcie przyszła kolej na małego chłopaczka z blond włosami, z niebieskimi oczyma, zapiętego w mundurek wytarty, ale czysty, odzianego starannie i dosyć nieśmiałego, bo gdy mu czytać wypadło, cały się oblał krwią, zmieszał, seksterna pogubił, głosu znaleźć nie mógł, i ledwie po trzykroć zaczynając, potrafił nareszcie wiosnę swoją wyśpiewać.

Wszystkie wiosny dotąd odczytywane były tylko poetyczną pisane prozą, ta pierwsza wystąpiła w rymowanej szacie, i nie dziw, że jój twórca tak się zarumienił, poczuwszy za późno zuchwalstwo swoje. I bał się tego co zrobił, i chętnie oprzeć się nie mógł, sto razy darł ćwiczenie i powracał do niego, nareszcie na ogromną zebrawszy się odwagę, przyniósł do klasy z bijącym sercem owoc rozkosznych i gorących dumań swoich dziewiczych.

A trzeba wiedzieć, że ten, co tak śmiało zadanie zrobione przez wszystkich prozą, sam dobrowolnie w poezję zamienił, był nowym w szkole przybyszem do klasy, prawie nieznanym nauczycielowi, a nie wiele zażyłym jeszcze z towarzyszami. Wystąpienie to niespodziane zrodziło szmer podziwiania... wszyscy poczęli się uderzać łokciami.

— Słysz! słysz!—wołali—dalibóg Piwonia napisał wierszel!

Zwali go Piwonią dla zarumienionej i krwią młodą ciągle oblanej twarzy.

Nauczyciel, który dotąd ledwie z nazwiska znał ucznia, zastanowił się wołając:

— Co? co? wiersze?

— Tst! tst! rozległo się po całej klasie.

Oczy pocziwego literata z zajęciem, z sympatją zwróciły się na młodego chłopaka... zbliżył się do jego ławki, wsparł na niej, i spuściwszy po chwili żrenice, słuchał milczący, zadumany.

Ale to wyteżenie uwagi wszystkich, zwrócenie oczu, ucieszenie klasy, odebrało ostatek niewielkiej odwagi biednemu Piwonii... głos gasł... płatał się, i zabrakło tchu nareszcie. Dwie pocziwe łyzy—łyzy, które całą przyszłość jego wróżyły poecie,—popłynęły po policzkach spalonych rumieńcem.

Nauczycielowi przykro się zrobiło. Może pomyślał, że ten, który tak występował na ławie szkolnej, i na świecie rady dać sobie nie potrafi, może się ulitował nad biedakiem, dość, że powoli ująwszy sekstern z rąk jego, zbliżył go do przymrużonych oczu, i sam już czytał po cichu ową wierszowaną wiosnę.

Tymczasem Piwonia stał palony oczyma wszystkich, jak pod przegierzem, i zdawało się, że wstyd niewczesny i bojaźń go spali. Uczniowie szeptali, wskazując sobie palcami poetę, który w tej chwili dostał nowy przydomek. Jedni spoglądali na niego ze współczuciem, drudzy z ciekawością, inni z zawiścią prawie, a krok ten stanowczy, na który się nowy uczeń odważył, nie obrachowawszy sił swoich, już stanowisko jego względem całej klasy na resztę lat nauki nieodwołalnie wykreślił.

Z biednego ucznia, oczy kolegów padały na twarz nauczyciela, szukając na niej oznaki pochwały lub uśmiechu politowania, ale nie znalazły w bladych rysach zmęczonego człowieka, po których nie przesunęło się nigdy to, co dotknęło duszę. Czytał spokojnie do samych oczu przybliżywszy papier, przebiegł ćwiczenie całe, oddał je Piwonii, i skinął głową prze-

chodząc do następnego ucznia, nie nie powiedziawszy, wejrzeniem ukradkowym tylko mierząc młodego poetę.

Ten usiadł, spuścił głowę, i z biciem serca, w milczeniu pozostał na ławie do końca śmiertelnie długiej godziny.

Al! niczém to było jeszcze wystąpić z tą nieszczęsną wiosną, niczém ją przeczytać, niczém ukazać pocziwemu nauczycielowi, ale po skończonej godzinie jak tu się pokazać współuczniom, których szyderstwo chybić go nie mogło! Gdy zegar wybił dwunastą, a professor poszedł do katederki na odgłos dzwonka i począł zbierać papiery, czapkę, chustkę i płaszcz, którego nigdy na sobie utrzymać nie mógł... Piwonia czując zbliżającą się chwilę męczarni, ledwie nie umarł w duszy ze strachu.

Za professorem wyrwali się z klasy uczniowie, jak woda gdy zburzy groblę, i zaleli korytarze, jedni śpiesząc do domu, drudzy w różne rozbiegając się strony. Ale pośpiech ten nie ocalił nieszczęśliwej ofiary, która się pierwsza ucieczką ratować chciała; otoczono poetę, szarpiąc go, chwytając, uderzając rękami i słowy.

— Wiwat poeta! krzyczeli jedni.

— Słyszysz Piwonia, przyznaj się z kąd wiersze ukradłeś? wołali drudzy.

— Jaki tegil! rzekł ktoś trzeci: chce nas wszystkich zakasować, odznaczyć się i *solo basso* występuje z wierszami.

— Dajcie pokój! widzicie, że i tak ledwie mu krew z oczu nie tryśnie, tak się zarumienił.

Dobrze jeszcze, że po dwunastęj każdy śpieszył do domu i niebardzo czas mieli dokuczać Piwonii; ale droga do dworów, w których się mieścili uczniowie, dozwalała przedłużać prześladowanie do wrot miesz-

kania. Klasa piąta połączywszy się z szóstą, wiodła ofiarę swoją aż do ganku domowstwa, nielitościwie ją szpilując przewiskami i szyderstwami.

Jak w szkole tak na świecie! zawsze pierwszym uczuciem większości na widok jakiegokolwiek niezwyčajnego fenomenu, jest to nieszczęsne szyderstwo i niedowierzanie... każdy tryumf poczynąć się musi od męczarni. Może też tak być powinno; bo ten tylko zasługuje na wieniec, komu wprzód skroń krwią ociekła, a próba ognia jest próbą powołania i talentu. Nie wiedząc o tém, biedny chłopiec całą swą przyszłość stawiał na owo jedno ćwiczenie! Z klasy do klasy miał odtąd przechodzić już z upokarzającym nazwiskiem poety, z tą kulą do nogi przykutą... z nią miał wyjść na świat, i nigdy już naprawić nie mógł nierozważnego kroku, który w tym dniu o życiu jego postanowił.

Jakby przewidując co go oczekiwało, szedł Piwonia z głową spuszczoną do dworku. Nieczuły prawie na zaczepki i na prześmiewania towarzyszków swoich, którzy go nie opuszczali, podwajał kroku, żeby co prędzej sam na sam z sobą pozostać, a słowa kolegów spadały w końcu na niego jak zimne liście jesienne z niezrozumiałym szelestem. Tak przeprowadzany dostał się do domku, wpadł we drzwi szybko i znikł w nich nareszcie.

Ale i tu nie mógł już być spokojny. Czekał go pan dozorca, który o grzechu wierszy wiedział od nauczyciela; spotkali towarzysze mieszkania z klass różnych, na ulicy złapawszy ciekawą plotkę...

Chórem zakrzyknęli wszyscy na niego, gdy do stacyjki wchodził, a pan Jacenty, pocziwy, suchy, długi, z wysoko zaczesanym czubem mężczyzna, w białym

kożuchu szczelnie opiętym, za którym tkwiła tabakierka i chustka kraciasta, uśmiechem dwuznacznym i poprawieniem włosów, w progu przywitał swojego ucznia, unikającego wejrzenia, a usiłującego co prędzej ukryć się gdzie w kątku.

Przebiegłszy pierwszą izdebkę jak oparzony, Piwonia dopadł swojego łóżka i stolika w drugim pokoiku, rzucił książki, wsunął do szuflady seksterna i siadł znużony na posłaniu. Otoczono go kołem, a pan Jacenty nawet nie wstydził się należeć do oprawców, stojąc na czele gromadki, wyprostowany, sztywny, milczący, ciągle gładząc czuba i czoła, i uśmiechając się nielitościwie. Młodzi uczniowie obskoczyli poetę jak szarańcza, śmiejąc się, chychocząc i napadając zapalczywie.

— A! Piwonia poeta!

— Zadeklamujże cokolwiek!

— Winszujemy! prosimy!

— Dla mnie kawałeczek wiosny!

— I dla mnie!

— I dla mnie! poczęli śpiewać tonem, jakim się napierali chleba z masłem na śniadanie nielitościwi malcy, wyciągając zaatramentowane ręce.

— Dajcież mi pokój, proszę, odezwał się zasłaniając sobie oczy zgnębiony Stanisław: dajcie mi pokój, bo doprawdy gniewać się będę...

— A za cóżbyś się waćpan miał gniewać? zapytał poważnie jak zawsze dozorca pan Jacenty. Naturalna to bardzo rzecz, że wszyscy się dziwujemy. winszujemy i śmiejemy! To mówiąc, pogładził czuba, obciągnął kożuszkę, i za ukaraniem się nadtluczonej fajansowej wazki z bulionem, która oznajmiała obiad studencki, stanął za swoim krzesłem, ręce i usta wprost od szyderstwa składając do modlitwy.

Wnet na ten znak zgłodniała rzesza rozsypała się, śpiesząc zająć zwykle miejsca swoje... zaszastały krzesła, rozszedł się szmer błogosławieństwa, i biedna ofiara wiosny, odkupiona na chwilę głodem towarzyszków, zajęła po cichu miejsce swoje u stołu.

Wieczorem, pan Jacenty korzystając z soboty i pięknego dnia jesiennego, zrzucił kożuszek, wdział czarny paradny surdut z aksamitnym kołnierzem, czapkę, która zawsze wisiała na gwoździu pokryta chustką od nosa, żeby jęj pył nie przyprószył, laskę doskonale naśladowającą trzcinę, ale w swém łonie ukrywającą cybuch ozdobny rogowym pyszczkiem i schowawszy klucze od spiżarni do kieszeni, zapowiedział uczniom swoim przechadzkę za miasteczko, za kościółek Aniołów Stróżów, na piaszczystą równinę ku cmentarzowi... Był to zwykły cel studenckich spacerów.

Wszyscy oprócz Szarskiego (tak się zwał nasz poeta) ochotnie na nią się zgodzili; a tak zwany Piwonia, pod pozorem niezdrowia, pozostał sam jeden przy swoim stolicku.

— Dajcie mu pokój, zawołał trzecio - klasista szczypiący jak mała pijawka: niech sobie wiersze pisze; jak oślepie, będzie kraj nasz miał w nim Homera!

Pan Jacenty, mimo najlepszego serca trochę zazdrosny, bo dbający bardzo o wyższość swoją, która zaćmiona być mogła sławą młodego poety, — uśmiechnął się na to z ziarnkiem szyderstwa, i wywiódł uczniów na ulicę krokiem pedagogicznym.

Szarski potrzebujący odetchnąć, pozostał przecie sam na sam; ale zaledwie współkoledzy oddalili się nieco od dworku, wyjrawszy oknem za nimi, wyszedł usiąść pod kasztanami w ganku na baryerze. Cisza sobotnia panowała w spokojném szkolném miasteczku, którego życie stanowili uczniowie w téj chwili rozbiegający się po okolicy, zamknięci po stancyjkach lub odpoczywający na rachunek niedzieli. Rząd dworków długą ciągnący się ulicą, gdzie niegdzie tylko ożywiała swawola pierwszo i drugo-klassistów, odzywających się śmiechami, krzykiem i uderzaniem piłek o ściany parkanów; skrzypiały studnie w podwórzach, i głos brzęczącego fortepianiku nauczyciela muzyki Brauna, wylatywał niekiedy otwartém domowstwa jego okienkiem. Po chwili, od drewnianego kościołka zabrzmiał dzwonek na Anioł Pański, i głos jego smutny, przeciągły, długo, daleko rozlegał się po okolicy. Chłopiec zadumał się, zapatrzał, wsparł na pnju kasztana, który ocieśniał ganek, i ani się postrzegł, jak maleńka figurka nauczyciela literatury wysunęła się od strony szkół i kościołka, przebiegła w szersz piaszczystą ulicę, poszukała oczyma dworku pod kasztanami, skierowała się ku niemu—i uśmiechnięty professor, zbliżywszy się do ucznia, trącił go w ramię, ażeby przebudzić.

— Coś się ty tak Szarski zamyślił? począł łagodnie professor.

Uczeń głos dopiero usłyszawszy, zerwał się i stanął onieśmielony zjawieniem się niespodzianém tego, o którym właśnie myślał; spuścił oczy jak winowajca schwytyany na uczynku.

— Chciałem trochę pomówić z waćpanem, odezwał się professor: weź-no czapkę, masz czas? pójdziemy się przejść trochę do pałacowego ogrodu.

— Idę, panie professorze.

— Ruszajże po czapkę, może ci chłodno, weź i płaszcz.

Ale gdzie mu tam zimno być mogło! On uszczęśliwiony dobrém słowem i spodziewaną przechadzką, czapki by nawet zapomniał, gdyby mu jój nie kazał wziąć nauczyciel.

Powoli poszli ulicą przez placyk, po pod szkoły, ku staréj alei grabowéj i ogrodowi, do którego wiodła.

— Powiedźże-no mi, Szarski—zapytał stary, wpatrując się z blizka w chłopaka, bo wzrok miał popsuty i krótki,—chciałbym coś wiedzieć o tobie: kto są rodzice twoi? zkąd jesteś rodem?

Jakkolwiek mocno zmieszany, onieśmielony, przejęty obawą, Staś łagodném professora obejściem i mową jego współczucia pełną uczuł się zasilonym po chwili, serce mu zabiło, zebrał się na odwagę.

— Moi rodzice, panie professorze, rzekł przychodząc do siebie powoli—mieszkają ztąd o mil kilkanaście, mają wioseczkę dziedziczną w Za...skiém.

— Jedną wioskę? spytał professor.

— Tak, jedną tylko wioskę i to niewielką.

— A ile was jest rodzeństwa?

— Sześcioro, panie professorze...

Nauczyciel pokiwał głową i westchnął głęboko.

— Bracia czy siostry?

— Trzech braci i dwie siostry, panie professorze.

— Gdzie wprzód do szkół chodziłeś? kto cię uczył? począł badać literat.

Szarski wymienił szkoły i nauczycieli.

— Masz widzę żyłkę do poezyi, rzekł wysłuchawszy opowiadania cierpliwie staruszek. No! powiem waćpanu, jak na pierwszą próbę niezłe to jest co napi-

sałeś o wiosnie; ale na téj drodze, mój kochany, chcąc dojść do czegoś, wiele, wiele potrzeba pracować, nawet przy darach niebieskich! A lubiszże czytać?

Młode chłopię aż się zatrzęsło i zarumieniło.

— A któżby czytać nie lubił! zawołał ogniście.

Uśmiech dziwny skrzywił blade usta nauczyciela, który znów z pod oka spozjrzał na ucznia.

— Cóż czytujesz?

— Książek mam mało... u pana Jacentego na półce Molière tylko i Montesquieu.

— A polskiegoż nic? spytał nauczyciel.

— Jest dzieło Stanisława Potockiego...

Potrząsł głową.

— Nie wiem jeszcze co będzie z waćpana, rzekł powolnie; ale się uczyć potrzeba i wiele, i porządnie, jeśli masz pójść tą drogą, która mi się zdaje wyznaczona dla ciebie... Poeta długo się i pożywnie karmić musi, nim światu zaśpiewa... Ciężka to rzecz stanąć przed ludźmi i poruszyć ich serca, zmuszając szyderców do współczucia; świat nie poddaje się łatwo, a depcze ochotnie.

I westchnął stary znowu.

— Ciężka to droga, kończył, zapominając do kogo mówi: cierniem wysłana, zarzucona skałami... trudno być pierwszym, a niewolno drugim, i drugim nie warto. Musisz być u szczytu lub spaść w otchłanie na długie męczarnie... lepiej nie myśleć o poezji. Każdemu prawie młodemu załśni coś w głowie, zakołacze coś w sercu, i chciałby śpiewać, ale gdy przyjdzie z pieśnią pójść przed ludzi, zabraknie myśli i słowa. O! pracować potrzeba, pracować nawet tym, którym Bóg dał wiele od razu, a tym najwięcej może! Nic bez pracy, dziecię moje; wszystko się nabywa w pocie

czoła, w serca pocie. Widziałeś jak towarzysze przyjęli dziś wystąpienie twoje? Toż samo czeka cię na świecie... Pamiętaj! A po wiekach, które nas poprzędziły, po wieszczach, którzy im śpiewali, po arcydziełach, co nas karmią tchnąc życiem przeszłości, którego są najwyższym wyrazem, jakże to wiele potrzeba, ażeby ośmielić się stanąć na scenie, ująć lutnię i zwołać ku sobie słuchaczy! Ten tłum, któremu śpiewać będziesz, składa się z tysiąca ludzi, a każdy z nich przychodzi inszym, a dla nich wszystkich jest pieśń jedna! Musisz skrępować ich, pociągnąć, przekształcić, zmusić, żeby weszli w ciebie i poszli za tobą. Czémże powinien być śpiew, który ma zwyciężyć tysiące miłości własnych i złamać lody wstrętów, obojętności, odrętwień?... Jakiż to potęgi potrzeba, żeby wyjść z téj walki zwycięzcą! ile życia wyszafować, ile łez wylać, ile własnych piersi naszarpać!

Professor szedł i mówił, ale widocznie zapomniał o uczniu, który go słuchał, i lały mu się z piersi wyrazy, jakby rozmawiał sam z sobą; a gdy westchnąwszy obejrzał się na Szarskiego, rozpoczął nieco inaczej.

— Tak, chłopcze,—rzekł—potrzeba pracować koniecznie, pracować wiele, żeby coś zrobić na świecie. Człowiek oddany myśli i pióru, jakim sądzę, że się być czujesz powołanym, musi być najprzód wyższym od ogółu, którego chce być przewodcą, tłumaczem, pocieszycielem, kaznodzieją... Dwojakie więc zadanie: i jako kapłan musisz stanąć na świeczniku, i sukni twojego domowego żywota nie splamić nie powinno; bo ten, co się w imię najwznioślejszych uczuć odzywa, sam pierwszy obowiązany mieć je w piersi i na ręku... jako piastun ducha i myśli, powinien być o stopień wyżej, o krok naprzód przed ludem, który za nim idzie, musi

odgadnąć przyszłość, ku której dąży, uczucie, którym jutro serce jego zabije, kierunek boży na jutro... Wiele tu pomaga geniusz, talent, instynkt i duch Stwórcy, który w kolebce jeszcze wionął na czoło dziecięcia; ale nasionko dane ci w posagu, ty sam tylko wypielegnować musisz i powinieś. Nauczyciele, księgi, świat, są to słupy gdzie niegdzie porostawiane po stepie, wśród którego wieść się potrzeba samemu okiem, sercem i głową... O! pracować musisz, pracować wiele... Bóg ci da myśl i uczucie, ale one nie przemówią z ciebie, dopóki ich nie rozpovijesz, nie rozwinięsz ich skrzydeł, nie rozwiążesz ich pracą żelazną... W młodej piersi rwą się niecierpliwie, gwałtownie zarodki idei i uczuć nasiona, stukając o ściany ciasne jak zwierz zamknięty w klatce; ale niejeden, niejeden zamorzył w sobie co przyniósł z drugiego świata, nie karmiąc myśli swojej, wysuszając ją pragnieniem i głodem, a z uczucia robiąc bydlęce narzędzie głupiego powszedniego życia.

Szarski słuchał, a że raz pierwszy słowa tak wielkie i wzniosłe, tak przejęte łzawym doświadczeniem, obijały się o ucho jego i piersi, uczuł jakby na niego zlewał się zdrój ożywczy... Otwierały się w oczach jego nieznane i tajemnicze drogi żywota, i w dali błyskały niewidziane horyzonty. Nie zastraszała go praca, nie wątpił o siłach, a jednak razem z pragnieniem przejmował go strach jakiś niepojęty, i dreszcz przebiegał młodzieńca.

— Patrz, co masz przed sobą, rzekł dalej idąc nauczyciel: masz nauczyć się całego świata, pokochać go, poznać siebie, poznać ludzi, a potem jeszcze zbadać mądrość przeszłą, wszystko, co ludzie kiedy utworzyli, żeby nie powtórzyć słabiej co wprzód gorąco już wypowiedziane było... w ostatku to narzędzie twoje.

język i literaturę, na której skibę pot twego czoła ma upaść, musisz przeniknąć, musisz się ich wyuczyć...

— Będę się uczył, odpowiedział Szarski ochotnie, ożywiony słowami z duszy pochodzącymi starego nauczyciela...

Ten ujął go za rękę serdecznie.

— O tak! rzekł: uczyć się, uczyć! uczyć potrzeba całe życie, choćby dla przekonania się w ostatku, że nauka jest niewyczerpanym źródłem rozkoszy, pokarmu i zawodów. Powiedzą ci później, mój kochany, niedowarzeni mędrkowie, że nauka i ślęczenie zabijają natchnienie, niszczą oryginalność, zacierają indywidualność... ale to fałsz! to fałsz! Sobą być można zawsze, panem pracy i myśli, ale pracować i myśleć potrzeba! Praca tylko dać może skrzydła natchnieniu.

I szli tak długo o zmierzchu, pustymi już ulicami pałacowego ogrodu, a professor mówił i wdychał, jakby rad był, że się ma przed kim wywnętrzyć. Poczynał od ucznia, a kończył do siebie, tak się w nim mnogo zebrało, z czém się wylać potrzebował. Poczciwy, przypomniawszy sobie młodego chłopaka, zwracał się do niego, a po chwili znów uniesiony zapominał o nim. Ale żadne ze słów jego nie zostało stracone; te prawdy nawet, których Szarski pojąć jeszcze nie mógł, jak aforyzmy i zadania nierozwiązane pozostały w jego umyśle, przechowując się dla przyszłości. Chciwie ich słuchał, a im wznioślejsze i wyższe, tém go bardziej nęciły.

Mrok coraz gęstszy poczynał się rozciągać, i wieczór chłodnym od stawu powiewał wiatrem, gdy nareszcie nauczyciel, któremu płaszcz nieposłuszny ciągle spadał z ramienia, postrzegł że późno już było, i szybko zawrócił się, nie przestając rozmowy.

— A kochaszże ty naturę? spytał z westchnie-

niem, poglądając w blaski wieczorne na niebie i szarą usypiającą ziemię; a bijeż ci serce do codziennych piękności świata, które powszednich nie uderzają ludzi?

— A, panie professorze, gorąco odparł Szarski: nie-raz aż mi tego wstyd, aż się ze mnie śmieją.

— Niechże się śmieją, to najlepszy znak! równie porywczo przerwał stary, klepiąc Stasia po ramieniu. Daj się im śmiać i wyśmiewać: oni cię sami o tém nie wiedząc, uczą cierpliwości, której każdemu na świecie wiele, a w życiu pracy naszej ogromnie, ogromnie potrzeba! Z kogo się śmieją nie dla tego, że głupi, ale dla tego, że inny od tłumu lub widzi to wszędzie czego nie dopatrzają drudzy... ten ma przyszłość przed sobą.

Gdy to mówił, wychodzili już coraz śpieszniejszym krokiem z alei i zbliżali się do wielkiego gmachu szkolnego, w którego skrzydle professor skromne miał mieszkanie. Spojrzenie na te mury, podobne trochę do czystego, białego więzienia, wyrwało westchnienie z piersi starego: pomyślał coś, zawahał się, i obracając się do Szarskiego, rzekł nieśmiało:

— Chodź-no... zajdź do mnie, dam ci książek... jak przeczytasz, odniesiesz mi je, i weźmiesz inne. Nie opuszczaj nauki szkolnej dla czytania, ale ci czytać potrzeba, jeśli doprawdy myślisz pójść tą drogą.

— O! pragnę tego panie professorze... ale—dodał nieśmiało uczeń—gdybym jeszcze mógł spytać, czy bardzo złe było ćwiczenie moje?

Ostatnie słowa wymówił spuszczaając oczy i bardzo po cichu, a professor dobroduszenie się na nie uśmiechnął.

— *Genus irritabile vatum!* szepnął do siebie. Juściż nie było to złe bardzo kiedy mnie uderzyło, kiedyś się zajął tobą... ale nie myśl znowu, żebyś w wiośnie

zobaczył niewprawném okiem to, czego przed tobą nie widzieli drudzy. Udało ci się schwytać kilka dźwięków szczęśliwych, kilka form dowodzących, że masz przecucie piękności; ale myśl twoja nie wyleciała wyżej, bo jeszcze skrzydeł jej braknie.

— Skrzydeł Ikara może, odważył się szepnąć Szarski.

— Choćby takimi podlecieć warto, dziecko moje... Lepiej to, niżeli pęłzać po ziemi. Sąż inne dla ludzi? Szczęśliwy jeszcze, kto się choć na chwilę zbliżył ku słońcu, a potem wpadł w morze... w morze zapomnienia... Zapomnienia! powtórzył nauczyciel niespokojnie. A tak! o wilku mowa zaprawdę, i ja bo się porządnie zapomniałem, a tu noc! Chodźmy prędzej, chodźmy, panie Stanisławie.

Stali już przed wielką budową gimnazyalną, professor ruszył żywo, potknął się razy kilka dla krótkiego wzroku, płaszc mu spadał z ramion nieustannie, nareszcie weszli przez dwa czy trzy wschodki wiodące do szczupłego mieszkania, które literat zajmował z żoną i dziećmi, w sieni i do pokojów. Ciasniutko tu było i duszno... i nie dziw, że na widok izdebek, w których dzieci płakały, jejmość się zakłopotana krzątała, a dwóch młodszych professorów rozprawiało na kanapie, trochę się starając przypodobać pięknej pani przygotowującej herbatę... Stary nauczyciel zasepił czoło. Wszedł bardzo po cichutku, nieśmiało, jakby oczekiwał niechybnej bury, która go spotkać miała, i przerwawszy zaledwo gderanie żony zastępującej mu drogę, słówkiem bojaźliwém i pokorném, przed uczniem onieśmielonym do reszty, na lewo drzwi do gabinecziku swego otworzył. Sam znalazł sobie świecę i siarniczkę, ognia powoli zrobił, a gdy pokoik rozświecił się blaskiem łojówki, Szarski po-

strzegł biblioteczkę całą zastawioną mnóstwem literackich gratów, że w niej z trudnością dwom się było można obrócić. Professor milczący począł okiem i myślą chodzić po półkach od jednej do drugiej, szukać, mrużyć coś pod nosem... złożył wreszcie pakiecik spory i oddał go oczekującemu.

— Naści, na... to wybór dobry... a czytaj z uwagą, a ucz się smakować, nie połykaj po żarłocku. Myśl, kształć się, i niech cię Bóg dziecię moje błogosławi.

Wtém professorowa wpadła do izdebki, ciekawie poglądając na męża i ucznia.

— Gdzieżeś to ty był? spytała żywo. A tu dyrektor przysyłał po ciebie... i...

— Zaraz, zaraz, rzekł zafrasowany stary; w ten moment moja duszko...

— I pieniędzy mi potrzeba, z wymówką poczęła żona. Szarski chwycił książki, pokłonił się, ucałował rękę jejmości, i znikł uciekając uszczęśliwiony, a pędził do domu jakby mu już istotnie na barkach skrzydła wyrosły.

Tych kilka książek, które niósł z sobą, a więcéj jeszcze słowa pocziwego nauczyciela, wstrzęsły młodym umysłem, i nieostrożnie może, ale nieodwołalnie pchnęły go na drogę, z której już zejść nie mógł.

Poczywał marzyć, serce mu biło i przyszłość zarysowywała się przed nim tak jasno, tak wyraziście, jakby jedna chwila przybliżyła go ku niej latami całemi.

Zaledwie Szarski ukazał się w ganku dworku, na którego baryerach siedzieli wszyscy uczniowie i sam nawet pan Jacenty na honorowém miejscu, bo przy ścianie, obskoczono go zapytaniem i wymówkami.

— Aha! a z nami na przechadzkę to nie łaska!

— Niby chory, a po nocy gdzieś lata!

— A gdzieżeś to waćpan bywał? zapytał naprężając się dozorca. Chciałeś chodzić, już cię sądzę, żeśmy warci, żebyś nie odbiegał towarzystwa naszego.

— Nie miałem wcale myśli iść gdziekolwiek, odpowiedział zdyszany Szarski; ale ledwieś pan odszedł, przybył tu professor... i zabrał mnie z sobą do ogrodu.

— Jak to? i do nocy z nim chodziliście? zapytał znów z niedowierzaniem i trochę zwykłej sobie zazdrości pan Jacenty.

— Wracam w téj chwili wprost od profesora, który mi książkę pożyczył, odparł z niejaką dumą Szarski; nigdzie więcéj nogą nie byłem.

— To się okazał! to się okazał! rzekł dozorca; a teraz podobno czas na wieczerkę.

Ta przechadzka, której zresztą byli świadkowie, poddanie książek Szarskiemu, długa z nim rozmowa, zmieniły wprzódce usposobienie współuczniów do sztyderstwa... Zazdrościli wszyscy po trosze Stasiowi, a pan dozorca ruszał tylko ramionami, nie mogąc pojąć, jak pan professor wybrał sobie takiego chłystka na konferencyę wieczorną; niemniej jednak i w jego oczach postawiło to lepiéj poetę. Nie śmiano z niego tak bardzo żartować, widząc, że nauczyciel zachęcał; poczęto się domyslać, że to może nie ze wszystkiém jest śmieszne, i dozorca choć w złym humorze u wieczery siedział, ale już bardzo poważny,

Dzień ten w życiu Szarskiego stanowił epokę, i pchnął młodego chłopaka drogą ku przyszłości. Dziecię niemających rodziców, którzy radzi byli, żeby potra-

fło na chleb sobie zapracować, zbiło się ze ścieżki, która mu wyznaczona wcześniej przez nich była, i całkiem się oddało literaturze. Ślęczenie jego nad książkami nie uderzało wszakże dopóki był w szkołach, bo uchodziło za pilność tylko, z której się cieszano... Zamiarem ojca było później oddać go do uniwersytetu i sposobić na lekarza. Szczęśliwie ukończywszy szkoły, Szarski powrócił do domu, pożegnawszy dworek ów, gdzie mu świat się rozwidnił, ze świadectwem, z nagrodą, ale z niepokojem o jutro. Droga, którą odbywał, wiodła go przez najpiękniejszy bór w całej może Litwie; dni były piękne, wspomnienie przeminionej i zamkniętej już części życia poruszało piersią i czoło rozchmurzyć się musiało. Jednym okiem płakał po miasteczku, które pożegnał, po towarzyszach, z którymi nie wiedział czy się spotka kiedy znowu; drugim uśmiechał się do większego świata, do żywszych źródeł nauki, do całej ogromnej, niewyczerpanej swój przyszłości. Na każdym popasie i noclegu rodziły się myśli nowe, wiersze nowe i plany dzieł, i olbrzymie przedsięwzięcia, choć w uszach brzmiały jeszcze pożegnalne słowa starego nauczyciela, który ze łzami w oczach prorokował mu... tylko cierniową drogę.

Biedny starzec! jakże nie miał zastraszać drugich, kiedy sam sterawszy życie, kończył je nieznany, zakopany w kącie, wśród doskwierającego niedostatku i ludzi, co go nie rozumieli, poczawszy od własnej żony! Zdawało mu się, że każdy z wesołej młodości przejść później musi w znędzoną uliczkę życia, która w końcu nie wiezie do niczego, prócz rozbicia o mur głowy. To też żegnając Szarskiego, zamiast mu dodać odwagi, sypnął przed nim opadłymi nadziejami swemi, jak wieszczbą dla niego.

— Musisz już widzieć pójść tą drogą, rzekł ściskając młode dłonie; ale skończysz jak ja, kochane dziecko, nie dobiwszy się ani współczucia, ani wianka, ani nawet spokojnego chleba kawałka. Widziałem cię tego dnia, gdyś raz pierwszy czytać miał swoje ćwiczenie o wiośnie; łzy ci się mało nie puściły z oczu, takżeś się uląkł zuchwalstwa swojego, w które cię gwałtowna potrzeba objawienia się na zewnątrz wtrąciła. Tacy ludzie jak ty nie zdobędą świata, ale kończą jak ja, jak wielu a bardzo wielu niestety... pośmiewiskiem będąc dla tłumu, a politowaniem dla swoich. Mniej talentu, mniej serca, mniej szczerości i wiary, a więcej ufności w siebie, udawania, komedyi i popisów... ot! czego potrzeba, żeby zdobyć na świecie wyższe miejsca, które geniusz tylko koniecznością swojej natury i to nierychło, a mierność zręcznością osiąga... od których najpotężniejsze talenta odpycha pierwszy szarlatan, co nosa zadrze i głośno prawić będzie sam nie wiedząc o czém, tam gdzie ty słowa wyrzec nie potrafisz... A! i ja niegdyś marzyłem wiele, schnąc nad udoskonaleniem siebie, by być szerszemu kołu społeczeństwa użytecznym... i ja jak ty, gorzej... o chlebie i wodzie, o głodzie i niedostatku biłem się w górę... i ja czułem w mej piersi natchnienie, ogień święty, miłość ludzi, coś oznajmującego mi, że mnie Bóg powołał na wieszczą, na pracownika do winnicy swojej... i ja cierpiałem, ufając zawsze w jutro aż do pierwszego włosa siwego, aż do pierwszej zmarszczki na czole i tego braku siły, tego zarodku odczarowania, które oznajmuje, że słońce życia zeszło nam już z południa... i ja — a w końcu (dodał z westchnieniem nauczyciel) widzisz co mnie spotkało... Mała miejscina, istne *in pace*, w którym zamurowany pozostać muszę

na wieki! Professorstwo nawet wyżebrać musiałem, i nie sobiem je winien, lecz żonie; podrzędne stanowisko, zupełna nicość, a dni starości mojej, niedostatek prawie z pełną skarbnicą tego wszystkiego, com miał zrobić a nie mógł, com był powinien a nie dopełnił... Śmieję się teraz patrząc na teki moje, w których spią spowite jak mumie, i poemata z Piastowskich czasów, i dzieje Jagiellonów, i glossarium dawniej mowy naszej, i tysiąca dzieł nasiona. Ta ręka, ani ta głowa już ich nie skończy, a z kąd wziąć do nich materiału? Zajrzę do tych zeschłych kwiatków młodości, westchnę, łą je odwilżę i idę—do klasy... na grammatykę, lub do pana dyrektora pokazać się, stanąć w kątku i nie przemówiwszy słowa zniknąć. Nie żaliłbym się na los ten, bo natura musi wiele wydać nierozwiniętych pączków, nim piękny kwiat jeden urodzi... jest to jój prawem, a my drobne jednostki skarżyć się na to nie powinniśmy; ale patrz, panie Stanisławie... całe moje szczęście w tém życiu ducha, pracy, nauki... a ja siedzę w kącie, dokąd szmer jego nawet nie dochodzi, gdzie trzeba z głodu umierać... O! takie ubóstwo jak moje, gdy z kilkorgiem dzieci, dla ich powszedniego chleba, sobie od ust spieczonych chleb duszny odejmować trzeba... to straszna klęska, to wielkie cierpienie.

Mówił stary i łą kręciła mu się w oku, ale ją otarł szybko.

— Boję się, żeby i z tobą tak nie było, i dla tego ci maluję czego nikt nie dojrzał dotąd, bo nie ma tyle litości na świecie, żeby po nim warto było nosić cierpienie... na tym wielkim targu miłości własnych, nikt go i za grosz nie kupi... Zresztą... czy to życie tak długie? czy to my tylko jedni cierpimy?

I rozśmiał się staruszek, machając ręką. Poszli jeszcze na ostatnią rozmowę do pałacowego ogrodu, usiedli w wielkiej marmurowej altanie nad stawem, i żegnali się długo jak syn z ojcem, jak towarzysz z ukochanym towarzyszem. Potém Staś siadł do bryczki i opuścił miasteczko, u wrot jego polecając się Aniołom Stróżom, których kościółek stał w bramach.

I jechał ku domowi, a im był bliżej, tém niepokój opanowywał go większy... Co powie ojciec, co matka, na jego zamiary i sny przyszłości? komu się z niemi powierzy?... Gdy trzeciego dnia, wśród płaskiej okolicy, wśród starych drzew ogrodu, ukazał się czarny dwór krasnobrodzki i kopułki kaplicy... tchu mu zabrakło w piersi.

Ojciec Szarskiego, niemłody już człowiek, był po staroświecku surowym dla żony i dzieci. Sześcioro ich miał na głowie, sercem kłopotał się o nich, zwłaszcza że mu zdrowie nie służyło, a życia sobie nie obiecywał długiego; ale obchodził się z niemi wedle tradycy domowych, z niczém nieułagodzoną ostrością, właściwą charakterowi. Litwin to był i zawzięty gospodarz, oszczędny do przesady, gdera jakich mało, w domu pan absolutny i niepojmujący choć sam niegdyś młodym być musiał, żeby kto takim być mógł z kolei. Żonę, którą kochał, za pierwszą tylko uważał sługę, i kierował nią jak sam chciał. Ludzie się go obawiali, acz znali sprawiedliwość jego; a dzieci drżały na sam widok żółtej twarzy i sumiastego wąsa pana sędziego.

O świat bardzo dbał mało, a żył tylko w gospodarstwie i zbieraniu grosza... było to celem jego życia, zabawą... wszystkiém.

Dom też w Krasnobrodzie mało był nawiedzany:

sąsiad chyba w potrzebie pieniężnej, i to ze stemplo-
wanym papierkiem za pazuchą a dobrą ewikcyą w kie-
szeni, zawitał do niego; Żydzi nie kupowali tu, aż do
koła wszystko było zjedzone do ziarnka; a każdy ucie-
kał od pana sędziego, bo życie i stosunki z nim wca-
le nie były miłe. Szanowano go wszakże, bo pod tą
skorupą szorstką było w nim wiele uczuć zasługują-
cych na szacunek powszechny, które się czynem do-
piero objawiały. Jako urzędnik, nie przyjął wpraw-
dzie w miasteczku siedząc nikogo i łyżką nawet
barszczu codziennego, z nikim się chlebem nie prze-
łamał, ale też nie sprzedał sprawiedliwości ani za
pieniądz, ani za przyjaźń sąsiedzką, ani za ściśnięcie rę-
ki przez wielkiego pana. Nic nie robił dla oka, nie dla
ludzi; nie ustępował z drogi nikomu, mówił każde-
mu prawdę bez ogródki, a jeśli się w czém mylił, co
mu się często zdarzało, bo osobliwszą mieszaniną
wyobrażeń się rządził, uporu jego nikt przełamać nie
mógł.

Obok niego, jako towarzyszka życia stała pocziwa
żona, powolnego umysłu i charakteru, a tak nawykła
do posłuszeństwa i ujarzmiona do pracy, że cieniem
chodziła za mężem i była tylko bierną wykonawczynią
jego rozkazów. Serce nawet potrafił w niej zasuszyć
i przytłumić pan sędzia, że się ani bić, ani odezwać
bez pozwolenia jego nie śmiało... Patrzała wprzód
w oczy panu swemu, nim myśl, nim uczucie wyraziła,
dla własnych dzieci nie śmiejąc być matką. I chłodu,
i pracowitości, i skąpstwa potrafił ją mąż nauczyć,
wszelką w niej zabijając władzę, wolę i samoistość.
Zastąpiło ją uwielbienie dla głowy domu, cześć dla jego
rozumu, wiara nieograniczona w jego najwyższą mą-
drość i poddanie się niewolnicze. Pan Szarski począł

współ z nią wychowanie dzieci wedle stariej metody,
która naprzód dogadzała oszczędności Litwina, potem
miała tę zasługę w oczach jego, że była tradycyjną,
prawieczną. Obchodzono się z niemi ostro, surowo,
zimno, nigdy im nie odsłaniając serca, nigdy nie do-
gadując w niczem, a nie myśląc, że te posłuszne lal-
ki kiedyś w świat puszczone, przywykły opierać się
na kimś zawsze, paść potem mogą bezsilne wśród dro-
gi, gdy im zabraknie podpory.

Stanisław był najstarszym z rodzeństwa, i nieroz-
winiętemu jeszcze w czasie dzieciństwa swojego syste-
matowi wychowania ojcowskiego winien był trochę
więcej swobody i niezupełne zabicie w nim własnego
życia. Ale w miarę jak rósł, jak przychodzili na
świat bracia i siostry, pomnażało się rodzeństwo i oj-
ciec umacniał w powziętych ideach swoich, a matka
słabła przed nim, coraz ciężej jakoś poczęło mu być
na świecie. Szczęściem przyszły szkoły, poleciał tro-
chę za dwór krasnobrodzki i odetchnął; a choć oj-
ciec surowość i dozorcę i nauczycielom zalecał wzglę-
dem dziecka, żadna wszakże niewoli domowej wyrównać
nie mogła.

To też ile razy przyszło pod dach rodzinny powra-
cać, z radością, którą budziło przywiązanie ku niemu,
mieszał się strach i niepokój nieopisany, bo dni spe-
dzane u rodziców były dniami niewoli babilońskiej.
Ojciec, zaledwie wstąpił na próg, obejmował na chwilę
przelaną innym władzę swoją, i miotał młodym chłop-
cem nielitościwie.

Dwie lzy puściły się z oczu Stanisława, gdy
bryczka—którą powoził fornał, równie przestraszony
jak panicz;—bo mu w drodze koń zakulał,—zastuko-
tała na mostku ostatnim i wtoczyła się w dziedziniec.

Jeszcze chwila... a trzeba było stanąć przed strasznym sędzią... Wózek się zastanowił, i nim Staś wyskoczył, aby powitać ojca, matkę, braci i siostry, już oko sędziego z ławki, na której siadywał, dozierając z daleka gospodarstwa, dostrzegło kulawego konia, i pan Szarski przybiegł cały rozogniony, z góry wpadając na fernala. Nie myślał już witać syna, który stał strwożony, nie mogąc ani przybliżyć się do ojca, ani przed ojcem uścisnąć matki i rodzeństwa—ale pochwycił parobka za ramię i grzmiącym głosem zakrzyknął:

— Co to jest? Abramek kuleje? Abramek kuleje?

— Ja nie winien, proszę jwpana... począł wyprostowując się fernal cały drżący z przestachu. *Musi* się gdzieś podbił, bo nie był kuty, a ja już nogę opatrywałem... nie ma nic...

— Czyś ty go gdzie tylko na krętym zawrocie, albo prowadząc po swojemu do wody, nie spleczył, łajdaku? zawołał sędzia. Oj! będąż basy, będą basy, jeśli się to okaże!

To mówiąc, ujął Szarski Abramka za pęcinę silną dłonią, popatrzał w kopyto, które sam oczyścił, pokręcił głową, i dopiero nakiwawszy fernalowi pod nosem, podał synowi rękę do pocałowania, ale bez najmniejszej oznaki czułości. Spojrzał na niego jakby szukał za co pogderać zaraz, odebrał listy nauczycieli i świadectwa, począł je czytać, a chłopiec po cichu poszedł ucałować rękę matki drżącój i rzędem stojących siostr i braci.

Sędzia rozpatrywał się w papierach, niczem nie okazując w twarzy, jakie na nim czyniły wrażenie; złożył je, obejrzał się, dostrzegł, że młodsi stoją w ganuku, i donośnie zawołał:

— No! do roboty! Będzie czas ze Stanisławem się zobaczyć; teraz godzina lekcji... godzina pracy... do swego!

Dzieci znikły natychmiast; została tylko matka, to na syna, to na męża spoglądając bojaźliwie.

— Kontent jestem z wasana, rzekł ojciec po małej pauzie do Stanisława, który pośpieszył drugi raz rękę jego ucałować. Szkoły skończyłeś dobrze, pochwały ci oddają... dopełniłeś obowiązku. Dziękować ci za to nie będę, boś zrobił tylko to, coś był powinien... Ja na was w pocie czoła pracuję, wy także na swoją przyszłość zarabiać powinniście. Dziś masz dnia resztę na odpoczynek i pogadankę z matką; a że młodemu czas drogi, ja się zaś nie mam kim wyręczyć... jutro do gospodarstwa.

Stanisław śmielszy był trochę, póki z niego swoboda szkolna nie wywietrzała; postanowił więc, korzystając z dobrego usposobienia ojca i własnej śmiałości, na razie zrobić uwagę potrzebną, któraby później może przyjętą już być nie mogła.

— Rozkaz ojca dobrodzieja święty dla mnie, rzekł głosem trochę za nadto odważnym widać, bo sędzia brew namarszczył i głowę odwrócił zdziwiony;—ale...

— Co? *ale?* jakie *ale?* zkad tu przyjechało to *ale?* Zacerwienił się Stanisław, ale dokończył:

— Jeżeli ojciec dobrodziej pozwoli mi dalej naukom się oddawać, czas wakacyjny zaledwie wystarczy na przygotowanie się do egzaminu...

Sędzia nigdy nie odstępował swego, choćby nawet w głębi uznał, że się omylił... zwłaszcza z dziećmi.

— Wasan myślisz mnie już uczyć? spytał; dla tego, żeś szóstą klasę skończył? A ja, kpie jakiś, piątą krzyżyk kończę, to trochę więcej niż szósta klasa!

Znajdzie się czas na wszystko, byle bąków nie zbijać i do góry brzuchem nie leżeć. Powyznaczam godziny, a chcę, żebyś waść się z gospodarstwem oswoił i mnie w niém pomagał. A teraz—dodał wskazując ręką—idź waść do oficyny... Jest tam izdebka, z Falszewiczem stać będziesz razem, rozpakuj się i uporządkuj.

Takie było w domu przyjęcie poety. Ale mimo surowości ojca, pozornój obojętności matki, nieśmiałości rodzeństwa, niewygód mieszkania zajmowanego na wspólnie z bakałarzem młodszymi braci, niejakim Falszewiczem, nieznośną kompaturą, mającą tę tylko zasługę, że była poslušna i tania,—Staś czuł się szczęśliwym w Krasnobrodzie.

On kochał to miejsce ciężkich prób, ale drogie dzieciństwa wspomnień, i powitał je niemal ze łzami. Każdy kątek przypominał mu jakąś chwilę przebycia, rzadko miłą, prawie zawsze straszną, ale skrytyzowaną już w głowie i sercu poety w ten brylant drogi, który się pamiątką nazywa. Pomimo że Stanisław był już dorosłym, i inni rówieśnicy jego używali na świecie zupełnej swobody, on najmniejszej nie miał w domu. Nie mówił już, że mu brakło najpierwszych wygód życia, bo na to się nie skarżał i nie bolał, choć często wstyd było w przerobionem widocznie odzieniu ojcowskiem lub z wytartymi łokciami i dziurawymi bótami jechać do kościoła... ale do serca nie miał nikogo. Pocziwa matka słuchała wszystkiego prócz uskarżań na ojca, na które milkła jak ściana, zagryzała usta, i dawała zaraz do zrozumienia, że nawet uszami uczestniczką ich być nie chce. Bracia byli tak młodzi, siostry tak dziecinne, a tak rzadko było się można z nimi spotkać sam na sam i poufale, że Stanisław żył zupełnie samotnie i w sobie. Falszewicz

bakałarz, z którym mieszkać był zmuszony, więc mu ciężyl niż osładzał tę pustynię. Był to jeden z tych głupców, którzy się wyuczyć mogą parę rzeczy i całe życie je powtarzać, ale sądu nie mają żadnego, i wloką się po drodze poziomą omackiem. Pomnażało to głupotę jego, że się napijał trochę, a sędzięgo tak się obawiał, iż drżał na samą myśl obrażenia go czełmkolwiek, i gotów był nawet donosić mu co gdzie zobaczył, byle choć trochę łaski u niego pozyskać.

Sądził się on o wiele lepszym od szóstoklassisty mającego dopiero iść do uniwersytetu, a przecucie mimowolne umysłowej Stanisława wyższości czyniło go zazdrosnym i niechętnym. Że zaś ojciec postawił go z nim razem, Falszewicz wziął sobie za obowiązek pilnować Stasia i dokuczać mu ile zdoła. Nie było sposobu trzech słów z nim pomówić, bo prócz grammatyki i rudymentów elementarnych, które zksiążki, nie szczędząc linii jako środka wykładu, powtarzał... prócz plotek domowych i kilku piosenek ulubionych,—głowę miał pustą, jak stare pudło nadgniłe na strychu. Na samo spojrzenie na jego facyatę, całą oblaną czerwonością, a niekiedy aż granatową, spłaszczoną nakształt mordy mopsiej, z czołem nizkiem, nad którym włos szczecinowaty do góry porastał, z ogromnemi odstającymi uszami i nosem gulkowatym—na postać ku ziemi pochyloną z nadzwyczaj długimi rękami, zwykle wiszącymi w dłuższych jeszcze kapoty rękawach bezwładnie,—odpadała ochota zacząć go nawet.

Pierwszy wieczór przeszedł jeszcze jakkolwiek; Falszewicz choć zamyślony i usiłujący udawać starszego i zwierchnika, był znośny. Nazajutrz zaraz ojciec

postawił Stanisława przy młockach, wprawdzie z książką, ale mu ledwie parę razy dał wybiedz do domu. Tymczasem ciekawy a głupi ów nauczyciel napadł na papiery studenta i począł je nielitościwie wertować. Włosy powstały mu na głowie, gdy ogromny sekstern wierszy zobaczył i dowiedział się z nadpisu, że to są poezye pana Stanisława. Próbował je czytać, a nie zrozumiałwszy nic prawie, rozgniewał się i rozplomienił bardziej jeszcze, schował *corpus delicti* do kieszeni, stancję na klucz zamknął, a sam co najprędzej poleciał z donosem do sędziego.

Sędzia wedle zwyczaju był na polu, ale to nie wstrzymało gorliwego delatora, który sadząc przez płoty i rowy, zdyszany cały poleciał do niego na poletek. Widząc go w tak niezwykajnej porze goniącego za sobą, pan Szarski domyślił się, że to nie jest bez kozery, powstał z półkopka, na którym siedział, i pośpieszył wyprostowany ku niemu.

Falszewicz tak był rozgniewany i wzburzony swojem odkryciem, a rad, że tą przepotęzną gorliwością na kieliszek starki może zasłużyć, iż prawie mówić nie mógł. Zdjął czapkę z daleka, starając się wysapać za wczasu.

— Czegoż to aż tu mnie wasan łapiesz? zapytał sędzia.

— Jest racya, proszę jwpana, odparł dobywając papierów z uśmiechem lisim Falszewicz. Odkryła się śliczna rzecz! Jwpan zna moje przywiązanie do swojej osoby... Otoż... jak tylko pan Stanisław poszedł do stodoły, przez życzliwość, przez gorliwość, chciałem zająrzeć do jego papierów co tam stoi... bo ja się to na tém znam! Ha! ha! choć z czwartej wyszedłem, ale i szóstoklassistę w kąt zapędzę. Kiedy ja do tych

papierów, proszę jwpana... a tu co?... Ot co... pokazuje się, że pan Stanisław wiersze pisał!

Podniósł głos i ogromnie oczy wytrzeszczył, dodając wagi swój rewelacyi.

— Słyszysz jwpan... wiersze pisał!

Począł przewracać schwytany sekstern, i wpadając na miejsce założone wcześniej kawałkiem papieru od cukru, dodał cały drżąc z ukontentowania:

— Ale to nic jeszcze!... Niech-no jwpan patrzy! ot co! ot! *Do nieznanój kochanki!*

Sędzia pobladł, zadrżał, osłupiał... w milczeniu wziął papier w rękę, chcąc się naocznie przekonać o zbrodni... spojrzał, zaciął wargi, i widać było, że w nim wewnątrz się burzyło, ale rozum gniewu na wierzch nie puszczał.

— Dziękuję waćpanu, rzekł głosem zmienionym, chowając papiery. Powiedz waćpan mojej żonie, żeby ci dała kieliszek starki... Ze Stasiem ja się rozmówię...

Falszewicz z radości, aż zatarł ręce i uklonił się nisko.

— Już to proszę jwpana, nikt pewnie gorliwiej mu nie służy.

— Wierzę waćpanu, wierzę, odwracając się odparł sędzia; ale ruszaj do młodszych, ze starszym ja sobie dam rady.

Staś ani się domyślał burzy, jaka go czekała za powrotem wieczornym do domu. Chmurna twarz ojca nie mu z razu nie zapowiadała; dopiero gdy przy powitaniu zamiast spytać o pańszczyznę i podać rękę do pocałowania, sędzia usunął ją i groźnie spojrzał mu w oczy—postrzegł, nie wiedząc o co chodzi, że będzie miał ciężką chwilę do przebycia.

— A dobrze, żeś przyszedł, odezwał się syczącym

głosem Szarski. Mam tu ci coś powiedzieć... Słuchaj... co to jest?

I wskazał sekstern założony jeszcze sinym papierem na nieszczęsném westchnieniu do nieznajomój kochanki... potężnym i coraz groźniejszym powtarzając głosem: „Co to jest? co to jest?”

Stanisław pobladł, zadrżał, zmieszal się.

— To są ćwiczenia, odparł po cichu.

— Za takie ćwiczenia i nauczyciela i ucznia w istocie oćwiczyć warto, przerwał gwałtownie ojciec. Do czego waćpanu wiersze? do czego smarkaczowi kochanka? To o tém waś myślałeś w szkołach?...

Stanisław oczy spuścił, i serce tak mu w piersi bić przestało, jakby miał w miejscu umrzeć; ale nielitościwy ojciec, choć widział tę męczarnię, nie darował synowi ani jednego słowa wyrzutu, którego słuchali nadbiegająca matka, bracia i z za węgła niepocziwy Falszewicz.

— Taka to wasza nauka! to u waści w głowie! Ale ja rychło boćkowskim batogiem wypędzę te ideały. Jeśli mi wasan dwa wiersze jeszcze napiszesz, klnę się, że za każdą syllabę po dziesięć nahałów wyliczę, a znasz mnie waćpan, że darmo nie straszę! Teraz precz, do stancyi, i ani mi się pokazuj na oczy.

Stanisław odszedł pół martwy; ledwie się wlokąc, dosunął do łóżka i upadł na nie, tłumiąc łzy, których się wstydził. Sędzia wrócił do dworu; braciom i siostrąm zakazano widywać winowajcy, matka naturalnie ani się śmiała wstawić nawet za nim, a Falszewicz uśmiechając się sam do siebie, poszedł zaraz nasycać się upokorzeniem nienawistnego szóstoklassisty.

Zapalił sobie fajeczkę bakonu, która po kieliszku starki najlepiej mu smakowała, i począł śpiewając,

przechadzać się po ciasnej izdebce, humorem swym urągając cierpieniu młodego człowieka, na którego z bydlęcém szyderstwem poglądał.

Pomimo odosobnienia, w jakim żyli państwo Szarscy, których rzadko jaki sąsiad odwiedzili to nigdy bez interesu, niewielka liczba krewnych całkiem z nimi nie zerwała stosunków. Rodzina ta niegdyś w swoim kątku bardzo można i znacząca, miała w nim jeszcze związki familijne z przedniejszymi domami. A że sędzia, jak na szlachetkę, miał się dobrze i uczciwym był człowiekiem, nie wzdrygano się mimo jego dziwactwa i braku wychowania, uznawać go za krewniaka, a nawet parę razy do roku być u niego z ceremonialną wizytą. Od stryjecznych stryjeczny czy może dalszy jeszcze, pan Adam Szarski zajmował dość znakomite stanowisko między obywatelstwem okolicy. Był to człowiek bardzo bogaty, jedną tylko mający córkę, wychowany sam starannie, dom utrzymujący na wielką stopę, słowem, do wyższego już niby należący świata.

W głębi nie był to zły człowiek, miał swoją dobrą stronę, ale wszystkie niemal przymioty jego psuła żyłka do arystokracji, pragnienie połączenia z panami, ubieganie się o dobry ton i nazwisko magnata, słowem, chęćka zrzucenia z siebie skóry szlacheckiej. Majątek a nawet urodzenie dawały mu do tego niejakie prawa, ale Szarscy, co niegdyś krewnili się z Pułchami, Sołohubami, Sapichami i Radziwiłłami na-

wet, doznali losu wspólnego wielu innym rodzinom. Podupadłszy na fortunie przez nieopatrzność rozrzutność dwóch z kolei pokoleń, zmuszeni zostali blisko przez lat sto wegetować prawie w zapomnieniu i wyszedłszy z koła arystokracji, nie wiedzieli, którymi drzwiami do niej wrócić.

W ogólności, jak tylko, przerwie się raz czémkolwiek tradycya państwa, jak tylko pokoleń kilka przywdzieje szaraczek szlachecki, a starać się przestanie o coraz świetniejsze związki, wnet i po wiekowych zasługach... Na nowo się trzeba dorabiać przyjęcia do ściśniętego grona, w którym wszystkie miejsca zajęte, które raz wyszłych z trudnością nazad przypuszcza. Choć więc już dziad pana Adama Szarskiego dorobiwszy się na dzierżawach znacznego majątku, zostawił synowi prawie magnacką fortunę, choć syn jój jeszcze przyrobił, a wnuk pomnożył pracę i ożenieniem, choć pan Adam odebrał jak najstaranniejsze wychowanie i po francuzku lepiej umiał niż po polsku, co jest już znamieniem i piętnem najarystokratyczniejszym, — przyjmowano go wprawdzie wszędzie, ale czuć było można w grzeczności, z jaką witano, że nie myślano dopuszczać go do poufałości zupełnej, ani z sobą postawić na równi. Naprózno silił się na przyjęcia, dawał bale, naśladował wszystkie najmodniejsze głupstwa i wmaślał sobie najdziksze nałogi kursujące po świecie, do którego tak pragnął należeć — próżno sprowadził kucharza cudzoziemca, wybudował pałac, sprawił liberyę i ustanowił w swym domu ceremoniał wcale nie wiejski a dosyć śmieszny... panowie na to wszystko jeszcze kręcili nosem. Jedli, pili, ściskali, winszowali, pożyczali pieniędzy, przyjaźnili się nawet, ale zawsze

w obejściu ich znać było, że raczyli zstąpić do niego i wymagali wdzięczności za łaskę, jaką mu zrobić raczyli.

Zona pana Adama była już nawet córką téj kasty tak zazdrośnej, należała do niej krwią i duchem; a jednak mężowi indygenatu wyrobić nie mogła. Posłała ona za pana Adama z przywiązania i kochała go bardzo, to jest tyle, ile prawdziwa wielka pani kochać może, bo tu i miłość ma swoje oddzielne warunki. Najprzód powinna być przyzwoitą, to jest choć na pozór chłodną; powtórę musi być nie śmieszna, bo śmieszność za kryminał gorszy od zbrodni się uważa; wreszcie nie powinna wymagać ani ofiar, ani poświęcenia zdrowia, ani najmniejszej przykrośki, i nie mówić o sobie, nie popisywać się z sobą, pokrywając się nawet ile możliwości zalotnością swobodną, a niekiedy bardzo daleko posuniętą, dla odwrócenia uwagi. Pani Marya (tak ją zwano) kochała też męża bardzo, ale w sposób przyzwoity, tak, że niktby tego po niej nie poznał, gdyby rzeczą powszechnie przyjętą i uznaną nie było, że jest heroiną przywiązania. Oboje zaś państwo Szarscy ubóztwiali, rozpadali się nad jedynaczką córką swoją, śliczném dziecięciem, a raczej miluchną już panienczką, bo Adelka choć w kapelusiku szwajcarskim i spodeńkach chodziła, miała już podobno rok piętnasty.

Adelka... jak tu ją wam opisać? Zdaje mi się, że dla tak młodziuchnej istoty dość pasportowego rysopisu, bo wszystkie dziewczątka tego wieku są trochę do siebie podobne, z małemi wariantami; świat je dopiero potem przerabia na to, czém być mają. Adelka miała oczy czarne prześliczne, z bardzo długimi rzęsami, twarz doskonałego owalu, włos bujny ciemno-

orzechowy, była nadzwyczaj biała, rumiana, świeża, bardzo swawolna i samowolna, bo też niezmiernie pieszczona, a w małej jej figurce tyle się zawierało wdzięku, że tego drobnego cacka nie zmieniliby rodzice na najdorodniejszą dziewczę. Zdawało się, że Adelka nie wyrośnie już nawet z trochę niepokojącej małości, bo się zupełnie uformowała; ale taką miała szykowność, taki wdzięk ruchów, taką form doskonałość, że niemal strach brał, żeby się to nie popsulo o jeden cal więcej podrastając.

Taki był skład domu krewnych państwa Szarskich, o których gdy kto nawiasem wspominał w Krasnobrodzie, pan sędzia skłaniał głowę z szyderską trochę uniżonością, i szeptał podnosząc rękę do góry:

— Wielkie pany! wielkie pany! Wysokie progi na szlacheckie nogi... Jaśnie wielmożni państwo Szarscy!...

Jednakże sędzia szanował ten dom i nie zrywał z nim stosunków. Na imieniny pana Adama i samą pani jeździł wystrojony; przybyłych do siebie przyjmował nadzwyczaj grzecznie, a nawet pilnował gęby, żeby im nic przykrego nie powiedzieć, o co u niego najtrudniej było, bo zadomowienie uczyniło go aż do zbytku prawdomównym. Kiedy niekiedy pan Adam sam lub z żoną i córką przyjeżdżał do Krasnobrodu, zwykle po południu, i spędzał u kuzynka godzinę jaką, wszystko u niego chwalać niezmiernie, choć w istocie nie było się nad czém unosić, zwłaszcza dla takiego jak pan Adam człowieka, przywykłego do wytworniejszego rodzaju życia, do obyczajów innych i różnych nawet wcale warunków materialnej egzystencji. Pani sędzina, która nigdzie nie wyjeżdżała z domu, pomimo grzecznych zaprosin nie bywała u Adamowstwa, i w ciągu lat kilkunastu parę razy tylko,

zebrawszy się na nowy czepek, jadła u nich wielkocnocne święcone. Nie miano jej jednak tego za złe, bo wiadano, jak mało zależy od siebie.

W parę dni po opisanych wypadkach trafiło się, że przypadła doroczna wizyta pana Adama w Krasnobrodzie; a że tam nikt prawie nie bywał prócz urzędników za interesami, jak tylko postrzeżono powóz zbliżający się drogą ku dworowi, wszystko co żyło, poznawszy konie i pojazd pana Adama, ruszyło się do niespodzianych przygotowań odwiedzin. Żeby jakkolwiek przyjąć choćby nie tak wymyślnego nawet gościa, wiele w istocie brakło, bo w domu opuszczonego ani jednego porządnego pokoju nie było. Skoro wiadomość o gościu gruchnęła, wszyscy, poczynawszy od samego pana sędziego, jeśli się porządkować napędce. Z sieni musiano wynosić skóry i balejki, z pokoju gościnnego motki i garnuszki, dzieci potrzeba było odziewać, samym się przebierać, zamiatać, kadzić, ścierać, ustawiać. A że sędzia się niecierpliwił, sędzina płakała, na dzieciach zaś krupięło się, a słudzy potracili głowy, więc gdy kocyk pana Adama zastanowił się przed gankiem, spotkał wynoszących jeszcze stolik brudny w jedną, a nieculki w drugą stronę.

Ale pan Adam gdy chciał, umiał nie widzieć, i powitawszy kuzyna w progu, odwrócił się zaraz ku drzewom, których wzrost począł chwalać, zazdroszcząc ich Krasnobrodowi, a tak długo unosił się nad niemi, póki drugą stroną domu reszty gratów nie ponoszono. Dopiero przeczuwszy, że już do pokoju wykadzonego różkiem wejść można, ruszył się gość ku niemu.

Tu już na jego powitanie gotowa czekała pani sędzina w prawie świeżym czepku i nowiuteńkim per-

kalowym szlafroku, dwie starsze dziewczątka widocznie naprędce uczesane i jeden chłopczyk zapinający jeszcze skórzany pasek, który mu świeżo włożyć dozwolono. Dym bursztynu, pomieszanego ze smołą i łupinkami jabłek, unosił się jeszcze w sinawych obłoczkach po izbie, trzymając się za ręce z pyłem podniesionym przez szybkie zamiatanie... ale pan Adam z uśmiechem wszedłszy, zdawał się na nic niemiłego nie zważać, i choć się trochę krztusił, złożył to na męczący go już od tygodnia kaszel.

Sędzia swoim zwyczajem surowy i ponury, zasiadł rozmową bawić kuzyna; sędzina wyszła zaraz myśleć o ciężkiem zadaniu herbaty, do której nic prócz chleba i suchych czarnawczyckich obwarzaneczków nie było; a dzieci obrawszy ostrożnie pozycę we drzwiach od drugiej izby, ztamtąd się paradowemu gościowi tchórzliwie przypatrywały. Z kolei przeszła mowa do konsolacji, o której Szarski z obcymi mówiąc, zawsze z nadzwyczajną odzywał się czułością, a pan Adam upomniął się o Stanisława, który w tej chwili okdomenderowany był do stodoły.

— Al! powiniszować kuzynkowi kochanemu! rzekł z uśmiechem: słyszałem, że Staś powrócił skończywszy szkoły z wielką pochwałą; powiadano mi, że chłopiec bardzo zdatny, był słyseż jednym z pierwszych i wziął nagrodę... Ale gdzież to kochane dziecko? Chciałbym się bliżej poznać ze Stasiem.

Pan Szarski mimo swęj prawdomówności, nie śmiejąc się przyznać, że szóstkassista zastępuje gumienego, wytłómaczył polowaniem nieprzytomność Stanisława, a sam ruszywszy się zaraz, wysłał Falszewicza, żeby go zastąpił w stodole, i przypędził do pokoju, zaleciwszy, żeby się przyzwocie ubrał.

W kilka chwil potem wszedł i Stanisław w nowym mundurze, gdyż choć klasy skończył, innego nad to odzienia nie miał. Pan Adam niezmiernie uprzejmie zbliżył się do niego, i tysiącznemi osypawszy pochwałami, rozpytując go o szkoły, o towarzyszków, nauczycieli i dalsze projekta, posadził przy sobie.

Położenie Stanisława było nadzwyczaj przykre: przytomność ojca paraliżowała go zupełnie, spojrzenie jego odejmowało mu mowę; nie wiedział co począć z sobą. Ale kiedy kto pragnie brać co za dobrą monetę, wszystko mu wówczas dobre, i pan Adam najmnij znaczące półsłówko z najlepszej sobie tłómaczył strony, odkrywając w niem zaraz coś bardzo dowcipnego i trafnego.

— Zapewne Staś pojedzie do Wilna? spytał pan Adam: bo szkoda, żeby takie zdolności zagrzebał na wsi, przy gospodarstwie...

Ojciec odpowiedział za niego skinieniem głowy.

— Tak jest panie dobrodzieju... choć to nam bardzo ciężko, ale musimy ściągnąć, żeby go do Wilna wyprowadzić.

— Na jakież oddział?

— A na medycynę, rzekł sędzia: to, co chleb daje najłatwiej.

Pan Adam zmieszał się; chodziło mu o imię Szarskich, którego żaden jeszcze medyk nie nosił.

— Piękna nauka, rzekł polykając ślinkę; ale czy tylko Staś ma do niej pociąg jaki?

Staś naturalnie oczy spuścił i słowa nie śmiał odpowiedzieć.

— Już to czy ma, czy nie ma—odparł sędzia—musimy najprzód myśleć o powszednim chlebie, to grunt.

— Ale zdaje mi się kuzynie kochany, że go twoje dzieci i tak mieć będą.

— Sześcioro! sześcioro! poważnie odparł sędzia. Ja nie długowieczny, niech się na gotowe nie spuszcza.

Na tém urwał się niemiły przedmiot, a widać było, że ta medycyna strasznie przykre, choć nieokazane awniew, na panu Adamie uczyniła wrażenie.

— Wiele jeszcze czasu ma Staś przepędzić w domu? zapytał po chwili.

— Kilka tygodni; nim się zbiorę na grosz, na odzienie, na wyprawienie go, bo to wszystko kosztuje, a czasy ciężkie, rzekł sędzia. Od gęby sobie odrywać potrzeba.

— Radbym się ze Stasiem bliżej poznać, przerwał pan Adam. Pozwólże mu panie sędzio, na jaki tydzień do mnie przyjechać... zrobisz mi wielką łaskę.

Stasiowi aż serce uderzyło, ale prócz ukłonu na nic się nie zebrał, bo woli własnej nie miał. Sędzia widocznie się zmieszał... nie chciał odmówić, nie życzył sobie pozwolić. Potrzeba było dać koni, dać może kilka złotych na drogę; rachował i to, że nowy mundur codzień występować będzie i znacznie się przyszarża; nie chciał też od boku swego puszczać Stanisława, bo się obawiał towarzystwa, które mu głowę zawrócić mogło... ale z tak grzecznym kuzynkiem nie było sposobu. Począł tak naglić, tak nacierać, tak może skutkiem rachuby jakiejś napadać na sędziego, że ten wreszcie dał słowo, iż Stasia przysze na tydzień do Mruczyniec.

Tą chwilą spodziewanego odetchnienia zabiło serce młodemu chłopcu, ale drogo ją okupić było potrzeba. Wiedział Stanisław, że po odjeździe pana Adama znie-

sie niewinnie burzę, wymówki i łajania, a nim go do Mruczyniec wyprawia, wymęczyć się będzie musiał kilkodniowym prześladowaniem. Najniespodzianie jednak wszystko to go minęło.

— Ot wiesz co, kochany sędzio, rzekł ściskając go za ręce pan Adam, który zdawał się uparcie stać przy swjej myśli pochwylenia na czas jakiś Stanisława: daj mi Stasia zaraz, a nie będziesz go potrzebował odsyłać, zabierze się w moment, a ja dłużej się nim pocieszę.

Sędzia widocznie się zafrasował, nie będąc pewien ani całości butów, ani wyprania bielizny studenta, opierał się, wywijał, ale im silniej się wykręcał, tém silniej nastawał pan Adam. W ostatku, po cichj naradzie z sędziną w drugim pokoju, gdy się okazały i nowe przyszw, i koszule białe, choć złe i zniecierpliwiony, na odjazd pozwolił.

Staś poleciał do oficyny robić tłomoczek, a w pół godziny później, po mozolnie odbytej herbacie, którą pan Adam przełknął jak miksturę, byli już na drodze do Mruczyniec.

Tu całkiem inna atmosfera otoczyła młodego chłopaka, wśród której chociaż się czuł nie swój, bo mu nieśmiałość jego wrodzona i wyrobiona obejściem domowych ciążyła i nie dozwalała pokazać się kiur był w istocie,—lżej daleko, swobodniej było Stasiowi. Gdyby nie ciągle upokorzenia, na jakie go narażała nieznajomość świata i nieżnośni pańscy słudzy, byłby prawie szczęśliwy. Miał tu książkę, czas do dumania,

wolności trochę i spokoju, czego dotąd nie zaznawał Pan Adam przytém, ona sama i Adelka nawet, niezmiernie byli grzeczni, uprzejmi i uprzedzający dla Stasia.

Po kilku jednak dniach oswoił się ze wszystkiém, ze wszystkimi, i odetchnął. Nie pierwszy to już raz przybywał do Mruczyniec, dokąd go prawie co wakacje i święta na dni kilka zabierał pan Adam... znajomość jego z Adelką była stara, i podobno nawet ów wiersz do nieznajomej kochanki, wspomnieniem czarnych jéj oczek był natchniony.

To dziecię pieszczone, strojne, miluchne, nie mogło być Stanisławowi obojętne... była to pierwsza kobieta, do której się poufaléj zbliżał, pierwszy ideał, jaki mu zabłysnął na ziemi. Bawili się z nią dniami całemi, i dziewczę przecuciem już poczynąło zalotnie się uśmiechać do kuzynka, którego uwielbienie i miłość dla siebie instynktem poznało. Państwo Adamowstwo, albo tego nie widzieli, lub nie myśleli zważać na to, co słusznie za niewinne uważali dzieciństwo. Towarzyszka zwykła Adeli, Francuzka panna Susse, w tych platonicznych miłostkach dwojga wyrostków miała sobie zabawkę, śmiała się z nich i ledwie im nie pomagała. Poczęło się to od wejrzeń, od słówek, od zrywanych razem kwiatków, od przepisanej piosneczki i ciągnęło się wesoło dalej a dalej z dnia na dzień.

Tymczasem korzystając z pory, pan Adam zbliżał się także do Stasia, usiłując go wybadać, a że go ta projektowana medycyna dusiła, próbował czy nie znajdzie w chłopcu wątku jakiego do opozycji woli ojcowskiej. Chciał nawet, jak się zdawało, wziąć na siebie ciężar przerabiania sędziego, gdyby się powód znalazł do tego.

Dostarczyła go poezya... Staś nadto był młody, zbyt otwarty, ukrywać się z czémkolwiek nie umiał; drugiego więc dnia zapął, z jakim się rzucił do książek, rozmowa, półsłówka odkryły w nim poetę.

— A cóż to będzie z medycyną? zapytał pan Adam.

Stanisław westchnął tylko głęboko.

— Nie godzi się, zdaje mi się—rzekł poważnie kuzyn—zagrzebywać daru bożego marnie; powinieneś ojca prosić, żeby cię pokierował drogą właściwą... a ja... jabym ci w tém u ojca mógł dopomóc.

Na samą myśl sprzeciwienia się ojcu, Stanisław zadrżał, pobladł i stanął jak wryty.

— Al! panie! zawołał: to być nigdy nie może... Ojciec co raz postanowił, od tego nigdy nie odstąpi. Zmiłuj się pan, nie mów mu nawet o tém: nie darowałby mi nigdy saméj myśli.

Pan Adam pokręcił tylko głową.

— Ale wieszże do czego to prowadzi? zapytał. Nie będziesz ani poetą i pisarzem dobrym, ani lekarzem wziętym... chybisz swoje powołanie i zmarnujesz życie.

— Cóż na to poradzić! rzekł ośmielony Stanisław: będę w dzień pracował dla chleba, a w nocy dla serca i duszy.

Ezy zakręciły mu się w oczach i więcéj nie mówili już o tém, a pan Adam żywo tylko ramionami ruszył zniecierpliwiony; ale przy każdej okoliczności nie omieszkował przypominać, jak ważną jest rzeczą, ażeby życiem kierować wedle przyrodzonych zdolności, ku powołaniu jakiemuś ciągnących. Znajdowały się i przykłady wypaconej doli ludzkiej, przez nieposłuszeństwo głosowi wewnętrznemu.

Wszystkiego tego słuchał Staś pilnie, i coraz głębiej położeniem swoim się biedził, nie widząc na nie ratunku.

Jak sen przechodziły dni pobytu w Mruczyńcach, chłopak drżał na myśl powrotu z téj atmosfery dostatku, swobody, grzeczności, do krasnobrodzkiej oficy, stodoły, Falszewicza i utrapień domowych... Ale odpychając groźby zatruwające mu szczęście chwilowe, sercem całém Ignął do otaczającego świata.

Al! drogie to były chwile... komuż ich kilka na brzegu życia nie błysło? Przeznaczone na pamiątki, snuły się złociste, idealne, przebiegając się natychmiast w widma niepochwyczone... Dzień wczorajszy po nocy marzeń już wyglądał jak poemat; ranek widziany wieczorem już był pieśnią zachwycającą, a młoda dusza z siłą sobie właściwą, każdą chwilę wnet stroiła w szaty nieśmiertelne, mieszcząc je w najdroższym serca kątku. Wszystko tu jak w heroicznych wiekach było epoką, a najdrobniejszy wypadek, słowo, ruch... olbrzymie przybierały rozmiary. Wielka jest władza serca w téj chwili pierwszych uczuć i wrażeń:—tworzy ona z niczego nawet; cóż gdy cudny Opatrzność da jój wątek? Naówczas serce śpiewa epopeję życia, której, gdy ją przerwie rzeczywistość kamienna, nigdy potem dokończyć, nigdy powtórzyć nie potrafi.

Staś się całkiem zapomniał na tém miękkim posłaniu marzeń; budził się z gorączką, zasypiał rozogniony, liczył z przestachem chwile zbliżające go do odjazdu, z niesmakiem i wstrętem myśl jego zatrzymywała się na Krasnobrodzie, usiłował o nim zapomnieć, i pod różnemi pozorami odkładał powrót, który im bardziej się przeciągał, tém istotnie był groźniejszy.

Tymczasem dni biegly czarownie, wśród nieustannych wypadków, niedostrzeżonych oczom cudzym, a dla dwojga tych istot ważnych jak największe w świecie wstrząśnienie. Jednego dnia Adelka była smutna, nadąsana i kilka godzin nic nie mówiła do Stanisława... Staś przeżył cały wiek rozpaczy; to znowu młody chłopak onieśmielony słowem, odsunął się od niej, i nazajutrz wróciła mu wszystkie jego pamiątki... a wieczorem zbliżyli się do siebie i poprzysięgli wiekuiste przywiązanie. Data dnia tego, godzina wieczorna, fizyognomia nieba i ziemi, wyrły się głęboko w pamięci obojga... bo chwila ta była pierwszą krótkiego ich życia uroczystością. Nie mogli zamienić pierścionków, bo ich nie mieli, ale zastąpiły je dwie gałązki niezapominajek zerwane w ogrodzie... które prędko, o! prędko! uwiedły na ich sercach i zeszcły na piersi gorącej. Po tym wieczorze pamiętnym, który Stanisław niósł do siódmego nieba i wylał się z niego cudną ogniem pieśnią erotyczną... kochankowie uważając się za niezłomnym ślubem związanych, uspokoił się nieco, a Staś nawet przestał się tak bardzo obawiać powrotu do domu, pragnąc cierpieć dla niej i wyzywać nawet boleści, by niemi dowiódł swęj miłości.

Dni następnych, ostatnich, których każda minuta policzona była, żyli tylko z sobą i w sobie, oboje tworząc przyszłość i po swojemu rozwiązując wielkie trudności, jak węzły gordyjskie, mieczem młodości i zapalą. Adela ofiarowała się paść do nóg rodziców i wybłagać u nich pozwolenie. Stanisław miał z uszanowaniem, ale z niepohamowaną mocą charakteru powiedzieć wszystko ojcu, i nie dać się złamać ani groźbą, ani postrachem, ani najwymyślniejszą męczarnią.

Dla czegoż te sny i uczucia młodości tak piękne,

uroczyste, tak poetycznemi odziane barwami, tak są nietrwałe i kruche? Dla czego dojrzały człowiek chowając je w duszy, śmieje się z nich sam i urąga im, nie umiejąc poszanować świętej niewinności wyobrażeń pierwszej doby? Kiedyż w nas więcej jest uczucia, szlachetności zapału, miłości, poświęcenia i wiary we wszystko wielkie i piękne? wartże rozum i chłód późniejszy tych uniesień tak śmiesznych a tak wielkich swojej prostotą?

Niestety! jest to tylko chwila w życiu... tylko chwila, której przeczeniem cała reszta dni zastygłych, znudzonych i obrachowanych; dla szalonych tylko, co mieli szczęście postradać przytomność w tej epoce, przeciąga się ona po za zwykłe granice. A z pod siwego włosa, jak się to dziwnie wydaje ten rozkwit bujny, niepojęty, śmieszny a nieodżałowany! i któżby to nie dał skarbów lat późniejszych za zwrot jednej godziny z tych dni uroczych, za jedno takie serca uderzenie, za jeden taki polet w niebiosach! Ale nie nie powraca! nie się nie powtarza! a czas żelazną ręką wiedzie nas na górę, na szczyt łysy, z którego strąca — w wieczność.

Nareszcie nadszedł smutny, uroczysty wieczór pożegnania, wieczór ostatni. Sędzia nie doczekawszy się syna, zniecierpliwiony przysłał po niego bryczkę, i kazał fernalowi powiedzieć, żeby się stawił nazajutrz raniuteńko do Krasnobrodu. Stasiowi rozdarło się serce, ale posłusznym być musiał.

Szczęściem wieczór był cudny, a panna Susse lubiła bardzo przechadzki; wywiodła więc Adele, której towarzyszył naturalnie Stanisław, i ledwie się oddalili od domu, dwoje młodych znikło ję z oczu, biegnąc naprzód, by swobodnie pomówić z sobą. Oboje lży

mieli w oczach, i chwyciwszy się za ręce stali w milczeniu pod lipami, nie mogąc przemówić słowa.

— A! mój Boże! zawołał nareszcie Stanisław: wieczór ostatni. Kto wie na jak długo, na jakie wieki rozdzielić się musimy!

— Ale przyjedziesz do nas, nim te strony opuszczysz? spytała wzruszona Adela.

— Nie wiem, nie wiem! zależę od ojca! a czy pozwoli?

— Ja się o to nie pytam! ja chcę! ja każę... ja się gniewać będę!

— Wykradnę się,—przyjadę!

— Tak! o! tak, musimy się widzieć! pamiętaj!

Milezeli znowu, ale patrzali na siebie.

— I chowaj niezapominajkę! dodała Adela.

— Możesz wątpić? godziź się mnie posadzać?

— Pojedziesz do miasta, nowi ludzie, nowe twarze cię otoczą, wy zapominacie tak łatwo!

— O! a wy? Adelko!

— My kochamy raz i na zawsze!

— Raz i na zawsze! powtórzył Stanisław. Teraz, ja ci powiem: pamiętaj, pamiętaj te słowa!

I znowu poszli spuściwszy główki smętne, aż do końca ogrodu, podali sobie ręce, ścisnęli dłonie, a gdy panna Susse nadeszła, mrok tylko nie dozwolił jej dojrzeć błyszczących łez, które się w ich oczach kręciły.

Nazajutrz do dnia jeszcze, wszyscy spali w Mruczącach, gdy Stanisław odjeżdżał do domu. Zwrócił się ku oknom mieszkania Adelki, i w jednym z nich zobaczył z daleka białą twarzyczkę i białą chustkę, która go żegnała.

Ręką przycisnął do serca zeschlą już niezapominajkę, fornał zaciął konie, i wielkie topole dziedzińca zakryły mu szczęście jego na zawsze.

Pożądliwém okiem napróżno Staś upatrywał miasta, za każdém rozstąpieniem się czarnych lasów, które je osłaniały przed niecierpliwym młodzieńcem. Wlokąc się drogą piaszczystą powoli, posyłał wejrzenie przed siebie, i spotykał tylko drzewa, tylko piaski i coraz gęściej po nad gościńcem porozstawiane karczemki. Myśl jego to wyprzedzała konie, to się zwracała ku domowi i Mruczyńcom; trudno mu było przeszłość pogodzić z przyszłością, a gwałtem chciał je z sobą pobratać. W pośrodku każdego z marzeń młodzieńczych stawał surowy ojciec i twarda ręka odtrącała go z obranej ścieżki. Ostatnich kilka tygodni goryczą napełniły serce jego; przeżył je w prześladowaniu za poezję, w służbie niezdolnej, w upokorzeniach wszelkiego rodzaju, a gdy nadszedł odjazd do Wilna, ojciec mu zapowiedział stanowczo, że jeśli sobie z głowy nie wybije literatury, piosnek i wszelkich głupstw tego rodzaju, wyprze się go i do domu nie przyjmie. Musiał się więc zapisać na medycynę... obiecując wszakże pracować w dwójnasób i literaturę choć ukradkiem uprawiać. Z bardzo szczupłym wyprawionym fundusikiem, a mnóstwem przepisów i zaleceń oszczędności, Stanisław ani przeczuwał z ilu mu przyjdzie walczyć trudnościami w życiu, które rozpoczynał.

Od czegoż to niewyczerpane zapasy odwagi i za-

pału, któremi piersi człowiecze napełnia młodość? Możnaż z niemi zwątpić, zawahać się i upaść jak padają starzy?

Wszystko więc, nawet trudne zagadnienia przyszłości powoli w głowie Stanisława poczęły przybierać barwy wiosenne i przedzierzgać się w nadzieje... Wyglądał tylko miasta, by je powitać krzyżem świętym, modlitwą i pokłonem.

Wtém nad samą piaszczystą drogą ukazała się z lewej strony stojąca karczemka, przed którą stało parę bryczek i buda żydowska; a że słabe konięta chłopskie, któremi Staś jechał, już tak były zmęczone, że się ledwie wlokły, furman się zatrzymać musiał.

Był to widocznie jeden z tych domów szynkowych, które zapowiadają miasto, postawiony bez nadziei, by ktoś na dłużej tam zajechał, a więc bez obszernych stajen, i udający daleko coś lepszego niż był w istocie. Nad dolném mieszkaniem, w piasku zakłęśł, udającem sutereny, a galeryjką otoczoném, wznosił się ganeczek z wykwintnemi słupkami i wejściem po wschodkach. W oknach izdebki gościnnej widać było zawieszone przed kilku zapewne laty franki i dwie doniczki geranium i karolinki.

Gospoia całkiem już po miejsku przebrana i nie bez wdzięku, częstowała właśnie w téj chwili z kwadratowej flaszy furmanów, uśmiechając się i szczebiocząc, a drugie dziewczę, młodsze od niej, stało na galeryi, mizdrząc się może z nałogu, bo nie było do kogo. Zresztą karczemka ta, która zwykle bywa stacją furmanów, co konie w piaskach zmęczyli, a zwabiała ich taniością wódki pieprzem tureckim podprawianej... stanowiła także kres dla odprowadzających przyjaciół, co się bez kilkakrotnych uścisków rozstać

nie mogli. W jęj jedynęj a dość lichęj izdebce, któręj całą ozdoba był tapczan, ławy, podarta firanka i nędzna kwiatków zapomnianych zieloność, nieraz spi-jano przywiezionego z miasta szampana, nieraz też odbywały się nocne hulanki, na które w mieście miejsca zabrakło.

Smutne to było jak każda pod miastem gospoda, wonięjąca pijaństwem, będąca zwykle przytułkiem naj-ostatniejszëj wygnanęj z grodu hałastry... Odrapanie ściany, spłowiąły szyld (*armes parlantes*, bo wyobra-żał butel i kieliszek), poobrywana miejscami galeryj-ka i powytłukane okna nie dodawały jęj wdzięku, a kilka chudych sosen ani jęj ocieniały, ani zdobiły. Do koła były tylko piaski i łyse wzgórza. Ale mimo smutku, jakim wiało od gospody, trzeba się było za-trzymać dla koni. Staś spojrział zniecierpliwiony do koła.

Wtém, o cudol na galeryi spostrzegł jednego naj-przód, potém dwóch, trzech, czterech towarzyszów szkolnych, jak on widać jadących do Wilna.

— A! szanowny Piwonia! zakrzyknęli chórem. Wi-taj nam poeto wiosny! witaj i chodź do nas... a nie to cię tu za uszy pociągniemy.

Stęskniony do młodego towarzystwa, Staś jednym susem z bryczki poskoczył do nich, i znalazł się w uściskach najpoufalszych swoich rówienników.

— A! chwałaż Bogu, żeśmy cię spotkali, zawołał Paweł Szczerba, przyjaciel od serca Stanisława. Wje-dziemy już razem do tego przekłętego czy zakłętego Wilna, do którego suniemy się, suniemy i dosunąć nie możemy.

— A najprzód, przerwał Bolesław Mszyński, który był łakomy jak dzieciak: zbierzmy resztkę naszych

zapasów podróжных, i nim konie wytechną, urznięjmy sobie piknik na pędce! Ja do składki ofiaruję niedo-gryzek wędzonęj kiełbasy!

— Żarłoczysko, rzekł Paweł ruszając ramionami: żebyś ty choć na chwilę o brzuchu zapomniął!

— Chodźmy do stancyi! dodał Michał Żryłło, po-cziwiwy Litwin: tam się i nagađamy, i obmyślimy...

— Chodźmy! chodźmy! potwierdził ostatni pan Korczak, już pod wąsem, słuszny i więcej od nich wszystkich na męczyznę wyglądający współkolega.

Zabierali się do pokoiku, kiedy ktoś szósty jeszcze ze drzwi do szynkowni się pokazał. Był to widocznie jak oni młody uczeń, tylko ze szkół innych i niezna-jomy im wcale, do Wilna do uniwersytetu dążący, ale nie wiadomo z kim i jak tu przyjechał, a bóty miał jakoś bardzo zapylone.

Młodzi chłopcy spojrzeli na niego, on na nich.

Nieznajomy w dosyć wytartęj surducinie munduro-węj, z któręj był ogromnie wyrósł, w wykrzywionych butach i połatanych spodniach, w czapeczce, któręj sukno z granatowego na sine prawie spłowiąło... po-mimo niepozornęj odzieży, miał minę tak dumną, pew-ną siebie, odważną i spokojną, tak z góry na nich spoglądał, że ich wszystkich potęgą swego wzroku uderzył. A jednak iskra geniuszu nie świeciła na nizkiém jego czole, ani w rysach pospolitych przebijał się talent potężny, którym twarz tchnie i goreje; sil-na tylko wola, uparta jakaś duma, mówiła przez zamknięte jego usta i pogardliwe niemal spojrzenie.

Z przyszłym kolegą jakże się tak minąć na sucho, niespytawszy, nie powitawszy się nawet. Szóstoklasiści tyle znali swe obowiązki akademików, że nie mogli nie za-czepiając go, potrącić tylko w sieni i obojętnie odejść.

Paweł Szczerba i Michał Żryłło pierwsi się nastawili do przywitania, gdy nieznajomy wcale go od nich nawet nie oczekując, nie uchyliwszy czapki, dość dumnie ich sam zaczął.

— Panowie koledzy, rzekł podnosząc głowę: pewnie jak ja do Wilna dążycie? a nie podwieźlibyście mnie czasem?

— Z całego serca! odezwał się pierwszy Stanisław: ja mam miejsce na bryczce.

— A jakżeś się tu dostał? spytał Szczerba.

— O! jak! ciekawicie? odparł uśmiechając się niemal zwycięzko nieznajomy. To dość długa historia. Koniec końców, żem się aż tu oparł... a że mi się tego kawałka drogi piechotą już iść nie chce, i do miasta tak wniknąć samemu niemiło... przysiądę się do którego z was.

I nieproszony wszedł razem z nimi do stancyjki, rozsiadając się pierwszy na ławie.

To wmieszanie się nowego towarzysza trochę oziębiło przywitanie i rozmowę młodych ludzi; ale w ich wieku znajomość prędko się wiąże, a w pół godziny już byli jak dziesięcioletni przyjaciele.

Nieznajomy rozparłszy się na ławie, z miną zawsze zuchwałą i z wyższością, którą przybrał od razu, począł im rozpowiadać swoje dzieje, a nietylko się nie zdawał chcieć ukrywać przed nimi ubóstwa, które mu towarzyszyło w pielgrzymce przez ogromny kraju kawał, ale się niemił wynosił i chlubił jak hydrą zwyciężoną.

— Idę — rzekł — aż z Podola... chociaż prawdę rzekłszy i jechałem trochę, ale i o kiju dobrą część drogi odbyłem... (Uśmiechnął się). Dziś już została mi tylko trzygroszówka w kieszeni i pierścionek, ostatni klejnot szlacheckiego domu, którego sprzedaż ma

mnie utrzymać przez kilka pierwszych w Wilnie miesięcy. Doprawdy rozkoszną i poetyczną odbyłem drogę, i nie żałuję niczego, chyba ostatnich bótów podartych...

To mówiąc podniósł nogę i pokazał ledwie trzymające się resztki podeszew, przez które wyzierały palce.

— Ale nim sprzedasz pierścionek, nim znajdziesz znajomych i porobisz przyjaciół, jakże sobie dasz rady? spytał go Michał.

— Ho! ho! nie turbuj się o mnie! śmiejąc się zawołał młody awanturnik, którego Bazylewiczem nazywać będziemy. Najprzód oto znajomych już mam; powtóre tak jestem pewien, że sobie rady dać muszę i na wierzch wypłynę, iż o tém ani myślę.

Młodzież z uwielbieniem spojrzała na kolegę; on na nią z wyższością i niemal politowaniem, a uczuciem swęj siły.

— No! zawołał: dawajcie tam jeść, jeśli co macie w torbach; ja wam apetyt mój ofiaruję do składki... Ktoś tu wspomniał o kielbasie, ja się zgadzam i na nią, bom głodny szalenie!

Wesoło rozpoczęła się ta uczta improwizowana, którą składała szkaradna herbata miejscowa, owa kielbasa po śledztwie w bardzo małym zjawiająca się kawałeczku, bułki, ser, masło i jaja. Wszystko to młodym, zgłodniałym, gadającym i niemającym czasu smakować, wydało się doskonałym; a Bazylewicz jadł za czterech, i przyznać mu potrzeba, że bez najmniejszej ceremonii z przed nosa wszystkim zmiatał bez wyboru co mu się tylko nawinęło... co na placu to nieprzyjacieli!

Rozpoczęła się rozmowa gwarna, urywana, ochocza.

— A ty Stanisławie, spytał Szczerba: na co myślisz chodzić? czemu się oddajesz?

— Medycynie! cicho i smutnie westchnął Szarski. A ty?

— Ale bo i ja na medycynę ruszam, zawołał Szczerba: więc witaj kolego... Bardziej temu rad, że na jednej siadziemy ławie; ale nie pojmuję co to się stało: byłeś najpierwszym uczniem z literatury i języków, pisałeś wiersze i mowy lepiej od nas wszystkich, a podobno i od profesora... i myślisz chodzić na medycynę!

— Taka jest wola rodziców, odpowiedział Stanisław.

Bazylewicz porwał się z ławy, z zapalem tak przesadzonym, że nie mógł być całkiem naturalny i trochę dla efektu niepodrobiony.

— Co ja słyszę! zakrzyknął. Cześć i poszanowanie rodzicom!... ale godziź się ich słuchać, gdy chodzi o losy żywota i o wykształcenie na jedynej drodze, którą nam Ojciec-Stwórca wyznaczył! Bóg wlał w pierś twoją poezję, byś był serc lekarzem, nie żebyś ją zamorzył w sobie na usługę lada kpa, który niestrawności dostanie... Wyższa jest misja poety, i świętokradztwem jest ją poświęcać tak lekko.

— Tam do kata! szepnął Michał: jadł dobrze, ale peroruje jeszcze lepiej... nabrał siły...

— Jam ubogi! odparł Staś czerwieniąc się cały...

— Jam podobno uboższy od ciebie, przerwał popędliwie gestykulując Bazylewicz: tyś przyjechał wozem, ja tu się przywlokłem o kiju, jak żebrak... ty masz grosz w kieszeni, ja tak jak nic... ty masz rodziców, co się z tobą chlebem dzielą, ja do moich ode-

zwać się nie mogę bez grzechu,—a jak mnie widzisz, ja przecie... ja! nie idę na tę waszą medycynę chlebo-dajną, na którąby mi pójść było łatwo z moją pamięcią i zdatnością, ale na literaturę, do której powołuje mnie rozkaz boży.

Zarozumiałość Bazylewicza byłaby śmieszna, gdyby heroiczną prawie przez swą szczerotę się nie stała; ale coś w niej trąciło komedią i chęcią popisu, i to niszczyło wrażenie, jakie mógł zrobić na rówieśnikach. Dziwili mu się, ale pokochać nie mogli. On spojrzał na nich z góry i zamilkł.

— No... a ty panie Bolesławie? zapytał przerywając potok wymowy Szczerba: z czémże jedziesz do Wilna?..

— Idę na prawo!

— Cha! cha! byle idąc na prawo, w lewo nie zbaczając, mieszając się gwałtem do rozmowy przerwał Bazylewicz... I to chleba kawał, często lepszy od innych.

— Juściż pozwól, że i nauka! zawołał trochę obrażony Bolesław.

— Nauki prawa nie rozumiem, odezwał się, wciąż zajądając, zarozumiały przybylec. Całe prawo Bóg zapisał w piersi ludzkiej, a historia prawa jest wyznaniem ludzkich grzechów i błędów. Nie warto się tego uczyć.

— No, a ty Michalonie? rzekł odwracając się Bolesław, jakby nie słyszał perory, bo nie chciał się kłócić, a Bazylewicz go niecierpliwił srodze.

— Ja, dalibóg wam powiem, że sam nie wiem co ze mną będzie, odparł śmiejąc się Żryłło. Rodziców nie mam, którzyby mną pokierowali, opiekun daje mi

zupełną swobodę wyboru, szczególniej skłonności nie czuję do niczego. Ot... rozpatrzę się... powącham, a nie wiem jeszcze co mi do serca przypadnie.

— I pójdziesz za sercem! wydekłamał Bazylewicz: co chwałę i *dank* daję postanowieniu.

— *Ago gratias!* rzekł kłaniając się nisko Michał.

— No, kolój spowiedzi na Korczaka, przerwał Bolesław wesoło: a ty co myślisz najszanowniejszy z drągów?

— Patrzał zaśmiał się wyrosły i pod wąsem Korczak, przyjmując przewisko bez gniewu: aż do uniwersytetu mnie tym drągiem prowadzić będziecie! Co-żem ja winien, że was przerósł i mam minę kapitana od dragonów?... A wiecie, że mam być przecię księdzem, i że wszyscy ile was jest, trochę poczekawszy, w rękę mnie całować musicie!

— Cha! cha! rozśmiali się chórem koledzy. Korczak proboszczem, kanonikiem, a może biskupem! Dali-bóg to nie do wiary... on co jeszcze w piątą klasę rozpoczął tak śliczny romans z towarzyszeniem gitary...

— Tak, i wcześniej od drugich go począwszy, prędkiej od innych go skończył, smutnie odpowiedział zagadniony. Bądź co bądź, czeka mnie suknia księża i na łysinę korona.

— A zatem jest nas tu — policzył Paweł Szczerba — dwóch doktorów, ksiądz, literat, prawnik i... decydujże się Żryłło, a prędko, żebym wiedział jak cię za-determinować.

— Ciągnijmy na węzełki, zawołał Bolesław, wyjmując chustkę: niech los rozstrzyga czém będzie.

— A dobrze! może mi to wybór ułatwi, śmiejąc

się rzekł Żryłło. Będę się już trzymał rozkazów jasnie wielmożnego losu.

— Na! masz! ciągnij i niech się twój los razem z tym węzłem gordyjskim rozwiąże! poważnie odezwał się Bolesław. Cztery rogi, każdy oznaczony inaczej, reprezentują teologię, medycynę, prawo i literaturę... o filozofii mowy nie ma, bo pamiętam, żeś zawsze podpowiadania potrzebował, gdy przyszło dziewięć razy dziewięć.

Żryłło zbliżył się, zastanowił, powstał i węzeł po-ciągnął szparko, ciekawie się w nim rozpatrując.

— No! a cóż to znaczy? zapytał.

— Postrzyżyny! i ty masz być księdzem! zaśmiał się Bolesław.

— Zapewne! rzekł Żryłło: co z tego to nic nie będzie.

— O dzieci! dzieci! przerwał ze swę ławy Bazylewicz: szczęśliwieście, że z losem tak sobie żartować możecie...

— I z losem i z losu! okręcając się na pięcie potwórzył Żryłło. Książd nie książd... proponuję dalszą drogę, bo robi się ciemno, do Wilna po piasku jeszcze kawał, a bardzo wątpię, żeby na nasz wjazd illumino-wano miasto... zatem manatki na plecy i do budy!

To mówiąc, wysypała się młodzież śpiewająca i wrzawliwa na ganek, ze stukotem pozbiegali na dół, a że Bazylewicza niebardzo kto miał ochotę zabierać, Stanisław wsadził go na swoją bryczkę, i tak pojechali dalej.

W końcu prawie ulicy Trockiej, za kościołem księży Franciszkanów, był dom niepoczesny, naksztalt zajęznej gospody, utrzymywany przez pewnego spekulanta nazwiskiem Horyłkę, człowieka, który najmował mieszkania dniowo, tygodniowo, miesięcznie, rocznie, miał przytém rodzaj lichéj garkuchni, a nawet kawiareńki dla oszczędnych podróżnych. Niewiele mogąc rachować na zamożniejszą klasę, lubił szczególnie pan Horyłka najmować swe stancyjki pojedynczo i po dwie, na różne terminy, ubogim akademikom. Dom jego przedewszystkiém odznaczał się brudem i taniością swoją. Gospodarz, który się napijał i z żoną nieustannie darł koty, z największą sztuką trzymał się przy swéj entrepryzie, co chwila grożąc upadkiem, i nie tracąc ducha podbijanego gorzałką, szedł dalej chwytając się to tego, to owego, a wciąż rachując więcej na cuda i na książąt niemieckich, niż na zwykły, naturalny bieg rzeczy. Horyłka wcale już był niemłody; mówiono, że niegdyś służywał dworsko, że był kędyś kuchmistrem nawet, a dorobiwszy się trochy grosza, włożył go w dom zajęzny. Ale że na wstępie na nowe gospodarstwo ożenił się z ładną dziewczynką, o wiele od jego łysiny młodszą, a może gorszą od niego, jakoś im ręką nie poszło. Bóg wie tam co się w jego domu działo, małżeństwo było bardzo niezgodne, oboje chwyтали z niewielkiego fundusiku, jejmość już parę razy porzucała jegomości, jegomość czasem się porywał do cybucha, z roku na rok szło gorzej,—jednak choć na włosku, Horyłka kamienicy siętrzymał.

Winien był dość grosza w rzeźni, u piekarza, po sklepikach, i właścicielowi kamienicy, zapożyczał się u przyjaciół, pieniądź niewystarczający na wszystko

topniał w jego rękach, ale się to jakoś wlekło z dnia na dzień. Coraz mniej nauczywszy się rachować na nieświadomych miejscowości książąt niemieckich, których widać nie było, i na bogatych, o których marzył tylko, choć ci na Trocką ulicę do tak niepozornego domu nie zajężdżali, chyba wypadkiem—zwrócił się powoli ze spekulacją na studentów, porozdzielał dom na małe stancyjki, podejmował się wiktować, opierać i utrzymywać przybyłych akademików, i już poczynął rachować, że w końcu powinny mu się wrócić z lichwą kilkoletnie jego straty.

Ruchliwy to był człowiek, krzykliwy niezmiernie, cały boży dzień latał z kluczami po domu, sługi pędzał, porządek robił, ale go nikt jakoś nie słuchał, wszystko szło opak, a Horyłka w dodatku choćby go najpilniejsza pędziła potrzeba, wśród najgwałtowniejszego pośpiechu, byle gawędka się trafiła, zatrzymywał się godzinami, nie mogąc gęby powściągnąć.

Pił po trosze wódkę od rana, a cokolwiek zalawszy głowę, taką czuł potrzebę wywnętrzania się, że pierwszemu kogo spotkał opowiadał całe swe życie, plany spekulacye, nieszczęścia, odkrywając głębię zakrwawionego serca. Nadewszystko lubił się szeroko rozwodzić nad małżeńskim swém pożyciem i doznaniem niepowodzeniem w tym stanie, o czém więcej mówił niżby należało, narażając się na uśmiech, nie umiając nawet łzami wyżebrać litości, tak był starowina pocieszny.

Żony jego już znowu nie było w domu, bo gdzieś od niego powędrowała, a Horyłka sam na barkach dźwigał cały ciężar domu. Wspomagali go w tém gruba Magda, szafarka, najbliższa powiernica i przyjaciółka, oraz Hersz, faktor gospody, prawa ręka, zastępca, *alter ego* gospodarza.

Hersz nadewszystko mu był potrzebny, choć jak pijawka go wysysał, ale bez niego kroku nie stąpił Horyłka. Któżby zajechał do brudnego domku na Trockiej ulicy, gdyby usługny Żydek nie stał we wrotach jak żywy szyld gospody i nie uganiał się łapiąc przejeżdżających, których mu fizyognomia wskazywała jako kandydatów dla domu?

Gdy nadeszła pora zjazdu akademików, Hersz i Horyłka nie mieli chwili spoczynku, nieustannie czatując na przybywających, a faktor nie dość że zachwalał i zapraszał, ale z gorliwości często chwytął za konie, czepiał się bryczek, i durzył młodzież, złote jęj obiecując góry.

Horyłka także ze swój strony nie próżnował, wyskakując nieraz, o ile mu powaga jego dozwalała, aż do środka bruku, i nęcać młodzież facyatą domu, która na ten cel sama tylko odnowiona została.

Dom na tę chwilę roku, dla niego stanowczą, przybrał był sukienkę schludną od strony ulicy, pomalowano nawet okiennice i część dziedzińca widoczniejszą wysypano żółtym piaskiem, galeryjka wreszcie u wchodu do traktyerni i bilardu olejno się zielonym kolorem okryła. Trzeba było słyszeć nieoszacowanego gadułę gospodarza, gdy w zapale rozповідаł podróżnym o wygodzie i osobliwszych korzyściach swego hotelu!

— Panie dobrodzieju! panie dobrodzieju! co to za ulica! pierwsza w mieście, wstawiona męczeństwem Franciszkanów! Mój dom pierwszy na całej ulicy, tego nikt zaprzeczyć nie może! wygodniejszego nie ma na całym świecie! Cichy, ciepły, czysty... porządek jak w klasztorze, bezpieczeństwo największe, od centrum niedaleko... kościół starożytny pod bokiem! Kuchnia u mnie, jaką się ani Malinowski, ani Nowiszewski

nie pochwała! szlachecka, zdrowa a nawet wykwintna; codzień naleśniki z powidłami! Wszelkie wygodyl... Proszę tylko spojrzeć, zebrzę o bezstronny rzut oka! Dla uczących się to jedyne mieszkanie nieco na ustroni! Zimową porą jak w uchu, korytarze zamczyste, bezpieczeństwo! bezpieczeństwo! rzecz największa w mieście pełnem oszustów i złodziei... za które *chonorem* ręczę. Można w korytarzu worek złota położyć!

Niewiele jednak jakoś zabiegi Hersza i wymowa samego pana Horyłki pomagały. Akademicy jechali tłumami, a izdebki dotąd stały jeszcze niezajęte. Gospodarz nieszczęście swoje poczynął przypisywać intrygom współzawodników, a że zwykł był początek wszystkich swych niepowodzeń składać na żonę, i tu już jęj manewrów się domyślał.

— Słyszysz Hersz? szeptał do faktora pod wieczór to nic innego tylko intrygi téj niegodziwój! to jęj ręka, jęj robota! Ja się na tém znam: ona to robi wszystko, szyje mi bóty!

Żyd ruszał ramionami w milczeniu.

— Ale już ty mi nie gadaj, ciągnął dalej Horyłka, ruch ten biorąc za przeczenie. Jęj to robota, jak Boga mego kocham... intryga czarna! Dom mój osławia i odstręcza od niego... Tegoby nie było, gdyby mnie los zawistny z tą kobietą nie związał.

Już byli obaj z Herszem trochę nosy pospuszczali na kwintę, gdy im Pan Bóg zesłał całą furę naszych akademików w ręce. A że to byli pierwszorocznicy studenci, po większej części ubodzy chłopcy i nic miast nieznający, zdało im się, że ich sam Pan Bóg do tego szczęśliwego doprowadził portu. Zaprosiwszy ich tymczasowo tylko na noc, Horyłka i Hersz tak podu-

rzyli młodych chłopaków, że wszyscy się u nich na próbę ulokowali miesięcznie.

Stancyjka, którą zajął Staś, przyjmując do niej Bazylewicz, co się już ani myślał z nim rozstawać, była dosyć ciasna, w miarę ciemna, a według wszelkiego podobieństwa i zimną być obiecywała; ale Horyłka (od czego głowa?) wszystkie jej wady umiał dzieciakom niedoświadczonym wytłumaczyć na przysmaki. Zbyteczny blask, według niego, dla oczu pracujących był szkodliwy; obszerność nie mogła się pogodzić z ciepłem; szpary i dziury miały tylko odświeżać powietrze. Upatrywał nawet wielką korzyść w tém, że okno wychodziło na kawał brudnego dziedzińca, bo nikt szpiegować nie mógł co się działo wewnątrz, a żaden widok zewnętrzny i wrzawa uliczna nie miały im robić dystrakcyi.

Stanisławowi wszędzie było dobrze, choć Bazylewicz wparł się na kwatere, zamącił spokój i natychmiast ustanawiając z mocy koleżeństwa zupełną wspólność własności, której sam nie miał, cudzą począł swobodnie i zamaszysto rozporządzać. Jakże było biednego, biedniejszego od siebie wypędzić na ulicę i odmówić mu przytułku dla dogodzenia fantazyi? Reszta towarzyszków w tymże domu w dwóch obszerniejszych rozłożyła się izbach, a to sąsiedztwo wszystkim im wielce było na rękę, bo się wspólnie ratować i wspierać mogli. Pierwsze dni były jak zawsze pełne zajęć i zachwyty. Staś jakby się obawiał, żeby mu wszystko nie pouciekało, obejrzeć chciał razem całe Wilno, pamiątki jego, okolice i osobliwości. Poleciełi drapać się na górę Zamkową, do sterczących zwalisk górnego zamku, do katedry, na grób nieznanego Witolda, na Bekieszówkę, po nad Wilię do gruzów

pałacu Barbary, do Ostrój-Bramy... obiegali kościoły zachwycali się uroczemi widokami tego grodu, którego każda pięćdziesiątka ziemi przesiąkała tysiącem pamiątek... Głowa się paliła poecie na samą myśl, że depcze polowisko, przez które przeszło tyle wieków, bohaterów, ludów, zapału i poświęceń. Nie było chwili czasu, żeby odetchnąć, bo z jednej strony wpisy, rozpoczynające się prelekeye, z drugiej porywające życie akademickie, tysiączne pokusy i roztargnienia ogarniały ich, chwytając myśl, serce i przytomność, wprawiając w rodzaj rozkosznej gorączki. Któż z nas nie pamięta tego szału dni pierwszych i rozmarzenia, w jakim poczynął żywot akademicki, będący nieustannym pasmem zachwyty? Zetknięcie się tylu młodości z sobą, jak skupienie w jedno ściśnięte ognisko promieni słonecznych, musiało wyrodzić stan całkiem nowy i niezwykajny w innych życia warunkach. Z drugiej strony nic nie przeważało, nie poskramiało go, bo nauczyciele nawet, i co się tylko z tym młodym ludem stykało, porwane wirem niepohamowanym, zamiast go uśmierzać, pędem jego schwycone leciało na głębiny. Każdy jednak charakter, każda osobistość odrębna, występowała tu jak w wielkiej chemicznej mieszaninie różnorodne ciała, wedle natury swęj stosunkowując się z drugimi. Stanisław żyjąc głębią swęj duszy, w sobie cały, dał się pochwycić i pociągnąć tłumowi, ośwładnąc towarzystwu i na wstępie stracił wolę, której rozwinąć nigdy nie miał sposobności, a użyć nie umiał dotąd. Bazylewicz przeciwnie szedł z głową w górę zadartą, posługując się wszystkimi, jak gdyby wszyscy byli dla niego stworzeni, i przebojem drogę sobie torował zwycięzko. Szczęsba znówu, praktyczniejszy od innych, przybrał ton i po-

wagę mistrza względem młodszych, zdrową radą sobie i drugim posługując. Niewiele mówił, chwili czasu nie zmarnował, czując ważność każdej godziny i każdego najmniej znaczącego kroku.

Bolesław Mszyński zajadał tymczasem, nawet od pierwszego dnia występu stołowego pana Horyłki nie mogąc z kuchnią jego się pogodzić i dosztukowując łakociami, których miał zawsze pełne kieszenie. Co do ważniejszych spraw życia, zdał się na Szczerbę; a póki grosza stawało, używał. Michał Żryłło zawiązał natychmiast mnóstwo przyjaźni, stosunków, znajomości, i rozpoczynał swój zawód akademicki najserdeczniejszym koleżeństwem. Korczak wreszcie zamyślając o stanie duchownym i starając się o umieszczenie w seminaryum, smętnie spoglądał na nęcący świat, którego wyrzec się musiał.

Bazylewicz dniem i nocą nie przestawał namawiać Stanisława, aby szedł raczej za sercem niż za wolą rodziców, a posłuszeństwo ojcu wystawiał w oczach jego prawie jako występki przeciw Bogu. Nie śmiał jednak Szarski pójść za radą jego i wpisać się na oddział literacki, który go tak nęcił; rozpoczął medycynę mimo szyderstw Podolaka, spoglądając tylko ze smutnym podziwem na odważnego kolegę, co się sam o swój siłę rzucał w świat z taką wiarą w przyszłość i powodzenie.

Z tydzień blisko chodził Bazylewicz po mieście, nikogo w niem znajomego nie mając, żeby gdzieś sprzedać swój pierścionek i mieć grosz na pierwsze życia potrzeby, a tymczasem brał u Stanisława co chciał, i bez zastanowienia posługiwał się jego mieniem i kieszenią. Nareszcie po wielu trudnościach, pierścionek kupił Fiorentini, a Bazylewicz sprawiwszy nowy mun-

dur, ufny w to, że musi znaleźć zajęcie i zarobek, gdy się wyczerpie zapasik, wyniósł się od Stanisława, utrzymując, że dom Horyłki jest nieznośną dziurą, w której żyć uiepodobna.

Ale kilka tygodni z nim przebytych, widok aż do przesady posuniętej odwagi i silniejszej woli, nieuznawającej nad sobą żadnego prawa, któreby nią kierowało, głębokie na Szarskim uczynił wrażenie. Stanisław z razu zawahał się co miał począć dalej, i czując jak mu nauka medycyny i atmosfera tego wydziału nie przypada do smaku, począł zamyślać coraz częściej o przesadzeniu się na oddział literacki. Szczerba, który patrzył na ten duszny bój w młodym chłopcu, nie mówił, dopóki sądził, że się skończy poddaniem rozkazowi rodziców; ale wreszcie zastraszonego rozdrażnieniem towarzysza, wszedł jednego wieczoru do Stasia, z zamiarem szczerego rozmówienia się z nim o tém. Zastał go nad dramatami Szekspira w tłumaczeniu niemieckim; obok leżał sekstern anatomii rzucony rozpaczliwie na ziemię... był rozgorączkowany, z płonąca pierś, głową i zażawionemi oczyma.

— Słuchaj! powitał go w progu Stanisław: to nad siły moje... od jutra porzucam medycynę i poczynam literaturę... dziej się wola boża!

— A ojciec co na to powie? spytał zimno Szczerba.

— Albo mi przebaczy, albo mnie wypędzi! rzekł Staś.

— Jeśli cię wypędzi, co rychléj być może, myśl jak sobie dasz radę za wczasu! zawołał przyjaciel.

— Nie widziszże tylu innych, którzy bez niczyjej opieki, idą nie obawiając się o siebie? A Bazylewicz?

— Nie mierz się z nim, zawołał Szczerba: nie po-

dołałbyś tak wielkiemu zadaniu; na to mieć potrzeba jego zarozumiałość, ufność w siebie, pogardę ludzi i więcej niż ty charakteru. Tam gdzie się on śmieje, tybys płakał, a kto zapłacze, ten stawkę przegrał.

— Cóż robić?

— Iść dalej póki można, i nie oglądać się po bokach.

— Iść, mówisz, iść! wstając zawołał Stanisław: iść przeciwko skłonności, przeciw prądowi i wodzie, bez zapалу i ochoty, dla chleba tylko! Cóż ze mnie będzie? Chybię powołanie jedno, nie wydołam drugiemu, ku któremu wstręt czuję... stracę życie...

— Pisz do rodziców, rzekł Szerba. Jeśli na to pozwolą, nie nie mam przeciwko temu; ale wiedząc o niebezpieczeństwie, znając ojca, narazić się na to, czemu także nie podołasz, czego ramiona twoje nie dźwigną, uważ czy bezpiecznie?

To mówiąc, a widząc smutek i niepewność, w jakię Stanisław trwał od dni kilku, wziął go Szerba i wyprowadził na miasto. Chciał go rozerwać widokiem ulicy i ruchu, których z okna izdebki nigdy nie był świadkiem lokator pana Horyłki, i powiódł z sobą ku murom akademickim. Rozmawiając o rzeczach obojętnych, zbliżyli się ku owęj kawiarni Julki, naprzeciw dzwonnicy, umieszczonej na dole w dwóch ciasnych izdebkach, której głównymi gośćmi byli zawsze akademicy. Nie wolno im było wprawdzie znajdować się w tego rodzaju miejscach publicznych, ale umyślnie dla młodzieży usłużna gospoia, która sećnami szklank kawy czy cykoryi codzień karmiła zgłodniałych, miała parę izdebek osobnych, we własnem ich przyjmując mieszkaniu. Kawiarnia oficjalna stała pustką, ale do kątki tego docisnąć się było trudno. Na kuf-

rach, kanapie, łóżku nawet i kilku połamanych krzesłach, w kominie niekiedy zasiadali weseli chłopcy nad kubkiem fajansowym kawy z ogromną bułką, i napełniając dymem szczupłe ciupki, gwarzyli wesoło. Iluż to się tu na całe życie trwałych zawiązywało przyjaźni! ile wysnuło projektów, które los, okoliczności i wytrwałość ziściły! ile wykwitło nadziei, mających jutro zwiędnąć, na zawsze, zabitych wiekiem trumny!

A jak zaraźliwe wesele tryskało z tych młodych piersi, nieprzerwaną płynąc z nich pieśnią życia, i porywając wirem swym co tylko musnęło na drodze! Jak tam było dobrze, raźnie, wygodnie, miło—choć często stojąc na jednej nodze, piło się tę kawę zastygłą z suchą bułką, z przyskwarzoną śmietanką, na którą się godzinę czekało, nim z kolei doszła aspiranta! Ta kawa zdrowa i posilna, bo podobno cykoryi więcej w niej było niż czego, dla wielu zastępowała obiad niedostateczny, odegrzewaną wieszczę i zużyte pracą krepila siły, gdy towarzysząca ję rozmowa, wesołość i wrzawa były też dla duszy pokarmem.

Staś jeszcze się nie był nigdy odważył zająć do akademickiej kawiarni, do której go pierwszy raz wciągnął i zaprosił Szerba.

— Ja funduję, rzekł z uśmiechem, używając zwykłego wyrazu: chodź, zobaczysz ludzi, rozerwiesz się, a szklanka kawy ci nie zaszkodzi, bo Horyłka nas niebardzo wyśmienicie karmi. Zmógł się nieboraczysko na pierwszy obiad i pierwszą wieszczę z chróstem na smalcu; nie wiem do czego dalej dojdziemy, ale się obawiam, żebyśmy na ewikle i musztardzie zamiast sztukimęsa nie jechali do końca roku.

Weszli tedy przez niskie drzwiczki do sklepionęj

izdebki, i zastali nadspodziewany tłum gości. Bazylewicz najlepsze między nimi w pośrodku zabrawszy krzesło, głośno i krzykliwie perorował; na kufrze ujrżeli Bolesława ze szklanką pożywającego nie wiem drugą czy trzecią porcyę, z rozjaśnioną twarzą; dookoła siedzieli, stali, zwiłali się znajomi i nieznajomi.

W małej próżni naprzeciw Bazylewicza, osobliwsza figura zajmowała stosunkowo wielką dla siebie przestrzeń, a z nacisku po kątach miarkować było można, że się dla niej rozstąpili akademicy. Bohaterem tym, zwracającym uwagę wszystkich, był człowiek już niemłody, zwiędłej i bladej twarzy, w dziurawych i wykrzywionych bótach, w spodeńkach letnich jeszcze, choć już dobry jesienny chłodek dokuczał, w granatowym fraku z krótkim stanem a długimi połami... Człowiek ten z dziwną miną pół obłąkanego, na wpół napiętego, z ruchem teatralnym deklamował coś, a jak się zdało, tańcem nawet sobie do mimiki i wyrażenia uczuć swoich pomagał, bo nogę jedną miał podniesioną, gdy weszli nowi spektatorowie.

Był to ów sławny Krysztalewicz, którego dziesiątki i berlinki akademickie żywiły, trochę może w istocie na umyśle obłąkany, zawsze prawie pijany i na zawołanie poeta. Miał on pełne kieszenie wierszy swoją ręką przepisanych, które ofiarował [za kilka groszy, obowiązując się prócz tego dla szcudrobliwych mecenasów poezye swe deklamować, wyśpiewywać i wytańcowywać.

Nie wiem jakim sercem młodzież śmiać się mogła z upodłonego, spadłego w żebractwo i głupotę człowieka; ale te pewna, że Krysztalewicz winien był zająć, jakie obudzał, grosz, który go karmił. Mniej

śmieszny, możeby jeść i pić za co nie miał. U każdego wyłudził śmiechem grosik jaki, szklankę kawy posilnej, lub kieliszek wódki lepiej mu smakującej jeszcze.

W chwili gdy wchodzili, skończył się właśnie mimodram Krysztalewicza, a rozpoczynało się na wezwanie publiczności opowiadanie ciekawych przygód życia poety, o których w formie autobiografii już był cały foliant zapisał nieszczęśliwy maniak. Sny jego, cierpienia, niedostatki, trybulacye autorskie, historye dziurawych jego bótów i kłótnie z gospodyniami, pomieszczone razem, składały osobliwszą całość, popłataną, poprzerywaną wierszydłami, wyśpiewaną w tonie elegancko-patetycznym, na której mdłym tle rzadko coś dobitniej i w wyrazistszych zajaśniało rysach. Krysztalewicz bowiem miał szczególny talent wskakiwania z przedmiotu na przedmiot, jak Tatarzy w biegu przesiadają się z konia na konia, tak, że gdy wracał do pierwszego założenia, już śladu jego w pamięci słuchaczów nie pozostawało. Były tam najpocieszniejsze drobnostki, przez powiększające szkło egoizmu widziane ze strony tragicznej, opisy łatania podartego fraka, i pielgrzymki z rękopismami do księgarni Zawadzkiego, i wysławianie dobroczynności pana Strumiłły, i poemat nędzy, i dywagacye pijaństwa. Mieścił się tu i ów sławny epigram poety, w którym z właściwym sobie talentem związał razem pochwałę swego dobroczyńcy z ostrym przycinkiem nielitościwemu bibliopoli:

Strumiłło aż miło,

A Zawadzkiego jakby nie było.

O! i tysiące innych rzeczy, w nienaśladowany sposób splecionych naksztalt kłębka różnofarbnych nici z którymby się młody kotek pobawił.

Przybyli, stanawszy przy drzwiach, bo dalej posu-

nać się nie było podobna, wysłuchali część pamiętników Krysztalewicza, a Staś przerażone oczy wlepił w tę postać obłąkaną, służącą za uragowisko kolegom.

— Na Boga, rzekł do Szczerby: to jakiś nieszcześliwy... obłąkany człowiek!

— To tylko poeta! odparł Paweł z uśmiechem: poeta, który także może marzył w dniach młodości o szczytach Parnasu i wieńcach z rąk siostr dziewczęciu... który pił i upił się z kastalskiego źródła... a dziś chodzi z dziurawymi łokciami, w koszlawych bótach i żyje jałmużną, płacąc za nią swoim szaleństwem.

Stanisław uczuł w sercu boleść przeszywającą; oko jego spoczęło na nieszczęśliwym, ale w tej twarzy, której wyraz stał nałóg, zniszczonej, strupiałej, nie było nic już, coby nawet litość wzbudzać mogło... spodlenie tylko wywoływało ją może.

Bazylewicz, który w tej chwili ujrzał stojących u drzwi Stanisława i Pawła, wnet po swojemu rzucił się począł, robiąc miejsce znajomym i wołając dla nich głośno o kawę.

On tu już był jak domowy, i Fruzia, pierwszy garson, Natalka, najładniejsza z dziewcząt, a nawet sama gosposia, ukrywająca się w drugiej ciupce przed natarczywą młodzieżą i niekiedy tylko ukazująca się w ważnych okolicznościach dla zrobienia porządku lub załatwienia sporu, znały go i poważały.

Michał Zryłło dowodził także gromadą, ale na inny sposób: Bazylewicz bowiem uzurpował władzę, nie pytając, jak się to komu zda? i chwytając za berło przemocą, a Michał wpływ swój cały winien był miłości towarzyszów.

— Jak ci się to zda? począł Bazylewicz, obracając się do Stasia: alboż nie wyśmienity nasz Krysztalewicz!

— Ja w nim widzę bolesne dla mnie uragowisko; strach jakiś porywa mnie, gdy nań patrzę. Jestże to koniec, do którego wiedzie literatura i poezya?... szal, pijaństwo, nędza i pośmiewisko!..

— O ba! odparł niewzruszony Bazylewicz: wszystkimi drogami dojść do tego można. Któż mu winien, że nie miał ani talentu, ani siły? Po co było puszczać się trudnym gościńcem, po którym zdążając za innymi, zadychać się musiał, rozbić głowę i poranić słabe nogi? Każda walka ma ofiary swoje, każda gałąź kwitnąca pączki, które zjada robactwo i niszczy zgnilizna. Cóż mi tam, że jeden ciemiega spił się, oszalał, bótów nie ma i mrze głodem?

— A! ty nie masz serca! zawołał Stanisław oburzony, któremu łzy dobywały się z oczu.

— Mam, szydząc odparł Bazylewicz; ale go na błazeństwa nie szafuję, i chowam całe na to, co go warto!

— Pamiętaj tylko—odrzekł Staś—że gdy później dobyć zechcesz, możesz je znaleźć zeschłe, zwiędłe i bez życia.

— A! w takim razie—niezmieszany rzekł student—albo je odżywię wolą potężną, lub... lub się bez niego obejdę.

— Krysztalewicz, wytańcuj nam swoją Odę do Golizny, przerwały obce głosy. Oto są goście nowi, nowe dziesiąteczki, może berlinki... kto wie! Pokaż co umiesz!

I powtarzali jak na uczonego pudła, wołając: „Pokaż co umiesz! pokaż co umiesz!”

Jakkolwiek dobrze już podpiły i dość bogaty, by o nowe nie dbać laury i zdobycze, poeta, posłuszny

woli ogółu, obrócił się do Pawła i Stasia, i płatającym się językiem poczał ich witać niewyraźnie.

Ale Staś pierzchnął od niego jak od najstraszniejszego widma.

Wśród potężnie rozwiniętego w różnych kierunkach życia umysłowego, wśród świata przesiąkniętego nauką, Stanisław nie mógł pozostać widzem obojętnym. Podbudzało go wszystko do myślenia, przyswajania sobie wrażeń i pojęć, do tworzenia. Na chwilę tylko uśmierzony popęd znowu wziął górę, i uczeń medycyny, różnie się przed sobą tłómacząc, opuszczał lekcye Bielkiewicza, piękne wykłady Fonberga, fizykę Drzewińskiego, by ukradkiem podsłuchiwać, co tam rozprawiał o literaturze łacińskiej krotochwilny Capelli, co poważny czytał Borowski, lub dziwacznie komentował ponury Münich. Skarby myśli ludzkiej, osłonięte przed nim szatą niezrozumiałych języków, podwójnie go nęciły, urokiem zagadki i wielkością swjej sławy. Wyrywał się na lekcye filologów, na czytania z dziejów, literatury, i wśród nich czuł się dopiero w swoim żywiole. Tak walcząc z obowiązkiem i skłonnością, niszczył się targany na dwie strony; ale nie będąc rozkazami ojca przynaglany—bo sędzia rzadko i krótko pisywał do syna, nie przypuszczając nawet, żeby śmiał mu być nieposłusznym—przechylał się coraz ku temu, co go już w szkołach pociągało, ku literaturze. Wkrótce seksterna anatomii, na których ledwie początki osteologii ponotował, zmieniły

się w raptularze literackie, książki fizyki i chemii w grammatyki, słowniki i historye, a patrzący na to Szczerba milczał tylko, nie śmiejąc już łajać, a nie chcąc potakiwać. Tymczasem Bazylewicz, który często odwiedzał Stasia, zawsze go po swojemu napędzał, aby na nic nie zważając, szedł drogą, jaką mu wyznaczył los, dając talent, zamiłowanie poezyi i literatury. Siebie mu stawiał za przykład, i naśmiewał się z tchórzliwości towarzysza, którą dzieciństwem nazywał.

— Gdybym ja był na twojem miejscu—mówił mu—napisałbym otwarcie do rodziców... No! a jeśliby się sprzeciwiali, pogrozili, czyż to bez ich pomocy rady sobie nie dać! Starszy Pan Bóg niż pan Rymsha.

— A! tu nie chodzi o pomoc... ale mieć sobie zagroźony nieposłuszeństwem dom rodziców, wyrzec się ich serca, nie ujrzeć więcej tych miejsc ukochanych! tych ukochanych twarzy!... a! to okropne, to straszniejsze nad wszystko.

— Jesteś baba! wyrzekł na to Bazylewicz. Rodzice twoi pewnie więcej mają rozsądku i serca niżeli ty im przypisujesz; uwłacza im to nawet, że ich posądzasz o obojętność, głupotę i okrucieństwo!

Staś mówić już nie śmiał.

Walczył jeszcze z sobą, słabo się opierając pragnieniu codziennie biorącemu górę; nareszcie dnia jednego całą siłą woli rzucił się gdzie go wołały losy, a namyśliwszy się, napisał list do matki, w którym z pokorą i błaganiem położenie swoje i postanowienie niezłomne zwrócenia się na drogę, którą uważał za jedyną dla siebie, wyłożył. Wiedział on dobrze, iż matka do nikogo nie pisuje, od nikogo listów nie

odbiera, że to pismo wpaść musi w ręce ojca, ale może umyślnie, mimo to, wyprawił je na pocztę.

Z biciem serca oczekiwał odpowiedzi... ale długo a długo jej nie było. Nareszcie jednego dnia zjawił się pocztylion i oddał mu list w szarej kopercie, na którym z drżeniem poznał Stanisław rękę ojcowską. Ta ćwiartka papieru zawierała wyrok jego życia lub śmierci, przebaczenia lub odrzucenia; nim się ją ośmielił otworzyć, Staś rzucił się na kolana, modląc się całą duszą. Wielki potrzebował odwagi, by rzucić okiem na list, który mu z rąk wypadł; szczęściem na tę chwilę właśnie nadszedł Szczerba, i poznawszy o co chodzi, a ulitowawszy się nad zgnękanym, sam rozłamał pieczętkę. W twarzy jego wyczytał Szarski wyrok swój, bo Paweł pobladł, zadrgały mu ręce i papier powoli upadł na stół.

W milczeniu, ze łzami, Szczerba uściskał Stasia.

— Stało się—rzekł—choć nie wierzę, by serce ojca i matki na zawsze mogło się odwrócić od dziecięcia. Nie masz już prawa odezwać się do nich, i czekać tylko musisz ich litości. Zrobiłeś jakieś chciał, jakem ja ci odradzał, posłuchałeś Bazylewicz, mijając siłę pójść dalej bez niczyjej rady i własnym kierunkiem. Ojciec odmawia ci nazwiska syna, wypiera się w tobie dziecięcia, i nie chce więcej wiedzieć o tobie, zostawując cię własnym twym środkiem, gdyś zażądał mieć wolę własną...

Staś jak słup martwy ręce ścisnął, ściał wargi i milczał; widać na nim było niezmierną boleść, ale ją tłumił w sobie... Szczerba nie opuszczał go na chwilę.

— Źle się zrobiło—rzekł,—ale jeśli nie chcesz lub nie możesz starać się o przebaczenie, myśl teraz co

poczniesz? Dopóki my co mamy, podzielimy się z tobą, ale to nie potrwa długo. Tymczasem porzuć osobną stancję, wnoś się do nas i przyjmij co mamy!

Uściskali się w milczeniu.

— Nie trap się zbyt, dodał Szczerba. Mówiłeś mi o bogatych krewnych: udaj się do nich, może ci oni pomogą.

— Nigdy! zakrzyknął Stanisław, któremu na myśl przyszła Adela; nigdy! będę pracował i wyżyję z własnej pracy.

— A gdybyś przez nich spróbował zmieknąć ojca? rzekł z cicha Szczerba.

Staś pomyślał.

— Spróbuję jeszcze... odparł: chociaż nie wiem czy jest kto, co by się potrafił ośmielić do niego z prośbą, instancją, uwagą... i toby co u niego przeciw niemu uzyskał. Właśnie ci majetni krewni nasi nie radzi byli mojej medycynie, powinni by się więc wstawić za mną do ojca. Nie mam najmniejszej nadziei, ale nie chcę wyrzucać sobie, żem czegokolwiek, co zrobione być mogło, zaniedbał...

Jeszcze nie wyszedł Szczerba, gdy Horyłka, który czy się jakiej zmiany w losie swego lokatora domyślał, czy podsłuchiwał rozmowę, wsunął się, brząkając kluczami i zażywając tabaki, do pokoiku z miną zafasowaną. Spojrzał ukradkiem na Stanisława, nieco się skłonił, i czegoś zdawał się po stancyi rozglądać.

— Coś tu u pana—rzekł po chwili—i krzeselko nadłamane, i okno nadbite...

— Wszakżeś mi je tak oddał! rzekł Stanisław.

— Tak? tego sobie nie przypominam, odparł Horyłka; u mnie zawsze zdaje się wszystko we wzorowym porządku... Ale o to mniejsza, prawować się

nie będziemy... Miałem spytać... bo to mi potrzebne do dalszych planów... czy pan tę stancijkę zechce dłużej zajmować?

— Jak to? spytał Stanisław: wszakże zapłacona za kwartał z góry... a ten się dopiero rozpoczął?

— Na kwartał tak jest! bez wątpienia... rzekł lykając ślinę Horyłka; na kwartał... ale po kwartale...

— Po kwartale pomówimy o tém, odpowiedział Szarski.

— Bo jeśliby ona była panu niedogodna, zwłaszcza że coś zdaje się chłodna, a piec popękał—mruknął Horyłka—na cóżby ją dłużej zajmować? Mam właśnie lokatora, któryby najął ją rocznie.

— Ależ zapłacona! rzekł Stanisław z oburzeniem.

— Cóż to zapłacona? tak jest! zapłacona... ale jeżeli się przy wyjściu kontraktu okażą z mojej strony pretensye, a pan będziesz miał jaki ambaras w ich załatwieniu, nie lepiejże to wcześniej pokombinować?

Akademicy spojrzeli po sobie.

— Ja jestem spokojny i uczciwy człowiek, ciągnął dalej Horyłka; tego mi nikt nie zarzuci, żebym do kogo szukał przyzepki... i gdyby nie ta szelma żona, z pozwoleniem panów... przez którą wszystko się pogmatwało... o! inaczejby ja stał! Panowie nie wiedzą co mnie ta niewdzięczna kosztuje...

— Ale cóż to ma do stancyi? spytał Szczerba.

— Po co to już w bawełnę obwijać? dokończył Horyłka odważnie, zbliżając się do Stasia; mówmy lepiej otwarcie. Pan Szarski podobno w ambarasie nadal... ja to wiem, ja wiem wszystko...

— Jakże wiedzieć możesz? chyba słuchasz pod drzwi? spytał Szczerba.

Horyłka się zmieszał i łysinę potarł.

— No, już jak ono jest to jest... otwarcie... na co panu dalej ta stancya? Niech się pan wyniesie do życliwych kolegów, a ja tu kogo innego postawię..

— Ale ja za nią zapłaciłem!

— Co to, zapłaciłem? rożogniając się zawołał gospodarz; a pretensye? a jak ich nie będzie czém opłacić? Ot... ja mogę skwitować pana choć krzesło nadłamane, i podłogę szorować potrzeba, i szyba spekana i na ścianach androny popisane,—a pan lepij się wynieś sobie.

— A gdybyśmy my z panem Szarskim razem wszyscy się z waćpana domu wynieśli? spytał oburzony Szczerba.

Horyłka zmieszał się niezmiernie, i dopiero się opatrzył, że za daleko zajechał; ale nadrabiając rezonem, począł się śmiać.

— Wolne żarty panów! a gdzie taki dom drugi i taką jak moja kuchnię znajdziecie? gdzie takiego gospodarza, który się rujnuje dla waszej wygody? Zresztą ja tylko radziłem, a wolno postąpić jak się podoba... uważaj pan jak lepij. Mnie stancjka potrzebna, bo wkrótce nadjechać mają całą gromadą wotyżerowie z Wiednia... słyszy pan? z Wiednia! którzy pragną i dobijają się zająć dom mój, znany w całej Europie, bez pochlebstwa... a jednego pokoju dla samego entrepreneurera właśnie mi braknie... moglibyśmy ułożyć się korzystnie.

— W istocie, rzekł Szczerba: może to i dobra rada. Wróć pan pieniądze Szarskiemu, a my weźmiemy go do siebie.

Horyłka oczy wytrzeszczył i chrząknął.

— Co się tycze pieniędzy... pieniądze! przełknął powoli: to już wiadomo całej Europie, że mnie ta

szelma, z pozwoleniem, zrajnowała, kompletnie zrujnowała. Zresztą ja muszę w każdej operacji zarobić... więc i tu... pieniędzy nie dam, ale jakiś czas karmić mogę...

Tegoż wieczoru zaskoczony Stanisław, ugodziwszy się o zmianę mieszkania na jadlo, opuścił izdebkę, w której od wyjścia Bazylewicza sam był i spokojny był z myślami swemi, wynosząc się na łaskę współuczniów do dwóch obszernych pokoiów, które oni w kilku zajmowali. Było to pierwsze upokorzenie i pierwszy krok do nowego życia.

Czas biegł żywo, Stanisław pracował teraz we dwoje, widząc, że na pracy własnej całe oprzeć musiał życie. Otoczyli go nowi towarzysze, wcale różni od tych, z którymi uczęszczał na medycynę, każdy bowiem oddział miał sobie właściwą fizyognomię. Medycy, po większej części chłopcy ubodzy a pracowici, garnęli się do swęj nauki z zapałem, raźnie jakoś i ochotczo, smutne swe studia usiłując rozweselać humorem, nieustannie podtrzymywanym skupianiem się w gronka dla nauki i dodania sobie ducha. Pomiedzy nimi, począwszy od najznakomitszych intelligencji do najpłytstzych umysłów, szereg zdolności był niezmiernie rozmaity, wychowanie też, obyczaje, usposobienia najróżniejsze. Szyderstwo chłodne i niewiara szeroko tu panowały, choć były i wyjątki; ogół wszakże składał się z materyalistów. Gdyby nie młode uczucia szlachetne, których wygasić nie mógł sceptycyzm zaraźliwy, kupka ta byłaby straszną, tak zimno już uczyła się patrzeć na świat, ciągle do czynienia

mając z trupami lub człowiekiem w stanie anormalnym, schorzałym i upadłym; ale i tu święte idee braterstwa, poświęcenia, uczucia honoru żyły na ruinach bujnie i rozjaśniały szary horyzont materyalizmu.

Idee te pomiedzy garścią medyków niemal do egzaltacji dochodziły, tak żywo były uczuwane sercami; bo skoro człowiek z jednej strony stygnąć musi, drugą szuka czemby się rozgrzał i poruszył.

W oddziale literackim stosunkowo daleko mniej licznym, składającym się z uczniów uboższych może jeszcze, których popęd niezłomny do studyów niewdzięcznych nakłaniał, większa była jednolitość usposobień i fizygnomia jednostajniejsza daleko. Było ich niewielu, zamyślonych, zapracowanych, niepewnych jutra, po większej części wyglądających w przyszłości ciężkiego chleba nauczycielskiego; a obok wytartych mundurów tych cierpliwych wyznawców nauki, zaledwie parę wytworniejszych fraków bogatych chłopców, którym tylko o stopień chodziło, ukazywało się na ławach rzadko zajętych.

Większa część uczniów oddziału literackiego miała usposobienia, na które rachowała, i odznaczała się też nieodłączną od nich w młodym wieku zarozumiałością. Bazylewicz nieźle reprezentował ten ogół złożony z ludzi, którzy wiedzieli, że chyba niezmiernym talentem i nadzwyczajną pracą dobić się czegoś potrafią, tak rola, którą szli uprawiać, była nieplenną.

Mniej tu było braterstwa, związku, serdeczności, wesela, niż pomiedzy medykami; bo każdy chodził z sobą, myślał o sobie, ufał w siebie, a rzadki miał ochotę się rozśmiać.

Kilku uczniów instytutu pedagogicznego, jeszcze butniejszych, bo wybranych i będących celem zazdrości

ci, zasiadało w odosobnieniu niemal i samotności na ławach niełudnych wcale. Staś nie znalazł tu ani przyjaciół, ani młodości.

Wcześniej pomarszczone były czoła, za wczasu ściśnięte serca zamykały się w sobie, by całą swą siłą wylać w jakiś pracę. Bazylewicz powitał Szarskiego jako towarzysza ledwie nie szyderstwem.

— Tak trzeba było zrobić od razu, rzekł śmiejąc się. Baba jesteś! wahasz się; ciężko ci pójdzie na świecie, — ale lepiej późno niż nigdy.

Staś postrzegł zaraz, że niewszędzie zrozumiałość odpowiada zdolności i służyć może za jej miarę. Połowa najpewniejszych siebie, jak Bazylewicz, mierne bardzo miała talenta, ale nadstarczała za nie, wmawiając w siebie i w drugich, że w łonie swém kołysze geniusz, który się za chwilę rozwinie. Byli tam i ci ludzie osobliwi, których natura uposaża najszczodrzej pamięcią, bystrością, pojęciem, łatwością chwytania i przyswajania cudzego, a którzy z najpierwszych uczniów, pobrawszy medale, nanizawszy wieńców, wychodzą w świat niezdolni zastosować tego, co nabyli. Na całe życie zostaje im to, czego się wyuczyli, z zarozumiałością i pychą studencką — ale nic więcej. Obok nich trafiały się mniej pospolite charaktery młodzieży bojaźliwej, na pozór roztargnionej, uczącej się z trudnością, zawsze myślą uciekającą z miejsca, w którym być powinna, zaledwie mogącej przeleźć egzamina, co oswobodzona później z więzów pedagogicznych i formuł naukowych, wychodzi na świat gasząc jednym zamachem wielkie te luminarze szkolne, którym na ławie ledwie sięgała po kolana.

Do téj właśnie kategorii umysłów należał Stanisław, nieufny w siły swoje, bojaźliwy, chwilami tylko

zbierający się na gorączkową odwagę, a przez resztę czasu dający się zacierać wszystkim kto chciał. Bazylewicz, który mniej od niego i mógł i umiał, ale z tego co posiadał, doskonale potrafił korzystać i popisować się zręcznie — brał górę nad Stanisławem i nad wielu innymi, a z tymi, których pożyć nie mógł, tak śmiało występował do walki, tak z nich szydzić umiał, tak się im urągał, tak mało dbał o nich, że w końcu przy nim zostawała wygrana.

Wszyscy współuczniowie Szarskiego już w chwilach wolnych roili o autorstwie, próbowali sił swoich i rzucali się do tworzenia.

Bazylewicz chwycił się świeżej naówczas formy Sonetów, tłómaczył Petrarke, tworzył piosnki, i tak je deklamował, że wszelką rozbierał krytykę, bo słysząc go śmiać się było potrzeba do rozpuku, a sądzić niepodobna.

Stanisław, ni mniej ni więcej, począł razem tragedye, poemat, romans i historye... Myśl jego płodna wolała tworzyć wielkie pomysły (które jednym rzutem oka w duszy oglądał w całym świecie, jakiego nigdy podobno dostąpić nie miały), niżeli je powoli i mozolnie dokonywać. Omylony tém, że widział pięknem, a raczej jak pięknem byćby mogło to, co obmyślał w chwili zapału, Stanisław porywał się do dzieła, i na pierwszej karcie niewprawną skreślonej ręką, blade znajdując tylko odbicie świetnego obrazu, opuszczał dłonie bezsilne.

Brał się do czego innego, i z innem było toż samo. Nie wiedział jeszcze, że sam zapal nawet, kiedy unosi nad ziemię, nad chłodne strefy pracy, jest niemal przeszkodą dla poety artysty, który mozolnie od-

tworząc musi obraz wypiastowany w swój duszy. Nie wiedział, że zapał potrzeba było skryształizować w sobie i w jego formie dopiero odlać spiżowy posąg. O! wielu rzeczy nie wiedział jeszcze, i zrażał się niepowodzeniem co chwila, próbując w jakiby sposób myśl cudna, w której się przeglądał, od razu wylać się mogła cała, potężna, silna, barwna jak jęj nieśmiertelny prototyp.

O! inaczej to w duszy patrzeć na te obrazy odbijające się w niej z niebios, a inaczej, inaczej ulepić je z gliny i błota! Jeden tylko Bóg mógł na swe dzieło wejrząwszy, powiedzieć, że było dobre; a artysta artysta chyba upadłszy na duchu, na umyśle i wyobraźni, przeżywszy się moralnie, przykłaśnie temu co stworzył.

Ci, co nie znają prototypu, lecz bladą tylko jego kopię mają przed oczyma, śnić z niej będą o arcydziele; ale twórca, co nie zabył wielkiego swego marzenia, z politowaniem patrzeć musi na cień ideału, w gniewie mając ochotę sto razy skruszyć swe dzieło.

Bazylewicz wcale pracował inaczej. Myśl jego i wyobraźnia działały leniwo; nie miał nigdy przed sobą całego jednolitego obrazu; zaświtało mu coś z dala, a w wykonaniu dopiero szukał i trafiał na przypadkowe piękności. Przychodziły mu one zmusznie, stroił je, wdzięczył, rozsadzał, przybierał; to też gdy później spojrzął na tak utworzone dzieło przypadku i trafu, rozmiłowywał się w tej mozaice miłością wielką, i lubował się nią jak najdroższym dzieciakiem.

Złe tam było przyjść do niego ze szczerą krytyką, na którą odpowiadał śmiechem, urąganiem, gniewem nawet i oburzeniem. Zlepki te jego zdawały mu się tak

niezawodnie arcydziełami, że gdy je odśpiewał, lada szmer świętokradzki do wściekłego gniewu go doprowadzał.

Daleko im wszakże było do doskonałości, do mierności nawet: brakło wszelkiego wdzięku... znać było pracę mozolną w tych wyrazach posprzęganych z wysiłkiem wielkim, którym kazano brzęczeć, dzwonić, stukać i hałasować, żeby pokryć nicość tego co obwijały. Forma jego podobna była do owych cukierków sprzedawanych w papierkach malowanych, w których więcej farby, obwijał, pstroczyny i dodatku niż cukru i smaku.

A że żaden poeta śpiewać nie może sam sobie, a każdy potrzebuje uznania, schodzili się nasi młodzi czytać wzajemnie swe roboty, radzić się i dopatrywać wrażenia, jakie czynili na sobie. Już też i sława ich drobna rozchodzić się poczyniała z ławy na ławę, nie przestąpiwszy jednak drzwi sali. Na tych posiedzeniach literackich, na których więcej jeszcze było dymu i wrzawy niż czytania, Bazylewicz zawsze wszystkich przekrzykiwał, i koniec końców jeśli nie zachwycił, to wmówił, że zachwycić był powinien, a gdy mu kto jaką uczynił uwagę, nigdy jęj nie przyjmując, zostawał uparcie przy swoim. Stanisław przeciwnie męczył się najniesprawiedliwszą nawet krytyką, i poświęcał często dla niej to, co w jego oczach istotną stanowiło piękność. Trzeba mu było wysiłku odwagi, by się oprzeć lada polotnej uwadze najpowierzehowniejszego umysłu. Sam niedowierzając sobie, bo w duszy nosił ideał, któremu zrównać kiedykolwiek rozpaczał, łatwo wierzył tym, co w jego pieśniach plamy widzieli i skazy.

W ich sympatyach dla pisarzy była także wielka różnica. Bazylewicz tych tylko cenił, którzy w czem-

kolwiek byli do niego podobni; Stanisław przeciwnie, przymioty, których mu brakło, głosy, jakich mu natura nie dała, brał do serca, umiając czuć nietylko ten rodzaj piękności wyłączny, jeden, który snuł się z jego duszy, ale wszelaką piękność, najsprzecznieszczą nawet z jego ideałem, lecz jakąś stroną swoją odbijającą nieśmiertelny prototyp.

Jakkolwiek bądź, ogół zawsze ostatecznie sprawiedliwy w swych sądach, choć się dawał na chwilę zadurzyć krzykiem Bazylewicza, więcej jednak cenił Stanisława niż pierwszego, i smakował w tém, co tworzyło serce raczej, niżeli w płodach głowy. Obiecywano sobie wiele po pierwszym, miłowano lepiej drugiego; zresztą talenta ich tak daleko stały od siebie, że ich z sobą porównywać nawet nie było można. Tamten zawsze był gotów, wśród ulicy nawet, czytać deklamować, popisywać się i zgarniać wieńce, których był żądny. Staś prawie się wstydził tego, co robił, i sam pierwszy występował z krytyką, bo w chwili czytania tak mu się praca jego zdawała słabą, że ledwie mógł usta otworzyć, wcześniej się do wad przyznając niżeli ich kto dojrzał... obwinił się z góry, i błagał przebaczenia. To prawie całkiem zabijało wrażenie, jakie mógł na słuchaczach uczynić.

Położenie Stanisława codzień się stawało cięższém, a jutro groziło mu zupełnym niedostatkiem, jeśliby nie zapobiegł pracą wyczerpaniu bardzo już uszczuplonego zapasiku. Wprawdzie mieszkanie miał u kolegów i mógł na ten przytułek rachować; Horylko

w skutek układu karmić go jeszcze obiecywał czas jakiś; ale nie miał więcej nad ten dach pożyczany i kawałek chleba. Z domu nie słyhać nie było, a nawet pan Adam Szarski, do którego pisał, nie mu jeszcze nie odpowiedział.

Jednego wieczoru, powracając zamyślony na Trocką ulicę, wśród dość pustej drogi, bo to była sobota, podniosłszy oczy roztargnione, z wielkiem podziwieniem spostrzegł jakąś znajomą postać we wrotach domu Horylki, rozmawiającą z faktorem i gospodarzem. W pierwszej chwili nie mógł jakoś przypomnieć sobie ktoby to był, tak obecność téj figury była niespodziana; ale gdy na widok przybywającego Szarskiego oddalać się zaczęła, poznał w niej Falszewicza. Zdziwił się, ale był pewien, że się nie myli.

Faktor i gospodarz stali jeszcze w progu, gdy niespokojny Stanisław nadbiegł do nich z zapytaniem:

— Kto to był taki?

Obaj spojrzeli po sobie, a Żyd odwrócił się, ruszając ramionami.

— Nu, kto miał być? i co panu do tego? Nasz znajomy, pan go nie znasz.

Horylka pomruczał coś tylko pod nosem, i natychmiast się rozeszli. Zjawienie się w Wilnie Falszewicza, przypominając Stanisławowi dom, o którym bez żalu i strachu pomyśleć nie mógł, zaniepokoiło go wielce, tak, że wzburzony niém cały, nie mógł usnąć do poranka. Ale że dni następnych nie spotkał go nigdzie, ani zasłyszał o nim, począł w końcu sądzić, że mu się to widziało w choréj urodziło głowie.

Trzeciego dnia, naprzeciw Dominikanów, na trotuarze, nos w nos, oko w oko zjawił mu się Falszewicz tak już widocznie, że wątpić o nim nie było po-

dobna, gdyż dwóch takich fizyognomij pewnie na świecie znaleźć było trudno. Staś wstrząsnął się cały i zaczął cofać, a Falszewicz chciał zmykać, ale za późno się do tego wzięwszy, pozostał jak przykuty.

— Co tu pan robisz? zapytał słabym głosem Stanisław.

— A! a! to pan!... ja... przyjechałem za swojemi interesami... mam tu krewnych... w aptece...

— Co się dzieje w Krasnobrodzie?... na miłość bożą! powiedz mi pan, co się dzieje w Krasnobrodzie?

— A co się ma dziać? Czy to pan myślisz, że tam bardzo znać, żeś pan ubył?

— Ojciec mój?

— Zakazał wspominać pana; a mówią nawet, że zrobił już testament i zupełnie wydziedziczył.

— A matka? przerwał Staś łamiąc ręce.

— Pani sędzina podziela całkiem zdanie jw. sędziego, odrzekł ze czkawką Falszewicz. Zresztą nic się pan odemnie nie dowiesz... bo nawet jw. sędzia przewidując, że mogą być nagabany przez pana, zakazał mi się z nim wdawać.

Wymówiwszy te kilka słów z coraz wzrastającym złym humorem, Falszewicz już się chciał oddalić, pomrukując coś niezrozumiałego, gdy Staś, któremu ta wstrętna figura, w tej chwili dom przypominająca, drogą się stawiała, wstrzymał go chwytając za rękę. Szczęśliwa myśl, że Falszewicza trunkiem ująć łatwo, przychodziła mu do głowy; ostatnich kilka złotych miał jeszcze w kieszeni.

— Panie Falszewicz, rzekł głosem błagającym: pogadajmy... Jest tu cukiernia niedaleko, możebyś się czém posilił?

Pedagog chciał uciekać i wstrzymał się, oczy mu błysły nabrzkłe, oblizał się, zająknął.

— Ale co tam! tego nie potrzeba... Prawda, że człowiek tém miastem zmęczony na śmierć, a w gębie nic nie miałem od rana...

Wódkę słyhać było mocno od niego, pomimo zakłęcia, że nic w gębie nie miał dzień cały. Staś widząc, że się słabo broni, począł mocniej nalegać.

— Chodźmy panie Falszewicz, rzekł chwytając go za rękę: kieliszek słodkiej wódki nie zawadzi.

— Nigdy nie zawadzi! zawołał pedagog, słabnąc coraz bardziej: wódka *aqua vitae*; niech głupcy piją wino, to napój dla żołądka i dla kieszeni niezdrowy... Wódka! w to mi graj! nigdy się człowiek nie oszołomi... a dla konkocyi jedyna... No... ale gdzież ta cukiernia?

Staś pociągnął go za sobą uradowany.

Weszli do bocznej izdebki pierwszej cukierni, jaka się trafiła, a Falszewicz okiem pożądlivosti pełnym powiódł po butlach, z drugiego pokoju wyglądających jak armia uszykowana do boju, w porządku i w pełnych stojąca szeregach.

Przyniesiono wódkę; Staś usiadł i badać go zaczął.

— A! co się działo w Krasnobrodzie, kiedy list pański nadszedł, tego wypowiedzieć niepodobna, rzekł Falszewicz, smakując w Crombambuli. Pan sędzia rzucał się jak... jak dzik; pani sędzina płakała, łamiąc ręce; my wszyscy staliśmy w największym strachu, nie śmiejąc pary z ust puścić. Nareszcie pan sędzia zawołał: „Nie mam syna! nie chcę go widzieć, nie chcę o nim słyszeć więcéj! jak sobie posłał niech się wyśpi!... Nie chciał mi być posłuszny, niechże sam idzie o własną siłę... Z Panem Bogiem... zobaczymy jak daleko

zajdzie..." Odtąd nie było nawet wzmianki w domu o panu Stanisławie.

Drugi i trzeci kieliszek rozmowniejszym jeszcze i szczerzym uczynił Falszewicza. Przyznał się, a raczej dał do zrozumienia, że został wysłany do Wilna, aby gospodarzowi domu *et quibus interest universis* zapowiedzieć, że sędzia za syna nie odpowiada i nie płaci.

Stanisław z tych poszarpanych, wstrzymywanych i wyrrywających się zeznań wybadał tylko, że najmniejszej nie ma nadziei przebaczenia, nawet w razie zupełnej uległości.

— „Gdyby z głodu marł i jak syn marnotrawny teraz do domu mi wrócił—rzekł sędzia wedle Falszewicza—nie przebaczę, nie przyjmę! Jeśli mi się na oczy pokaże, a zechce przebłagać, na jedno tylko zezwoliłbym mógł jeszcze, niech porzuci uniwersytet i przyjedzie się uczyć posłuszeństwa na wsi... Nauki nie potrzebuje, bo mu ta widać głowę słabą zawraca; będzie ekonomował w Krasnobrodzie.“

Nie było więc sposobu, nie było żadnej nadziei; bo powrócić do tego życia niewoli, po swobodzie, której się skosztowało, Stanisław już nie mógł... Trzeba więc było pozostać w Wilnie, myśleć samemu o sobie i wyrzec się rodzicielskiego domu.

Z westchnieniem wyszedł z cukierni akademik, wyprowadzając za sobą podpiętego bakałarza, który nareszcie trunkiem rozczulony, poczynął się już nad Stasiem litować.

— Dalibóg—rzekł—żał mi już pana... No! ale do czego to było robić? do czego?... ot! głupstwo! Już teraz przeskoczywszy płot, trudno na to poradzić!... Doskonała wileńska wódeczka... nie ma co mówić! Przed

jw. sędzią nie przyznam się, żeśmy się widzieli... Bieda! bieda! i po wszystkim... ale wódka, no! wódka... dobranoc panu Stanisławowi!

Nazajutrz Paweł Szczerba przyszedł z wiadomością, że jeden z profesorów uniwersytetu, potrzebujący dorzeczy do syna, zamierza go sobie wybrać z uczniów oddziału literackiego. Było to ze wszech miar pożądane i najdogodniejsze miejsce, o jakim Stanisław mógł marzyć; należało się więc starać o nie, i użyć wszelkich sprężyn, aby je osiąść. Mieszkanie, wygodę życia, małą pensyjkę i protekcję nauczyciela pozyskać, było rzeczą wielkiej wagi dla ubogiego ucznia; nie dziw też, że na sam ogłos o wakansie, wszystkie wytarte łokcie literackiego oddziału poruszyły się żywo, krzając się o otrzymanie tego miejsca, o wniście do tego Eldorada.

Paweł Szczerba, nawet nie pytając przyjaciela, bez jego wiadomości, poczynił był już wstępne starania dla Szarskiego, i otrzymał obietnicę, że Staś tegoż dnia prezentowany będzie profesorowi. Ta wiadomość ucieszyła niezmiernie biednego chłopca; ale go strach ogarnął jakiś i taka o siebie obawa, o brak sił do podofania wielkiemu zadaniu wychowania, którego sam jeszcze nie skończył, że ledwie się dał namówić na widzenie z nauczycielem. Godzina i miejsce były wyznaczone, Szczerba miał prezentować nieśmiałego towarzysza. W niepokoju, wahanii, nadziejach przeszło pół dnia, a Stanisław słuchając prelekcyj, ledwie luźne z nich łapał słowa, tak mu serce biło i głowa gorzała.

Gdy weszli w podwórzec uniwersytecki i ujrzeni z daleka profesora przechadzającego się pod arkadami, u wniścia do biblioteki, Szarski stracił resztę odwagi, języka i przytomności, a Szczerba załamał ręce widząc, z jakim ukłonem i uśmiechem zadowolenia oddalał się właśnie od profesora Bazylewicz.

Przeczuł on, że miejsce schwycone być już musiało... Zbliżyli się wszakże, a po zmieszaniu nauczyciela, jego minie obojętnej i wejrzeniu, które rzucił na prezentowanego, domyślić się było łatwo, że z tego nic być nie może. Przemówili słów kilka, rozmowa nie skierowała się nawet na przedmiot największej wagi, profesor szybko się uklonił i oddalił prędzej jeszcze.

Szczerba stał osłupiały.

— Coś w tém jest — rzekł, — nie ma co robić... uchwycono nam kondycję z przed nosa... przysięgnę, że ją Bazylewicz już otrzymał.

Zaledwie uszli kilka kroków, gdy na drodze trafiło się im dwóch towarzyszków: byli to Bolesław Mszyński i Korczak. Szczerba zły, począł się użalać przed nimi.

— Ale ba! rzekł Bolesław: jakżeście bo mogli myśleć, że w czémkolwiek uprzedzicie Bazylewicza? Ten sobie da radę wszędzie! Wczoraj jeszcze wiedział o wakansie, dziś rano widział się już w mieszkaniu z professorem, i tylko co, jak sam mówił, zawarł z nim umowę.

— Chyba nie wiedział — zawołał Szczerba — że my się o to miejsce staramy dla Stanisława.

— I owszem, odparł Bolesław; ale śmiał się, gdyśmy mu o tém wspomnieli. „Głupibym był, rzekł, poświęcać się dla kogokolwiek, kiedy wierzę w to mono, że ja światu potrzebniejszy od drugich... *Prima*

charitas ab ego; niech sobie Stanisław i jego przyjaciele szukają innego miejsca.“

— Słyszałem na moje uszy — dodał Korczak — jak spytany przez profesora o Szarskiego, odezwał się „Chłopiec z niejakim talentem, ale charakter słaby, kobiecy, przytém miałoby to minę, że pan profesor protegujesz go przeciw własnym rodzicom, którzy nie życzą sobie, żeby się oddawał literaturze.“

Szczerba wstrząsł się cały, i już miał kląć swoim zwyczajem, gdy z wesołą miną zbliżył się ku nim obwiniony Bazylewicz, wczapce na bakier a z uśmiechem na ustach.

Wszyscy zamilkli.

— No! a co? łajecie mnie zapewne? zawołał śmiało; łajecie, że m Stasiowi z przed nosa uchwycił miejsce?... cha, cha, cha! nie prawdaż? Jakie z was dzieci! A cóż to? chcieliście, żebym ja siebie dla niego poświęcił? Nie jestem wcale z rodzaju tych niewinnych baranków, którzy się zabijają na ofiarę... wolę drugich poświęcać sobie, niżeli być święconym — to darmo! Staś dziś, jutro otrzyma przebaczenie rodziców i będzie miał kawałek chleba, a ja go nie mam przed sobą i na tydzień. To miejsce było całą moją przyszłością.

— Mów sobie co chcesz, odparł Szczerba: ja ci ręki nie podam. Wolno ci się było starać jak chciałeś, ale nie ze szkodą Szarskiego... niechby wybierano między wami.

— Otoż wybierano! wybrano i koniec! dumnie zawołał Bazylewicz. A kto mi nie poda ręki, temu i ja mojej nie wyciągnę dłoni... mniejsza o to! Cha! cha! nie buduję ja nic na przyjaźni, i obejść się bez niej potrafię... bo idę o własnej sile.

To rzekłszy, odwrócił się i świszcząc poszedł dalej.

Studenci poczęli z oburzeniem powstawać na niego i spisek już knować na zdrajcę, przybywało ich coraz więcej, gwar się powiększał, gdy Stanisław przerwał narady.

— Staję w jego obronie—rzekł:—nie ma tu takiego grzechu jaki mu przypisujecie; położenie jego wymawia postępek, szedł i ubiegał się otwarcie. Dla mnie to miejsce było widocznie niestosowne; on je daleko lepiej zająć potrafi. Chodźmy!

I prawie gwałtem pociągawszy Szczerbę, który oburzeniu swojemu nie mógł położyć tamy, Szarski odszedł z nim do domu, wciąż usiłując uniewinnić Bazylewicza.

Wypadek ten, zwracając uwagę Stanisława na własne położenie upokarzające i niezdolne, zmusił go co prędzej pomyśleć o jakimś rachunku. Wszyscy koledzy, pod których żył dachem, których łaską i książką się żywił, byli ubodzy; czuł, że choć mu tego nie okaza, musi być dla nich ciężarem; potrzeba było pomyśleć o sobie... ale rozglądając się w koło, nie widział żadnego sposobu, żadnego wyjścia. Na koszt skarbowy w instytucie przyjmowano z trudnością, i tych tylko, którzy dali już dowody zdolności; na otwierające się wakanse było zapobiegliwych kandydatów mnóstwo: nadziei z téj strony mieć nie było można. Nauczycielów i prywatnych dozorców posady już były od początku roku pozajmowane, trudno ich było teraz wyszukać; słowem napróżno silił się coś wynaleźć, i męczył się nie spotykając nie przed sobą, nie prócz ngdzy, która wzrastała i coraz stawiała się groźniejszą.

Napróżno Szczerba, przeczuwając, co się z nim działo, bo od niego nigdy słowa nie słyszał, rozweselał

go, ukazywał jaśniejszą przyszłość, cytował przykłady cięższych położeń, z których się niejeden wywikłał szczęśliwie, nie tracąc ducha, Szarski codziennie był chmurniejszy, i nie mając wiary w siebie i przyszłość, szedł tylko dalej jak machina, której sprężyna jeszcze się była nie wysnuła zupełnie, ale za chwilę zatrzymać się musiała.

Pierwsze potrzeby życia, do których zaspokojenia nie mógł i nie chciał wzywać pomocy przyjaciół, tając się nawet przed nimi z najdokuczliwszym niedostatkiem, zmusiły go już pozbyć się wszystkiego co tylko sprzedanem być mogło. Ubogie dziecię szlacheckie, syn skąpca, Szarski nie miał też wiele rzeczy zbytkowych, ale i tę odrobinę swój wyprawy domowej puścił już pomiędzy Żydów. Faktor Hersz, który przewidział doskonale ostateczność, do jakiej Szarski przywiedziony być musi, wcześniej zapobiegł temu, żeby graty jego przez inne ręce nie przeszły. On i dwóch jego współtowarzyszów Szarskiego nie stanął mu na przeszkodzie. Rozpoczęła się więc smutna komedia, której scen któż z uboższych akademików nie pamięta? Kropli litości i sumienia nie było w tych Żydach, którzy z kolei przychodzili zniżać cenę każdego gałgana, dopoki go nie pochwycili, a gdy przyszło płacić, darli jeszcze, osobno faktor za następczenie kupców, osobno kupcy za daną gotówkę, oszukując na monecie, kradnąc i nie dopłacając resztek, które niby przynieść mieli natychmiast i t. p. Niezmierna łatwowierność Stasia z jednej, a zręczność Hersza, który żył z tych machinacyj, z drugiej strony, czyniła ten handel prawdziwym rozbojem.

Kiedy już Żyd poznał z kim miał do czynienia, używać począł wszelkich środków do skorzystania z nowicyusza. Do targu sprowadzał bogatych niby, poważnych i niezmiernie sumiennych współbraci, z którymi Szarski nie śmiał się nawet spierać o cenę; z nimi z kolei powynosił dywaniki, płaszcze, surduty, wszystko aż do kołder i prześcieradeł. Szczerba i towarzysze nierychło to spostrzegli, bo chwilę do szachrajstw wybierano zawsze, gdy ich nie było w domu, a Staś doskonale się ukrywał z tém co robił. W krótkim przeciągu czasu resursa te, bardzo ograniczone, wyczerpały się wreszcie całkowicie, a Stasiowi pozostało zaledwie to, czego już sprzedać i pozbyć się nie było można, dla małej wartości lub codziennej a koniecznej potrzeby.

Jednego poranku, gdy powróciwszy z prelekcyi, sam jeden błakał się po wspólnej kwaterze Szarski, z gorączkowym niepokojem o jutro, Hersz, którego już nie widział od dawna, bo Żyd nie miał przychodzić po co... zjawił się niespodzianie w prog.

— Dzień dobry jegomości.

Staś nawet nie odpowiedział, tak był zaprzatniony. Żydek usłużny powtórzył pozdrowienie:

— Dzień dobry jegomości.

— Czego chcesz? spytał Szarski.

— Nu, nic! przyszedłem się tak dowiedzieć, może czego potrzeba?...

— Nic nie trzeba... bo nic nie ma! odparł wzdychając akademik.

Żydek zamilkł na chwilę, ale widocznie go coś piekło.

— Żeby panicz wiedział, jak ja panicza Kocham! odezwał się z cicha. Przez pochlebstwa, mało takich

uściwych paniczów... Jabym chciał w czém jegomości dopomódz, na moje sumienie... *auf Nemunes*.

— Cóż ty mi dopomożesz? śmiejąc się gorzko, rzekł Szarski. Do sprzedania nie mam już nic... resztęście wyciągnęli.

— Albo to ja *zględem* tego mówię? uchowaj Boże! zawołał Hersz ruszając ramionami... *auf Nemunes*... Ja sobie głowę łamuję, żeby co paniczowi zrobić! A spodziewam się, że jak się co znaleźć potrafi... to i mnie biednemu Żydowi także coś z tego kapnie...

Staś się zatrzymał, tak dziwnie mu w uszach zabrzmiała dawno niespotykana nadzieja.

— Cóż się może trafić? spytał ciekawie.

Hersz zbliżył się tajemniczo, obejrzał i westchnął jak gdyby wielki dźwigał ciężar.

— A cóż panicz da? zapytał.

— Co ci mam dać? za co?

— Za co? a jak ja znajdę dla panicza lekkie pieniądze?

— Przyznam się, że cię nie rozumiem.

— Nu! nu! ja się już targować nie będę... *auf Nemunes*... ja znam że panicz poczciwy... dasz jegomości co zechcesz! spuszcza się na panicza.

Staś jeszcze stał nie pojmując, co Żyd mu obiecywał i czego od niego żądał, gdy nareszcie Hersz tajemniczo się ku niemu przybliżył.

— Takie miejsc! taka kondycja, co aj waj! *auf Nemunes*... lepszego chyba na świecie nie ma. Kupiec pierwszej gildy... a bogaty! a *Morejne*, gwałt! Jabym chciał mieć choć procent od procentu tego co on zbiera miesięcznie! On ma córkę. Pan umie po francuzku?

Szczęściem Stanisław nadspodziewanie dobrze mó-

wił tym językiem, winien będąc swą wprawę staremu pijaczynie przybłądzie Francuzowi, który umarł w Krasnobrodzie.

— Umieć, odparł zbiedzony, przenikając już propozycję, jaką ma uczynić Żydek.

— Pan będziesz uczyć francuzkiego języka jego córkę. Ot! a co? zły interes? *Fein* dziewczynka! pierwszej gildy kupiec! ma sklep na Niemieckiej ulicy, ma drugiego w Słonimie, ma trzeciego w Grodnie, a w Żelwie to pierwszy na jarmarku! Kto jego nie zna! Dawid Abramowicz Białostocki... pan wie? pan musiał choć słyszeć o nim?

— Nie słyszałem, rzekł zimno Szarski.

— To pan widział sklep jego?

— Nie widziałem.

Żyd ruszył ramionami.

— On paniczowi dobrze zapłaci!

Staś pomyślał i zastanowił się nieco.

— Dziękuję ci—rzekł do faktora—dziękuję szczerze... chodźmy do Dawida Białostockiego; będę dawał lekcje jego córce.

Żydek, który myślał, że akademik nierychło się na to zgodzi, i dla tego tak zalecał i Dawida, i sklepy jego, i znaczenie, i bogactwo, i córkę—widząc, że Staś łatwo przystał na propozycję, zacołał się nieco.

— Nu! nu! niech-no ja jemu wprzódzy oznajmig; ale pan umie tego po francuzku? *auf Nemunes?*

— Jużciżbym się nie umiejac nie podejmował!

— Ja panicza znam! ja paniczowi wierzę! nu! nu! pogadamy *ob tego!* Ja przyjdę wieczorem. Ale panicz będzie o biednego faktora pamiętał! Żebym ja tylko rzekł słowo, toby sto akademików dobijało się o to miejsce, ale *auf Nemunes* nie powiem nikomu! Ja to

umyślnie dla pana wyszukał! A co mnie to już bótów kosztuje!

To mówiąc, usłyszawszy na wschodach powracających z prelekcji towarzyszków Szarskiego, Żydek zwinął się, pokłonił i drapnął.

Dom Dawida Abramowicza Białostockiego, kupca pierwszej gildy, położony był przy ulicy Niemieckiej, która nigdy nie należała do najczystszych i najprzyjemniejszych w Wilnie. Ściśnięty wśród innych kamienic i zwrócony nieszczęśliwie tak, że słońce nigdy do niego nie zaglądało, pomimo wielkości swęj i mocnej staręj budowy, niewygodny był i smutny. Oprócz dołu miał jeszcze dwa piętra, sutereny zamieszkane przez posługaczy Dawida, który obszerny prowadząc handel, wielu do niego trzymał pomocników, i kilka po strychu rozsypanych izdebek, prawie zawsze pustką stojących. Na dole mieściły się trzy sklepy właściciela, a znaczną część domu zajmowała jego rodzina, składająca się z trzech już pokoleń. Na tyłach mieszkał ojciec Dawida, Abram Białostocki, stary Żyd z długą siwą brodą, urodzony jeszcze w miasteczku, od którego wziął nazwisko, i pamiętający świetne czasy pani Krakowskiej i Wersalu polskiego. Ojciec jego, a dziad Dawida, miał niegdyś zajezdny dom w Białymstoku i na kawaleryi narodowej, stojącej tam czas jakiś, dorobił się kapitału, z którym Abram na większą już skalę handel rozpoczął.

Starzec żył tu z żoną swoją Ruchlą, prostą i brudną Żydowicą, w dostatku, ale w niechlujstwie, do któ-

rego oboje przez skąpstwo i nałóg przywykli,—żyli w izdebkach ciemnych, wilgotnych, zasuniętych w dziedzińce, ciesząc się wnukami swymi i utyskując nad tem, że pokolenie dalsze widzieli coraz dalej odbiegające od prawa Mojżeszowego i zwyczajów tradycyjnych ludu izraelskiego. Stary Abram nosił się jeszcze modą średniowieczną, w spinanym na haftki żupanie długim, okładanym po brzegach wyłogami z aksamitu; a wychodząc na ulicę, co mu się rzadko trafiało prócz do szkoły, brał nań płaszcz z długimi rękawami taśmą pod szyją spięty, wysoką laskę ze skówką srebrną do ręki, i wysoki kołpak sobolowy, nieużywany już kształtem zbudowany. Była to poważna figura ze zgasięm okiem, twarzą zamysloną i posepną, pochylonym grzbietem, smutna, ponura, milcząca. Ruchla, która mniej jeszcze za próg się oddalała, pilnowała się jak on staroświeckiej lamowej założki, perłami sadzonych muszek i dawnego stroju Żydów polskich; trzewiki nawet nosiła na wysokich korkach, na których choć niewygodnie chodzić jej było, dreptała starucha nieustannie, gderząc *ex officio* na sługi swoje. Abram nie mieszał się już wcale do spraw i handlu syna, całkiem oddawszy się nabożeństwu i rozmyślaniom, a Dawid kiedy niekiedy tylko do niego po radę lub z ceremonialnym dla patriarchy rodu pokłonem przychodził. Niczem niezajęty, wszystek czas spędzał nad Talmudem, nie zrzucając prawie *Nefilim* i *Zizim*, rozpamiętywając komentaryusze uczonych rabinów, i dziwiąc się tajemnicom, jakich każda głoska pisma pełna była.

Na pierwszym piętrze, którego okna wychodziły w ulicę, mieścił się Dawid Białostocki i młodsza część rodziny. Dawid już powierzchownie cokolwiek mniej

był Żydem, a choć jarmułki nie zrzucił jeszcze i głowę golił, pokrywał ją wychodząc na ulicę kapeluszem lub aksamitną czapką, nie nosił żupana, tylko surdut i płaszcz zwyczajny, palone buty wytwornej roboty, a nawet rękawiczki. Był to mężczyzna bardzo przy stojny, z czarném okiem żywém i bystrém, z brodą wykwintnie utrzymywaną, w której się siwy włos srebrzyć za wezasu poczynął, trochę dumnego wyrazu twarzy, a pewien siebie, jak wszyscy, którym się na świecie poszczęściło, i co swe szczęście zwykli przypisywać nie losowi, nie ludziom, ale samym tylko sobie.

On i żona jego mieszkając na pierwszym [piętrze] kamienicy, urządzone mieli pokoje gościnne z pewnym wykwintem, ale w nich jednak tyle tylko bawili, ile wymagała konieczność, zwykle zaś przebywali w izdebkach tegoż piętra od dziedzińca i galerii wewnętrznej położonych, których utrzymanie i porządek nie wiele się różniły od czystości i ładu Abramowego mieszkania. Sama jejmość, córka bardzo bogatego wileńskiego kupca, niegdyś znakomita piękność, chodziła z głową ogoloną i w muszkach; ale suknie na niej już były nowszego kroju i chęćta elegancyi widocznie się w nich przebijała. Rączki zdobiła mnóstwem pierścieni, na szabas miała atłasy i aksamity, batystowe chusteczki i bogate szale. To nie przeszkadzało jej bynajmniej zajmować się kuchnią, stać pilnie przy zamieszaniu *łohszynu*, przy pieczeniu *gugłów*, prezydować u garnków i trudnić się całém kobiecém gospodarstwem, do którego miała pomocnicę, starą Żydówkę, zawołaną kucharkę, i młodszą służącą, bo Dawid był smakoszem, lubił jeść dobrze i wiele.

Dwoje dzieci Dawidowstwa już daleko dalej w reformie zaszło niż oni; bo Salomon chodził do szkół,

włosy nosił długie i zrzucił resztki dawnego stroju, a młodziuchną Sarę wychowywano starannie pomimo oszczędności, usiłując z niej zrobić panienkę nie Żydóweczkę. I Salomon, i Sara, dzieci rodziców typem wschodniej piękności odznaczających się, wzięły po nich rysy izraelskie w całej ich biblijnej czystości i wdzięku. Oboje byli do siebie podobni, z tą tylko różnicą, że czternasty naówczas rok kończąca Sara była i od brata, i od matki, i od ojca piękniejsza. Rzadko nawet w izraelskiej rodzinie, wśród której nie brak niepospolitych piękności, trafi się coś tak wzniośle i idealnie pięknego jak Sara... rzekłbyś, wskrzeszona jedna z tych bohaterek Biblii, jedna z tych wdzięcznych dziewic, cór Izraela, które w ognistych wyrazach malują nam księgi święte. W czternastu latach już się zdawała dojrzalą: tak kibić jej wysmukła, zręczna, doskonale utoczona zachwycala kształtami; tak nie brakło dziewczycy do wyrażenia typu, którego była urzeczywistnieniem szczęśliwem. Płec jej nadzwyczajnej, śnieżnej białości, przejrzysta, atłasowa, ledwie się nieco rumienila na twarzy, tak w cień i osłonie od powiewu wiatru, od spiekoty słońca wypielegnowana była. Profil twarzy azyatycki, nadzwyczaj był czystego rysunku i przedstawiał linię nieporównanego wdzięku. Oczy miały siłę wejrzenia potężną; osłonięte niezmierną długością rzęsami, nad których arkadą łuk brwi zarysował się puszkciem jedwabnym, patrzyły ze skromnością dziewczęcą i śmiałością rozpieszczanego dziecięcia na świat, którego jeszcze tak mało widziały. Niewielkie czoło, gładkie i jasne jak szyba jeziora w dzień pogodny, zdawało się niebo odbijać na sobie, tak było spokojne; uśmiech ust odkrywał bielsze od pereł i piękniejsze

od nich ząbki. Ale rzadko gość ten się na nich zjawiał, bo Sara od urodzenia była czegoś smutna, a rodzice wielce się tęp trapiłi, że prawie dzieciństwa i młodości nie znała. Nie bawiły jej zabawki, nie rozrywała igraszka rówieśnic; lubiła dumać, czasem nótowała coś posłyszanego w ulicy, a gdy ją czytać uczyć począł, cała się rzuciła do książek.

I Dawid sam, i jego żona, bardzo na to kręcili głowami, nie radzi z usposobień dziecięcia; ale ciągle obcowanie z niewiernymi, widok dziewic chrześcijańskich, powoli ich z tą skłonnością Sary oswajał i godził. Postanowili po długich rozmyślach i naradach dać jej nauczycieli języków i wychowywać jak najstaranniej. Sprzeciwiał się temu niezmiernie starzec Abram, jako rzeczy niezgodnej z prawami i zwyczajami, dowodząc, że kobieta czytać nawet umieć nie potrzebuje; ale już wykształcwszy Dawid i matka, nie spierając się z nim, po cichu swoje zrobili. Ukradkiem tedy fortepian wjechał jednego wieczoru na pierwsze piętro; a nazajutrz (bo to się zawsze robiło jak najoszczędniej) wynaleziono jakiegoś Żydka muzyka... przyszłe cudo, mające nieza długo objężdżać Europę i Azję, szukając pieniędzy w klawiszach, a tymczasem dawało lekcye po dwa złote na godzinę,—i installovano go jako metra muzyki.

Hersz podjął się taniego i przyzwoitego wyszukiwać nauczyciela francuzczyzny, i pochodziwszy po głowie, zaproponował to miejsce Szarskiemu, spodziewając się go dobrze obedrzeć przy tój zręczności.

Wieczorem tegoż dnia szli już na ulicę Niemiecką, a Żydek ciągle dawał nauki swemu protegowanemu.

— Niech tylko jegomość uważa, mówił: trzeba najprzód prosić po pół rubla za godzinę, choć to i po

dwa złote bardzo wiele! Oni bogaci, to zapłacą... ale czterdzieści groszy będzie dla mnie.

— Jak to? od godziny?

— Nul a jużciż! a jakże! zawołał Żydek; albo to ja nie nastreczam? albo by to panicz sam tu trafił? A to sześć godzin w tydzień, to dwanaście złotych; co! to jeszcze mało? Czterdzieści ośm na miesiąc, czterysta ośmdziesiąt na dziesięć miesięcy, siedmdziesiąt dwa rubli! a wej! Samemu jednemu czy to z tego żyć nie można?

— Ale zlitujże się Hersz! zawołał w pół śmiejąc się, wpół smutnie przyszły nauczyciel francuzkiego języka: godziż ci się tak mnie odzierać?

— Co to obdzierać? jak to obdzierać? Paniczul paniczku! jegomość! *auf Nemunes*, kto inny dałby mnie po dwa złote, a to ja tylko dla was robię!

Stanisław oburzony już się chciał cofnąć i uciekać gdy znowu na myśl mu przyszło, że jest ciężarem towarzyszom, że pracować musi na siebie, a pracy znaleźć niełatwo. Westchnął więc i poszedł za przewodnikiem. Żyda czy sumienie tknęło, czy się niepokoił milczeniem Stanisława, dość, że już w bramie stanąwszy, rzekł:

— Ot tak! *auf Nemunes*, odstępuję... po złotemu tylko dla mnie, żebyś panicz wiedział co Hersz... ale słowo!

— Wiesz, że nigdy nie zawiódł nikogo... odparł Stanisław, ze smutkiem wchodząc na ciemne i brudne schodki.

Hersz żywo pobiegł przodem.

Wdrapawszy się omackiem po ciasnych i niewygodnych stopniach na górę i omacawszy drzwi, gdy Szarski spodziewał się wniknąć do zwykłej niechlujnej izby żydowskiej, znalazł się nagle w saloniku, którego

wytworność tém więcej go uderzyła, że wcale czego innego się spodziewał.

Był to pokój obszerny, z dwoma oknami od ulicy, przystrojonemi w ciężkie z jedwabnej materyi firanki z bronzowymi ozdobami; posadzkę miał woskowaną, meble rzeźbione z bronzem, materyą wybite wzorzystą, pyszny żyrandol złożony, obwieszony szkiełkami szlifowanymi, wielkie piano mahoniowe i dywan, który pół prawie salonu zajmował. Po kątach stały dwie szafy ze szkłem, jedyne może przypomnienia gustu izraelskiego, w których niebardzo smakowne, ale w mnogięć liczbie ułożone były na widoku srebra stare i nowe, pamiątki wesel, szczątki wypraw i przepadłe może zastawy.

Były tam misy, dzbany, imbryki, tace, lichtarze, zbierana drużyna różnego pochodzenia i smaku, tak poustawiane, żeby gość jednym rzutem oka mógł kapitał ten, leżący bez procentu, ocenić i z niego wnieść o bogactwie gospodarza.

Pomimo elegancyi salonu, powietrze w nim było zatęchłe, a niezmiatany kurz szary z dawna okrywał wszystkie sprzęty. Znać było, że tu niekiedy przychodzono, ale nikt stale nie mieszkał.

Gdy nasz akademik, pozostawiony sam na sam ze srebrami, ciekawie się po paradnej komnacie roglądał, Hersz poleciał tymczasem do dalszych pokoi i zniknął. Długą chwilę miał Szarski na przypatrzenie się bogactwom Dawidowym i podziwianie tego przepychu niepotrzebnego, już rodzącą się objawiającego próżnostkę. Nareszcie dał się słyszeć chód poważny bótów skrzypiących, za nim ciche stąpanie kobiecych trzewików, za temi kłapanie chodaków Hersza, dobrze znajome uszom Szarskiego, i naprzód Dawid Abramson

Białostocki w paradnym szlafroku, potem żona jego w sukni floransowej i chustce bagdadzkiej, na końcu faktor w łapserdaku, weszli do salonu, w którym stał jak na mękach akademik.

Kupiec (oddajmy mu należną sprawiedliwość) dotknął ręką jarmułki, co było z jego strony niepospolitą grzecznością względem kogoś, mającego mu się najmować na godziny. Jejmość ani kiwnąwszy głową, wlepiła tylko oczy w przybylcę, i skrzywiwszy się, że nauczyciel tak młody, poczęła zaraz łajać Hersza za wybór niestosowny.

Hersz jął się tłumaczyć ognisćcie. Rozmowa żydowska całkiem niezrozumiała dla Szarskiego, zaprzętnęła wszystkich, bo i Dawid się wmieszał do niej; rodzice jednak nie przekonali faktora, i po chwili mrucząc tylko, zwolnili jakoś, grzeczniej się zwróciwszy do przyszłego nauczyciela. Tu sama jejmość wzięła na się rolę czynną, przystąpiła bardzo blisko, popatrzała się, obejrzała gościa od stop do głowy, i poczęła pytać z niejaką dumą, która zakrawała na wzgardę:

- Waćpan-że umiesz po francuzku?
- Umiem tyle, że uczyć mogę...
- A gdzie się waćpan uczył?
- W domu i w szkołach.
- Co to waść za jeden? obywatelskie dziecko? co?
- Syn sędziego!... syn sędziego z... powiatu! prze-rwał faktor, wtrącając się do rozmowy, i dodając coś niezrozumiałego po żydowsku, czego przy Stasiu nie chciał inaczej powiedzieć.

Oboje państwo poczęli dumać, niekiedy ruszając ramionami.

— Nul! nul! to dobrze, począł Dawid, poprawiając jarmułkę i z kolei poczynając traktowanie. Wasan

możesz dawać naszej córce lekcyje francuzkiego języka?

— Dla tegom tu przyszedł, żeby się o to, jeśli będzie można, ułożyć.

— To jest bardzo delikatne dziecko! dodała śpiesznie kupcowa: trzeba, żeby to wasan pamiętał! bardzo delikatne dziecko! z nią trzeba jak z generalską córką się obchodzić.

Staś ruszył tylko ramionami.

— Nu, co to długo gadać!... metr muzyki bierze po pięćdziesiąt groszy za godzinę, a my wasanu jako obywatelskiemu dziecku damy już po dwa złote.

Szarski zaczerwienił się niezmiernie, wziął czapkę, i nie już nie mówiąc, chciał odchodzić. Dawid go złapał za rękę.

— Co to jest? dla czego pan idzie?

— Dla tego—rzekł—że za taką cenę zgodzić się nie mogę.

— Czemu nie mogę? dla czego nie mogę? spyтали oboje: to jeszcze zła cena? a na fortepianie mamy godzinę za te pieniądze?

Hersz napróżno dawał znaki Szarskiemu, ażeby milczał, akademik ich nie widział, a dotknięty do żywego, jak najprędzej chcąc się wyrwać od Żydów, nie miał już powodu z niczém się kryć przed nimi. Było to w charakterze jego, że się taić nie potrafił.

— Panie kupiec, rzekł z pewną dumą, podnosząc głowę: nie dawałbym ani tych, ani żadnych innych lekcyj, gdyby mnie niespodziany wypadek nie pozbawił sposobu do utrzymania... muszę szukać kawałka chleba, ale darmo pracować nie mogę.

— Jak to darmo? co to darmo?

Pisma J. I. Kraszewskiego. Tom VI.

— Tak jak darmo, bo Hersz weźmie mi połowę tego nędznego zarobku, za to, że go nastreczył.

Faktor aż się schwycił za głowę. Dawid spojrział na niego groźnie, ale Żyd na chwilę tylko zmieszany, wnet odzyskał przytomność i żywo szwargocząc, począł się tłómaczyć. Rozmowa ta gorętsza jeszcze była od pierwszej i daleko dłuższa; poczem mruczając, zwrócił się kupiec i kupcowa do Stanisława.

— To gałgan! rzekł Dawid z pogardą: wy jemu więcej nad dziesięć groszy od nastreczenia dać nie powinniście; choćby poszło na sąd rabina, wygracie pewnie...

— Ale słowo moje!

— *Herszt!* słowo? spytała kupcowa: co to jest?

Dawid rozśmiał się tylko, i znowu począł traktować z Żydem, a po chwili stanęła nareszcie ugoda, skutkiem której studentowi zostawały dwa złote od godziny, faktora zaś sam kupiec wziął na siebie.

Po najściślejszym obrachunku spodziewanych przychodów pokazało się, że z zapracowanego grosza Stanisław ledwie będzie mógł nadal opłacić stół, a na mieszkanie, suknie i obówie nie mu prawie nie pozostanie. Pomiarkował więc, że trzeba będzie wyrzec się jakkolwiek nędznego wiktury pana Horyłki, składającego się z kawy, obiadu i wieczerzy, a poprzestać na skromniejszym utrzymaniu z pomocą bułki i tanięj jakiejś gar-kuchni. Ale jak mieszkając z towarzyszami usunąć się od podziału chleba powszedniego z nimi, na któ-

ryby zapraszać go musieli, choćby za niego nie pła-cił? jak znowu żyć cudzém i być dla nich ciężarem?

Staś myślał długo, rachował, biedził się, i postanowił poszukać nowego mieszkania, aby być zupełnie swobodnym i panem siebie. Hersz naturalnie zaraz się podjął wyszukać coś niezmiernie taniego a dogodnego, i poleciał na miasto. Nazajutrz zdyszany przyniósł wiadomość, że w kamienicy Dawida Białostockiego jest izdebka na tyle, na strychach, którą kupiec nauczycielowi swój córki oddaje za trzy ruble miesięcznie. Było to nadspodziewanie tanio, a choć miejsce niedogodne, Stanisław poszedł ze swym przewodnikiem izdebkę zobaczyć. Przebywszy trzy piętra schodów i galerye od dziedzińca, wdrapali się na rodzaj stromej drabinki ku strychowi, i w ciemnym poddaszu znaleźli nareszcie kłódkę bardzo malutką, widocznie od dawna pustką stojącą, w której ani stołu ani stolka, ani nawet szyb połowy w niezamkniętym okienku nie było. Mieszkanie to niewygodne, smutne, ciasne, ściśle jednak biorąc, wystarczyć mogło temu któremu aby dach nad głową, aby spokój, wszędzie być mogło dobrze. Hersz, który się już gotował dowiedzieć, że izdebka jest śliczna i gotowa dla kawalera, zdziwił się przekonawszy, że nie potrzebuje namawiać, gdyż Staś poprosił go tylko o stół, ławę, tapczanik i naprawę okienka.

— Nu! nu! wszystko to będzie, rzekł Żyd szparko: już ja tu wyporządę *fein*; ale panicz niech o mnie nie zapomni, bo i na tych lekcyach mnie skrzywdzili (westchnął). Takiego mieszkania co to bedel nawet! nie znajdzie i nie trafi, na całe Wilno nie znaleźć...

— Ale mnie samemu niełatwo trafić tu będzie! rzekł uśmiechając się Szarski.

— *Aj waj! auf Nemunes...* sto lat jegomości! pan wszędzie trafił pan szczęśliwy człowiek! panu idzie każda rzecz!

I ścisnął go za łokieć.

Staś wesoło się jakoś rozśmiał, choć na sercu ciężki czuł smutek; ale Żyd pocieszać go począł po swojemu.

Teraz pozostawało najtrudniejsze do dokonania: oznajmienie towarzyszom o nowém mieszkaniu, podziękowanie im za pomoc, i wyniesienie się na to smutne, dalekie, ale własne poddasze. Kilka już razy próbował o tém mówić Szarski, ale mu brakło odwagi. Drugiego czy trzeciego dnia począł się powoli pakować, chciał uciec od nich i nie przyznać się, aż opuściwszy mieszkanie; ale baczne oko Szczerby dostrzegło przygotowań, i wstrzymał Stasia za rękę w chwili, gdy lichą swoją gromadził już pościółkę.

— Co to jest? zapytał go.

Zmieszany Szarski wyjąknął niewyraźnie:

— Przenoszę się na nowe mieszkanie.

— Dokąd? jakie? rzekł Szczerba: czemuż mi nie mówił o tém? na co się taisz? Musisz robić głupstwo jakieś, przyjacielu! Bądź ze mną szczerzy! bądź szczerzy!

Staś rzucił mu się na szyję.

— Słuchaj, rzekł, ale się nie sprzeciwiaj. Tyś młody i czuć to powinienes, jak drogo kosztuje żyć łaską choćby najlepszego przyjaciela... Hersz nastęrczył mi lekeye...

— Hersz ci nastęrczył? a toż co znowu? chyba u Żyda?

— Właśnie u Żyda, rzekł Staś po cichu, i u Żyda mieszkanie.

— I tyś to przyjął?

— Bez wahania. Wolę to niż żyć cudzém i z łaski.

— U Żydów! u Żydów!

— A! przesąd! rzekł Stanisław.

— Po części przesąd, po części wstępną nie bez przyczyny, który jest tylko chlebem oddanym za ich ku nam nienawiść! Zważ, ile cię tam czeka upokorzeń i nędzy.

— O! drogi mój! caleb życie nie jest-li dla mnie pełne tych samych przeznaczeń! zawołał młody człowiek, czując lzy zwilżające mu oczy. Nie dolaż to moja? nie losze to każdego z moich towarzyszków na roli na której *pot siejemy a lzy zbieramy*? Wiem ja co mnie czeka, a bylebym miał trochę spokoju, wśród ubogich ścian czterech, które okolą marzenia moje, nieznane nikomu serca bicie pokryją głowę zbolalą... czyż nie dosyć? Nie dosyćże kawałka chleba, żeby wyżyło ciało, żeby się trzymała lepianka, dopóki gość w niej mieszka, gość z nieba święty i wielki, duch, co nas młodych ożywia? Ty się obawiasz Żydów dla mnie? a cały świat nie będzież mnie tém karmił całe życie co oni, pogardą, niezrozumieniem, lekceważeniem, a w najlepszym razie litością dumną i chłodną!

Szczerba potarł czoło i westchnął, nie wiedząc co odpowiedzieć na to; uczuł się głęboko wzruszonym.

— Rób co chcesz, rzekł z cicha: ale daj mi rękę i słowo Stanisławie, że będziemy zawsze z sobą jak brat z bratem, jak dziś jesteśmy, że nie minie dzień, byśmy nie widzieli się z sobą, że w razie potrzeby wprost uciekniesz się do mnie... No... słowo i ręką!

— I rękę masz moją i serce na zawsze! zawołał

Stanisław: na zawsze Pawle kochany; możesz ty wątpić o tém?

Nadeszli drudzy, i rozmowa poczęta przerwała się, przechodząc na nowiny dzienne, na spory naukowe, na te żywe wreszcie rozprawy o najszczytniejszych przedmiotach, do których młodzież tak jest skora, na które się rzuca zuchwale, więcej zgadując sercem, niż rozwiązując głową wiekuiste przeznaczeń tajniki.

O! w młodości to tylko całe wieczory i noce spędzają się na nierozwikłanych rozprawach o nieśmiertelności, o duszy, o celu człowieka i obowiązkach jego. Później myśl strwożona, co się na nie zuchwale targała i starła na nich zęby, już nie śmie dotknąć tych wielkich przedmiotów; jakieś zobojetnienie opanowuje człowieka, i woli świat i ludzi, drobnostki codzienne, plotkę uliczną, niż wznioślejsze myśli, w których dawniej umiłował był sobie. Zasiedli wszyscy, i medycy, i literaci, i prawnicy, i kandydaci do sukni duchownej, razem przy cienkiej z mlekiem herbacie i fajkach, do niewygadanych marzeń, które ich aż za północną zawiiodły godzinę.

Czego tam nie dotknięto? co się tam nie ozwało w tém pasmie tysiąco-kolorowych pomysłów? Któż spise ile błysnęło prawd wśród tumanów, któremi młodość osłaniała nagie rzeczywistości światy?

— Ha! rzekł wstając Szczerba: dość tego na dziś panowie... jutro rano wstać potrzeba, a Stanisław nas zegna.

— Jak to? co to ma znaczyć? zawołano zewsząd. Stanisławie? dokądże to ruszasz? na wyspę Madagaskar królować, czy zdobywać Indye?

— Po prostu na strych do Żyda! rzekł spokojnie

literat. Natchnienie przychodzi najłatwiej na miejscach górzystych, to rzecz dowiedziona; na trzecim więc piętrze, czy wyżej podobno jeszcze, pocznę poemat mój o Chrobrym, dramat o Auguście i historię szlachecką polską!

Nazajutrz rano szczupły węzeł manatków Stanisława wzięwszy pod pachę Hersz, zaniósł go na Niemiecką ulicę, gdzie nadspodziewanie okno zastali wyłatane, zydeł, tapczan, jedno krzesło stare i stołiczek trochę kulawy, wypalony od węgla, brudny, ale dość obszerny na pomieszczenie książek i papierów studenta.

Staś rozglądał się w swojej smutnej jak więzienie ciupce, chciał spojrzeć przez szyby, ale z nich wychyliwszy się nawet przez pół, nic nie zobaczył prócz kawałka dachu, pokrytego starą, dziwnych kolorów dachówką, i jednego poważnego komina, który się nad nim majestatycznie podnosił, zdając się wzbijać ku niebu... Wyglądało jeszcze i okienko strychowe, otwarte, wybite, puste, jak paszcza czarna ziewająca wiekuistemi nudami. Widok był wcale niewesoły, a wróbel i jaskółka nawet nie ożywiły go na chwilę.

Z okna spojrział Staś na ściany polepione papierem, na podłogę z nierównych kilku desek złożoną, na piecyk popękany więcej z zimna może niż z przepalenia, bo ani drzwiczek w nim, ani zamknięcia nie było, na garść słomy, na której miał zasnąć w osamotnieniu... Westchnął, ale nie dając się pochwycić smutkom, począł zaraz zajmować się gospodarstwem

swojém. Nastąpiła z Herszem narada, a Staś aż się za głowę pochwyił, rachując co mu tu jeszcze do pierwotnych potrzeb brakowało! Świec, lichtarza, dzbanka, miednicy—wszystko kupować musiał... a tu resztę złotych przepił nieszczęsny Falszewicz. Usłużny Żydek wszakże podjął się tych sprawunków na kredyt, nie bez obwarowania sobie słusznie należących procentów.

Zamknawszy pierwszy raz mieszkanie swoje, polecał uczeń na prelekye, pełną mając głowę gospodarstwa, przemyślając jak je urządzi.

W samą bramie spotkał się z Bazylewiczem, który za katy teraz inaczej wyglądał, niż gdy się pierwszy raz w karczemce z sobą spotkali. Znać na nim było, że niedostatku nie cierpi. Nowy, wcale pięknie zrobiony surducik, płaszcz z karmazynową modną kraciastą podszewką, rękawiczki glansowane, dawały mu pozór eleganta, a tak był rad z siebie i dumny sobą, że aż zdrowo było popatrzeć na niego. Zwrócił oczy na Stanisława zbladłego, schudzonego, zmienionego do niepoznanania, i raczył się zbliżyć ku niemu.

— No, jak się masz? co mi to tak lichy wyglądasz?

— Żyje, odparł Stanisław.

— Ale jak ci się powodzi?

— Powinienbyś poznać po twarzy.

— Cóż? źle! Ei! toś sam sobie winien bratku! Jużbym ci teraz nie radził literatury! Tu geniusze tylko *jak ja*, i ludzie ducha tęgiego, co wszędzie i w każdym położeniu dają sobie radę, wskórać coś mogą... Tobie brak siły... tak, że wątpię nawet o talentie.

— Nigdy i ja w swój talent nie wierzył, rzekł chłodno Stanisław.

— No! to szkoda, żeś porzucił medycynę; tamaby ci przynajmniej lekki chleb dać mogła.

Stanisław zamilkł ugodzony w serce, i nie mógł więcej, weszli razem na salę. Professora nie było jeszcze, a Bazylewicz wleciał zwycięzko, ręce podając na wszystkie strony witającym go towarzyszą. Po chwili odwrócił się do Szarskiego jakby coś sobie przypomniął.

— Słuchaj-no, rzekł: ty tam coś ciągle piszesz? No! trafia ci się zręczność popisać z tém co napisałeś (dodał uśmiechając się z tej mizernej gry wyrazów); przyjaciel mój, professor Hipolit... wydaje Noworocznik... pocziwy człowiek wzywa do niego wszystkich i najmłodszych pracowników bez wyjątku. Masz pole... przyszlęj mi lukubrację swoją, ja je rozpatrzę... i zobaczymy... może się co da umieścić.

Jakkolwiek wezwanie to wcale nie miało formy pochlebniej, Szarski rad mu był w duszy, wdzięczny, że go za coś liczone, i całą godzinę przemyślał co posłać może professorowi do Noworocznika. Ale gdy przyszło wybór uczynić, wszystko zdawało mu się tak słabem w obec tego, co czuł, że mógłby napisać, gdyby umiał, każdą rzecz tak widział niegodną ludzi i druku, że w końcu prawie zrozpaczył o sobie, i nie miał odwagi wyrwać się z niedojrzałą pracą. Chciało mu się wszakże obok drugich wystąpić, chciał wiedzieć co ludzie powiedzą, jakie też robi i czy uczyni wrażenie, a strach go ogarniał myśląc, że każdy sądzić będzie z tego, co przeczyta, nie z tego, co miał w duszy, gdy pisał. Tak zaprzątniony i niespokojny powrócił do swojej izdebki, a gdy nadeszła godzina lekcji, z cięż-

kiem westchnieniem zbiegł na dół do mieszkania kupca.

W sali już znalazł panią kupcową usadowioną na kanapie, podpartą na rękę i zadumaną. Dawid przechadzał się także w szlafroku, w pantoflach, z cygarem w ustach. Oboje ledwie skinęli głowami akademikowi, a matka wstała, żeby zawołać córki. Stanisław tymczasem rozkładał książki, przygotowywał papier, niepokojąc się uczennicą i nauką. Wtém na szelest sukni we drzwiach podniósł głowę, spojrzał, i zdziwiony stanął wryty.

Tak uderzającą pięknosci nie widział jeszcze w swém życiu.

Sara weszła majestatyczna, spokojna, bez zarumienienia, bez obawy, śmiało czarne swe potężne wejście nie zwracając na młodego chłopaka, który uczuł się niém wzruszony do głębi. Dziewczę ubrane było dosyć wykwintnie, a nic w ubiorze jego nie zdradzało Żydówki. Dwie ogromne kosy czarnych kruczych włosów spadające na plecy, jeszcze jęj dodawały wdzięku. Pozdrowiła nauczyciela, i gdy przemówił rozpoczynając, utopiła w nim oczy tak bystre i ciekawe, że cała trudność, jaką się spodziewał znaleźć, znikła. Uczuł, że ma przed sobą istotę niepowszednią, nie proste dziecko wygnanego i skarłałego plemienia — ale kwiat wybrany szczęśliwie ręką losu, w którym odbiły się barwy i wdzięk zagasłej epoki i umarłego żywota.

Sara słuchała go tak, że każde słowo jego odbijało się w jęj oczach pojęte i przyswojone; nie rumieniąc się, nie lękając nawet swęj niewiadomości, w prostocie ducha odważnie mu odpowiadała na zapytania, trochę złamanym językiem, ale mową pełną uroczych dźwięków i jak śpiew melodyjną. Bo w mowie każde-

o człowieka leży spowity śpiew, a ucho badacza rozpoznać może i ton jego, i muzykalność duszy, która go wydaje. W godzinach wielkiego wzruszenia, przez szelest wyrazów, coraz żywiej słyszeć można tę pieśń spoczywającą pod niemi; w godzinach smutku i w krzyku rozpacz, w jęku boleści już się dobywa na zewnątrz z piersi ta muzyka duszy, której codzienna rozmowa jest osłabioném odbiciem. U ludów pierwotnych, u gminu, lada trochę żywsze uczucie zmienia mowę cichą w pieśń, jaka się daje słyszeć u pogrzebów (zawodzenie) zmieszana z płaczem, u wesel i biesiad każdy wykrzyk ma intonację piosenki. Dźwięk głosu, jak wszelki objaw zewnętrzny, nie jest bez znaczenia, a w człowieku niepracującym nad sobą, nieposiadającym siebie i nieodgrywającym uczenie komedii życia, odkrywa głębię duszy, jak rysy twarzy, jak ruchy, jak wszystko przez co się całej istoty jego treść przeciska.

Stanisław nie zdawał sobie sprawy z głosu, który tak mile brzmiał w uszach jego; ale uczuł go w sercu i zdziwił się, że w nim obudził niespodziewaną sympatyę.

Godzina zbiegła jak chwila; student uciekł do swojej izdebki, i zdumiał się, nie wiedząc z kąd przyniosłszy z sobą wspomnienie Adeli. Tak dotknięcie jednej struny drugie do drgania pobudza... Chwile spędzone z Adelą w Mruczyńcach żywiej niż kiedy stanęły przed nim, rozmowy, marzenia, przysięgi, nadzieje... Dożył zeschły kwiat niezapominajki z piersi, i zapytał go po cichu:

— Gdzie twój braciszek? czy rozgrzewa go jeszcze bicie jęj serca? czy już leży zapomniany?

Zadumał się, zadumał długo, chwila po chwili prze-

żywając na nowo wszystkie pamiętne godziny spędzone z Adela; a gdy schował kwiat zeschły, gdy się po długich rozmyślaniach opamiętał—spostrzegł, że późna już noc była.

Rozsypane po stoliku papiery przypomniały mu ów Noworocznik i wezwanie Bazylewicz; noc rozgrzewała go nieco, i siadł z mocnym postanowieniem stworzenia czegoś cudnego na wstęp swój w literackim świecie.

Nazajutrz, gdy chód Hersza obudził uśpionego jeszcze i znużonego Stanisława, była już godzina dziękuję i ledwie mu pozostała chwila na ubranie, by nie opuścić prelekcji Capellego. Ale na stoliku przed nim leżał gotowy jeden rozdział powieści, dwa wiersze i jedno tłumaczenie Goethego, przepisane do Noworocznika. Czuł Staś, że wszystko to z gorącym pisał natchnieniem, które mu pracę ozłacało; jakże się zdziwił, gdy wzięwszy w rękę wczorajsze arcydzieła, znalazł je teraz tak blade, tak zimne, że zedrzeć i spaść porywała go ochota. Pamiętał jeszcze obrazy, które w rozpalonej głowie snuły się wczoraj, a obok nich te bezsilne odbicia ledwie były zamglonym cieniem.

Z rozpaczą prawie rzucił papiery, i postanowiwszy powrócić do nich jeszcze, pobiegł co prędzej, by nie opuścić godziny. Ale wśród lekcji obraz Adeli, czarne oczy pięknej Sary i cudne brzmienia poezji Goethego i własne jego pomysły przesuwają się przed nim, migają pomiędzy nim a nauczycielem, tak, że nie słyszeć, nie widzieć nie mógł prócz nich. Ręka

machinalnie prawie chwyciła i zapisywała słowa, ale myśl nie wiedziała o nich, sprawy z nich sobie nie zdając. Zapytywany, drażniony przez towarzyszków, tak był zaprzątniony dwoisto, że im nie odpowiadał; a po upływie godziny równie machinalnie jak przyszedł tutaj, przeniósł się do innej sali.

Trwało to dzień cały prawie; głód zaspokoił bułką i szklanką kawy, poleciał na strych i znowu wziął się do swoich papierów. Pracę przerwała tylko godzina lekcji, równie szybko przelatującej jak wczorajsza. Zamknął się i podbudzony głodem duszy, niecierpliwością, żądzą przemówienia do serc tych, co go jeszcze nie znali, raz pierwszy dokonał kilka ułamków, które mu się zdały znośnymi.

Daleki był od rozmyślania się w nich, jak Bazylewicz w tym co mozolnie kleił bez natchnienia, na zimno, pewien zawsze będąc, że nic złego zrobić nie może; uczuł jednak, że w tej dobie życia nie potrafi już lepiej, i może dozwolić się ludziom sądzić z tej próby.

Natychmiast więc zebrał co mu się zdało lepsze, odrzucając jeszcze to, o czym zwątpił w chwili stanowczej, i przez oczekującego Żyda, wprost przy liście przesłał pierwszą pracę wydawcy Noworocznika.

Professor Hipolit był mu całkiem nieznajomy, ale słyszał o nim od towarzyszków. Młody ten człowiek, niedawno kandydat jeszcze w pedagogicznym instytucie, dziś nauczyciel literatury starożytnej w szkołach, dał się dopiero poznać pracą, z jaką rzadko kto występuje w początkach: uczonym, ale pełnym życia komentarzem nad poezjami Stanisława Trembeckiego. Dzieło to nie mogło mieć i nie miało rozgłosu w sferach towarzystwa zajętych czytaniem łatwem, gdzie

zaledwie o nié m wieść doszła; ale zjednało mu szacunek u ludzi ceniących głębszą naukę i miłujących poezję jedyną śpiewaka *Zofjówki*, który, gdyby nie dwór, gdyby nie życie pasorzyty i szambelana, gdyby nie wiek XVIII, gdyby nie wczesne zużycie, mógł być jednym z największych poetów, jakimi się chlubi literatura nasza. Professor Hipolit rzucił tę książkę, chcąc przez nią powiedzieć: „Oto co mogę, oto co umiem!” Ale zarazem widząc, jak głodne rzesze wyglądały pokarmu, jak ogół pragnął strawy, którąby pożywać umiał, przeczuwając, że wychowanie literackie czytających począć się musi od ksiąg pod formą lżejszą wiodących do myśli i pojęć surowszych o sztuce,—przedsięwziął zebrać w jedną wiązkę wszystkie natchnienia młodzieży, wszystkie utwory swoje i rówieśników, wszystkie śpiewy, w których tętniała tęsknota wieku i wrywały się uczucia jego. Tą powodowany myślą, gromadził do swego Noworocznika kłosa po polu z niezmordowaną gorliwością, nie wahając się schylać po nie i do tych, którymiby inny pogardził jako niedoroślemi dziećmi. I w dzieciach czasem mówi proroczno przyszłość.

Staś więc ufny w przecucie swoje, które mu mówiło o nieznanym do ucha, budząc jakąś nadzieję, minął ofiarowane pośrednictwo Bazylewicza, i śmiało mu się sam narzucił, czekając z bijącym sercem wyroku, który dla niego miał być stanowczy.

Czy go ośmieli i popchnie dalej tą drogą? czy zrazi i wleje wątpliwość?

Kilka dni zbiegły w niepokoju i najsprzecznijszych przypuszczeniach, które coraz chmurniejszą przybierały barwę, gdy jednego wieczoru, siedząc na swém łóżeczku, usłyszał chód niezwykle kogoś widocznie

zbląkanego na poddaszu. Otworzył drzwi, sądząc, że poczciwy Szczerba przyszedł go odwiedzić; ale twarz zupełnie mu nieznana ukazała się z głębi ciemności, i głos wesóły spytał o niego po nazwisku.

Przybyły był to człowiek w samym kwiecie młodości, a dwoje czarnych, niewielkich gorących oczu dawało twarzy jego wyraz życia silny i wybitny. Czarny włos w obfitych puklach zwijał się nad czołem pofałdowaném wczesnie myślą i pracą, ale usta śmiały się jeszcze weselem młodzieńczém i nieopatrzną młodości nadzieją. Ubiór wskazywał w nim nauczyciela.

Nie kto inny to był tylko poczciwy professor Hipolit, który przeczytawszy nadesłane mu poezje i ułamki prozy, pótty się dowiadywał i szperał, aż wyszukał mieszkanie młodego pracownika. Trudno wypowiedzieć, jakim uczuciem wdzięczności zabiło serce Szarskiego na widok pełnej dobrotliwości i sympatii, ciepłej dłoni człowieka, który mógł nim pogardzić, mógł go lekceważyć, a pragnął podnieść i zachęcić, nie wahając się pierwszy wyciągnąć do niego dłoń przyjazną.

Professor wszedł wesoło, żartując ze swój pielgrzymki na Niemiecką ulicę i błakania się po żydowskim strychu; obejrzał izdebkę gędną, okiem policzył sprzęty ubogie, domyślił się biedy studenta, i serce mu się widać ścisnęło na widok doli, której sam doznał może, szczęśliwie ją już przeżywszy. Przypomniały mu się zapewne dziecinne lata w niedostatku spędzone, bo los go uczynił sierotą, i wytrwaniu winien był, że nie upadł na progu życia.

— Czytałem coś mi pan przysłał, rzekł powoli, siadając na jedyném krzeselku i biorąc rękę chłopca

w swe dłonie: czytałem, cieszyłem się serdecznie; witam w panu poetę, witam pisarza, i przyszedłem z uściskiem braterskim przynieść mu słowo otuchy, którego wiem niestety! potrzebę i znaczenie, bo mi go zawsze brakło, bom na ten brak przeboleć sroźel! Wszystko, coś mi dał, umieszczę w Noworoczniku... dasz się poznać... pójdziemy dalej... ale wypowiadaj się pan trochę przedemną...

Spowiedź poszła łatwo przed człowiekiem, który współczuciem obudzał ufność i wywoływał wdzięczność. Stanisław wypowiedział mu z ochotą i życie, i myśli, i pragnienia, i nędzę nawet swoją, którą jak ranę wstydliwą przed drugimi ukrywał.

Professor Hipolit zasłuchiwał się smętnie, ale pod koniec znowu mu się twarz rozpromieniła, bo długo nie umiał być jeszcze smutnym, choć wesołość nawet miał poważną i jakimś pięknym tętnącą spokojem.

— Stare to dzieje, rzekł powoli: znana historia, od której się zawsze poczyną wszelkie życie pracownika na polu myśli. Któż nie cierpiał, nie bojował, nie walczył, nie padał, nie podnosił się, i za każdym dotknięciem ziemi jak Anteusz sił nie nabierał nowych? Jeżeli w tobie tleje święty ogień zesłańca, który gwiazdę wiodącą go do celu widzi dzień i noc przed sobą, jeśli nie przypadek i chwilowa gorączka, ale powołanie słowa bożego prowadzi cię na boleści dla pożytku ludzi, którzy wzgardzić tobą i zdeptać cię mogą.. przetrwasz wszystko, przebolejesz nieprzebolane, zmartwychwstaniesz zabity sztydtem i oplwany pogardą, pójdiesz i pójdiesz, a nie cię nie wstrzyma... Kto wie? może z wielkich wysiłków twoich tylko jedna kropla potu będzie nasionkiem dla przyszłości, może z ogromu zabójczej pracy jedno tylko słowo zostanie

żywem na wieki, a reszta marnie się w proch rozsypie; ale czyż człowiek sobie żyje, nie ludzkości i swęj wielkiej rodzinie?

Mówił tak długo, długo i oko mu pałało, a z ust jego w serce Szarskiego przelewały się myśli zbawienne, któremi jaśniej spojrzął w przyszłość. Z ciasnego pojęcia pracy dla osobistej sławy, przeszedł do idei wyższej, pracy zapierającej się siebie, poświęcającej wszystko, nawet sławę swą, dla dobra ogółu... uczuwał się namaszczonego na męczeństwo.

Powoli professor zniżył głos, i dla ośmielenia młodego chłopca, którego bojaźliwość już był poznał, coraz poufalszym się stawał; rozmawiali długo, śmieli się, żartowali, a gdy przyszło odchodzić, schwycił znowu za rękę Szarskiego, ze szczerem uczuciem.

— Sam byłem ubogi, rzekł ciszej: przebyłem wiele, znam co to młodość z ciężarem niedostatku na piersi... nie obrażaj się jeśli ci pomóż zapragnę... trochę, niewiele... ile podołam. Przyjm ten grosz wdowi odemnie.

Szarski stanął cały w płomieniach, ale professor nie dał mu rzec słowa.

— Nie myśl naprzód, że ja ci dar jaki robię... na Noworoczniku mam zysk czysty, słuszną, żebym go ze współpracownikami mymi podzielił. Zresztą, zechcesz, to mi to kiedyś oddasz, ale dziś gniewać się będę jeśli nie przyjmiesz.

To mówiąc, porwał kapelusz i szybko się wysunął, nie dając nawet podziękować sobie za to, co na stole zostawił.

Wicęć nad wszystko, co go dotąd spotkało, współczucie profesora Hipolita przyczyniło się do wyróżnienia Szarskiego wśród młodzieży literackiego oddziału. Ten i ów czytał u niego nadesłane do Noworocznika poezye, słyszał o nich od nauczyciela, którego zdaniu wierzone, dowiedziano się, że będą drukowane w Noworoczniku; podbudziło to ciekawość, zjednało trochę szacunku, zwróciło oczy obojętnych, co na twarzy i w postaci chłopca nie się dotąd nie dopatrzali.

Nawet Bazylewicz po kilku dniach przyszedł raz na lekcji ścisnąć rękę Szarskiego, i choć nie stracił względem niego swego dumnego tonu, jakoś się grzeczniejszym okazał.

— A co? rzekł z uśmiechem: mówił mi Hipolit, że cię będzie drukował, wziął tam i moje niektóre rzeczy... wystąpimy razem, jakeśmy tu razem przybyli! Cóż cię to nigdzie nie widać? Czemu nie odwiedzasz ani mnie, ani towarzyszków? Nigdy cię nie spotykam na przechadzce. Poecie potrzeba widoku świata i ludzi, powietrza, drzew, zieloności i przedmiotów, z których sączy się natchnienie, jak z brzozy soki wiosenne.

— Natchnienie przychodzi mi i na strychu, gdy je Bóg chce zesłać, rzekł Stanisław; a tak mało mam czasu, a taki ogrom pracy przed sobą, że chyba gdy już głowa pęka i ze znużenia padam, wybiegnę się trochę orzeźwić...

— Śmieją się z ciebie—dodał Bazylewicz—że dajesz lekcye Żydom; czy to prawda?

— Nie będę się zapierał, ośmielając się rzekł Szarski: nie byłem jak ty szczęśliwy, i nie mogłem sobie znaleźć innego miejsca; pracuję u Żydów!

— Przecież musisz wiedzieć, śmiejąc się dorzucił Bazylewicz: że wszystkie nawet prowincjonalne synody zabraniają chrześcianom iść na usługi niewiernym...

Na tém wniósł profesor przerwało rozmowę, a dnia tego nie spotkali się już wicęć. Natomiast Szczerba, Żryłło, Mszyński pochwycili po godzinie dawnego towarzysza w dziedzińcu, i poczęli mu z serca winszować, że się jakoś potrafił dać poznać; prokrowali mu już najświetniejszą przyszłość.

Staś uśmiechał się smutnie, ale nie mogąc się oprzeć pocziwym ich naleganiom, choć czasu miał mało, dał się im pociągnąć na dawną swoją kwatere, na ulicę Trocką, i kilka godzin przebył na wspomnieniach szkolnych i akademickiej wesołej gawędzie.

Dopiero godzina lekcji Sary zmusiła go powrócić na ulicę Niemiecką. Nie opuszczał on ich nigdy, bo mu zamiast przewidywanych przykrości, dziwną jakąś robiły przyjemność. Dziewczę było jeszcze wpół dzieciną, uśpioną pieśczętami matki, dusza w niej zaledwie budzić się poczyniła do nieznanego życia. Szarski spoglądał z zajęciem na to rozpowijanie się myśli, którą nawet najzimniejsza z nauk, nauka języka, rozkołysywała i codziennie zdawała się silniej ożywiać. Codziennie ten posąg nabierał wicęć duszy, a oczy Sary z podbudzoną ciekawością patrzyły na księgę i nauczyciela. Wyrazy nawet wzlatujące jak ptaki, na skrzydłach swoich przynosiły jej myśli nowe, a ta gimnastyka krzepiła niewypróbowane dotąd siły, które z wolna w pytaniach i odpowiedziach uczniicy czuć się dawały.

Było coś zadziwiającego w téj dziewczęce, wychowanej wpośród przesądów religii przerosłej wiekami w zabobony, wśród zniewieściałych pieśczęt, niewia-

domości, gnuśnego pokoju, a trafem obdarzonej szczególni dary umysłu, któremu nie nie brakło prócz sposobności rozwinięcia i uprawy. To też jedno dotknięcie słowa budziło w niej całe szeregi idei, nie wiedzieć z kąd powstających myśli, i znać było, że dziewczę czuło rozkosz w pracy, jakby się dla niej świat nowy, przeczuwany otwierał.

Stanisław rozgrzewał się także patrząc na jej zdumiewające postępy, i zapominał o zapyłonej salce, o dumnej matce, o nadętym ojcu, o siwobrodym dziadzie, ukazującym się czasem we drzwiach mieszkania z widocznym wstrętem na twarzy i wyrazem wzgardliwym *Goj* na ustach. Wszystko to nikło mu z oczu na widok pięknej Sary, która w tych ramach brudnych żywiej jeszcze swym wdziękiem jaśniała.

Codzień przebywana z nią godzina powoli spoufaliła ich oboje, ale urodzenie i położenie towarzyskie tak potężną kładło między nimi tamę, że Szarski, wierny zresztą wspomnieniu Adeli, nie uczuł jeszcze dla Izraelitki nic, prócz jakiegoś litościwego współczucia. Żał mu tylko było, że ten śliczny kwiat wyrósł tak nisko, i pozostać musi na śmietniku, z którego powstał.

Tymczasem trochę sławy, którą mu zjednały poezje jego, już ku niemu świat zbliżać poczynalo. Towarzysze zapraszali go uprzejmie, wskazywano go, trochę palcami, co więcej może go przestraszało niż wzbijało w dumę, mimo uciechy, jakaby innemu robić mogło to *digito monstrari*; w ostatku nalegać poczęli i Szczerba, i inni, aby, gdy mu się tyle zręczności poznania kilku domów w mieście nastrecza, nie zaniedbywał ich i nie zagrzebywał się całkiem na strychu.

Paweł szczególnie miał nad umysłem jego przewagę, i słowem jego Stanisław dał się wreszcie przekonać o potrzebie wmieszania się między ludzi. Trochę lekce u Żyda, trochę pomoc profesora Hipolita postawiły Szarskiego chwilowo w możności przyzwyczajenia się w mieście; jakaś nadzieja wstąpiła w jego serce, i dał się pociągnąć towarzyszom.

Ówczesny świat wileński, nie wyjmując nawet najpierwszych domów, chętnie wstęp dawał tym, którzy nosili mundur akademicki, nigdy niesplamiony niczem i służący za najlepszą rekomendację młodzieży. Był kto wprowadził akademika, przyjmowano go wszędzie, jeśli nie ze szczególnymi względami, których młodzież wymagać nigdy nie ma prawa, to z uprzejmą i serdeczną grzecznością. Mało też było rodzin, u którychby na wieczorach, zabawach i przy codziennych herbacie nie ukazał się kto z młodych uczniów uniwersytetu. Był to żywioł wlewający w tę społeczność nieco ruchu, nieco uczucia i ognia. Mimowolnie rozgrzewać się musiano od piersi młodzieńczych. Szarski ani żądał, ani mógł począć swych znajomości z wyso-ka, teby go więcej były męczyły niżeli przyniosły korzyści; a że z natury nieśmiałość szkodziła mu wielce, Szczerba słusznie zapobiegł temu, żeby w pierwszych krokach nie powiększyć jej jeszcze, wiedząc go do domu, w którymby zbyt uczona ceremonialność lub przesada zrażać go mogła. Mieli do wyboru dosyć, a pan Paweł począł od swoich poufałych państwa Ciemiągów. Rzeczony pan Ciemięga (proszę pozwolić mi go tak nazywać) mieszkał w mieście podobno dla wychowania córek, których miał aż sześć, ale nieczem się sam nie trudnił, i w domu na następne tylko służył użytki: ucierał świece, gości witał u drzwi, od-

prowadzał do przedpokoju, posyłany był do kuchni, gdy nadszedł czas dawania do stołu, siadywał w kącie na zawołanie jejmości. Był to człowiek różowy, wesoły, wyśmienity, a śmiejący się tak ochotnie, że aż miło go było słuchać; bo czy sam co sobie skomponował (co jednak nie przychodziło mu łatwo), czy kto drugi coś powiedział, nim skończył już się brał za boki ze śmiechu, tak, że mu się trafiało oznajmienie o czyjś śmierci witać najserdeczniejszym wesołości wybuchem. Całe życie pan Ciemięga kontent był z siebie, z żony, ze wszystkiego, i tak sposobny do admiracyi, że krytyka najłżejsza, gniew, żal, uraza do kogo, stały się dla niego uczuciami potwornymi, niepojętymi. Że przez jejmość niewiele od siebie rozumniejszą zawojowany został, o tém już nie ma co mówić, bo najgłupsza kobieta w ciągu praktycznego życia podbije najrozumniejszego mężczyznę, choćby tylko samą strategią nudy; ale równie jak żony słuchał pan Ciemięga wszystkich swych córek, które chociaż nie wyglądały na robaczki, bo były czerstwe, rumiane, świeże, wesolutkie, zwał je przecię nieinaczej tylko *robaczki* lub *robasie*. A robasiów tych było sześć jak jedna, wszystkie dorosłe i gotowe iść za męża. Można sobie wyobrazić, ilu akademików krążyło pod temi oknami, z których tyle blond i ciemnych główek wyglądało o każdej godzinie.

Dom państwa Ciemięgów, choć w mieście, był wielki i szlachecki, bez pretensyi, bez wystawy, serdeczny, gościnny, poważny i uczciwy. Panienki były wielce skromne i miłe, a jejmość, matrona zacna, jedną tylko miała wadę, że się jej zdało jakoby literaturę lubiła. Ten gust przyszedł jej dopiero w mieście i na starość, gdy hładyszków do pilnowania zabrakło; dość

więc nieoswojona z przedmiotem, wyszła na literatkę i częste z tego powodu strzelała baki. Panienki miłuchne były, jedna w drugą potulne, ciche, a wesołe niemal jak ojciec, którego dobry przykład mając ciągle przed oczyma, nie lubiły też kwasić się bez przyczyny. Do tego to domu jednego wieczoru powiódł Szczerba drżącego Szarskiego, prawie gwałtem, oznajmwszy wprzód o nim jako o poecie. Przyjął ich w progu pełną gębą śmiechu gospodarz, za okrągłym zaś stołem siedząca poważnie gospodyni bardzo seryo, panienki wejrzeniami ciekawemi, które zdawały się chodźć po kątach, a spadały na nowego gościa.

Znaleźli tam już zainstalowanego Bazylewicza, który jak się zdawało réj wodzić musiał w tym domu jak wszędzie, bo z długo wyciągniętymi nogami do pół pokoju usadowił się między starszemi pannami, i coś czytał z papieru niezmiernie uważnie słuchając go pani. Wchodzący przerwali poezję, a autor jej nie taił się ze złym humorem, choć starali się wsunąć jak najciszej i usiąść jak najprędzej.

— Niechże pan nam swego *soneta* dokończył za-wołała gospodyni; pan wie jak ja *wierszy* lubię. Bardzo prosimy! Na czémże to stanęło?

— Na tem stanęło, odezwał się Bazylewicz, chowając papier do kieszeni: że ichmość zaszastali nogami, a ja drugi raz czytać nie chciałem.

Gospodarz począł się śmiać serdecznie, schwycił Bazylewicza za obie ręce, przycisnął do swych piersi i posadził. Jejmość krzywo nań spojrzała, panny się trochę odsunęły, a rozmowa przeskoczyła na co innego. Muzyka, nabożeństwo, nowinki miejskie, wszystko na plac powychodziło i Ciemięga śmiał się tak do-rodusznie ze wszystkiego, że i drugich pobudzał tém

do śmiechu. Niektóre z córek wtórowały mu po trosze. Bazylewicz zaczesawszy włosy na tył, z głową zarzuconą na plecy, przechadzał się po salonie nieukontentowany a dumny, ale nikt na niego nie zważał. Nawet najstarsza z panien, do której był już dwa sonety napisał, jeden zobaczywszy ją *modlącą się w kościele*, drugi *do grającej na fortepianie*, nie zdawała się obdarzać go szczególném współczuciem.

Na stole, przy lichtarzach i dzwonku, leżała książka w sinych okładkach, świeża, nierozcięta jeszcze, snadź tylko co przyniesiona, na którą nikt nie zwracał uwagi. Szarski, któremu strasznie ciężko było dać sobie rady z rękami, nie mając ich gdzie podziąć, z oczyma któremi nie wiedział gdzie patrzeć, i gębą, której otworzyć nie umiał, chwycił machinalnie tę książkę — ale w tejże chwili jakby spierzony ukropem z rąk ją upuścił. Był to może pierwszy w świat puszczony egzemplarz tylko co zszytego Noworocznika, przyniesiony przed godziną pani Ciemiężynę przez profesora Hipolita. Szarski podniósł książkę cały zapłomieniony, zmieszany swą niezgrabnością, i cichuteńko położył ją znów na stole. Ale szmer ten i na niego, i na nią zwrócił uwagę i oczy.

— A! to Noworocznik pana Hipolita, który córkom moim daje literaturę! zawołała gospodyni. Bardzo go lubię, porządny człowiek, talent wielki już kiedy krytykuje Trembeckiego! Ot, gdyby nam kto z panów co przeczytał!

Szczerba chciwie pochwycił książkę, a że czytać lubił i nieźle w istocie głośno czytał, poszukał zaraz oczyma znanego mu wiersza Szarskiego, pod tytułem: *Pożegnanie*, i nie mówiąc czyj był, rzewnie, prosto, z serca czytać go począł.

Bazylewicz nawet raczył stanąć i słuchać. Kiedy uczucie prawdziwe a silne zagrzeje piersi młodego poety, kiedy nie zmyślane cierpienie, nie dziwaczną myśl jakąś, ale odwieczne znane a zawsze nowe wyłaje z serca żale... któżby się nie poczuł wzruszonym niemi? Niepotrzeba na to ani artysty, ani znawcy, ani smaku, ani nauki, potrzeba tylko serca, a serce ma każdy prawie, kto go w sobie sam nie ubił. Wiersz ten był bardzo prostém pożegnaniem miejsc, w których spłynęło dzieciństwo i młodość, ogródka z gruszą staruszką, dworku z zielonym omszonym dachem, wiejskiego kościółka, darniowej kanapki i świętego progu domu... pożegnaniem rozdzierającej rozpaczy i łez pełném, bo ostatniém, a tak młode! tak gorące! W tej sprzeczności dziwactwa uczuć z pożegnaniem, które chyba skazany na śmierć, [wygnanie lub starzec konający, mógł tak boleśnie wyśpiewać... była największa tajemnica piękności pieśni i jej siły.

Szarski wygnany przez ojca, znając nieubłagane serce jego, oblał łzami gorącemi tych krwawych strof kilka; ale też warte były poematu, bo każde w nich słowo pełne było poezji i wrzało a kipiało boleścią.

Szczerba począł czytać, uciszyli się wszyscy, słuchali, aż powoli gdy ostatnią strofę kończąc podniósł oczy, spostrzegł, że pani, i panny, i wesół gospodarz nawet... płakali! O! jakiby to był tryumf dla poety, gdyby go mógł pochwycić, gdyby się nim mógł nasycać! ale Szarski tak był zmieszany, nieprzytomny, tak mu krew zalewała głowę, że nic nie słyszał i nie widział prócz szumu, blasku i otaczającego go jakiegoś męczeńskiego chaosu.

Panny, pani, wszyscy poczęli pytać: czyje to? czyje? a Szczerba ręką tylko wskazał wpół żywego autora.

— O! dalibógżeż rozplakałam się jak dziecko! zawołała jejmość ocierając oczy; ale któż-bo widział takie smutne rzeczy komponować!

— Kto widział! powtórzył za panią pan Ciemiega, ruszając ramionami; czyż nie lepiej pobudzać do śmiechu niż do płaczu?

— Jakież to śliczne! jakie to śliczne! zaszemrały panny, i spojrzały, ale jakoś inaczej — teraz spojrzały na spalonego wstydem Szarskiego.

Jeden Bazylewicz stał niemy i nie chwalił, nie dziw, bo porównując efekt swoich sonetów z elegią towarzysza, głęboko czuł się urażonym.

— Głupi tłum! mówił w duchu: gęsi! gęsi!

— Bardzo to ładne, odezwał się po chwili, kładnąc po napoleońsku rękę za frak; ale pozwolisz panie Stanisławie trochę i pokrytykować!

Staś podniósł dopiero oczy.

— A! dla czegoż nie! zawołał: krytykuj, to mnie czegoś nauczysz!

— Poezya tego rodzaju nie na dobie, rzekł pedantko Arystarchus: nie wiek to, żebyśmy jak żebracy, podejmuąc łachmany, obnażając rany nasze, wymadlali kroplę litości! To poezya chorobliwa, którą wielki Goethe nazwał i okrył szyderskim przydomkiem *poezyi szpitalnej*.

— Być może, odparł Szarski; ale też nie myśl, że bym wielką wartość przywiązywał do tego wykrzyku, który się wyrwał z mych piersi wcale nie dla wyzebrania współczucia... pisałem go z potrzeby płaczu!

— U mnie Goethe to poeta, kończył Bazylewicz: opiewał boleści cudze jakby sam bolał na nie, ale się nie skarżył na siebie... nie złapiesz go na słabostce niewieściej.

— Ot, lepiejbyś pan nam swój sonet przeczytał, przerwała gospodyni domu... bo że to ładne, to jak Boga kocham ładne... darmo krytykować!

Bazylewicz ruszył tylko ramionami.

— Ale tu być muszą i twoje poezye, rzekł Szarski, pośpiesznie biorąc książkę i szukając w niej. Pozwól, byśmy z nich co przeczytali.

Dumny sędzia widocznie się zmieszał; wygadał się był bowiem sam, że coś posłał do Noworocznika, a na kartkach drukowanych dwa tylko sonety z Petrarcki z podpisem jego się znalazły; widocznie reszta pozostała w tece Hipolita, który złożył przez grzeczność na cenzurę to, co sam zmuszony był uczynić.

— Nie mam tam tak jak nic, przerwał Bazylewicz: bo ja poezye moje osobno wydać zamyslałem.

Szczerba podjął się przeczytać sonety, ale potrzeba było całej grzeczności towarzystwa, by ich wysłuchać cierpliwie i chwalić przez zęby tak dziwne wierszydła, włożone na rachunek wielkiego imienia Petrarcki!

Gdyby wstał z grobu kochanek Laury, a dano mu było nasz język zrozumieć, o! jakżeby się zdziwił dowiadując, że te sonety szły w świat pod jego pieczęcią! Coś to było ukutego mozolnie, ciężkiego, twardego, z doborem słów najosobliwszym, najdziwniejszym... wyrazy użyte, miasto malować jedno i godzić do celu wspólnego, tłuc się i bić z sobą zdawały. Myśl zaplątana w tę sieć węzłów pełną, ledwie przeświecała gdzieś niegdzie, ledwie ją schwytać było można. Tłumacz widocznie więcej się upędział za wdziękiem, a trafił tylko na nieforemną jakąś chropawość...

Zamiast łez zebrał szmer pochwał, które przyjął jako należną daninę tylko, i wnet biorąc ztąd assumpt

do rozprawy o sobie, obszerniej począł o poezjach swych, o piersi, z których je dobywał, o tém, co pisał, co pisze i napisać może...

Był to rodzaj rozmowy szpitalnej także, którą wkrótce niespodziewany gość przerwał.

Nie widywano go nigdy prawie po domach, gdzie towarzystwo złożone było z kobiet i mężczyzn, ale wyjątkiem dla niego byłdom państwa Ciemiegów, którego gospodarz kollegował z nim na szkolnej ławie i wiedział, jak go miał przyjmować. Był to ex-professor Iglicki, niemłody już człowiek, dość otyły, blady, fizyognomii trochę wolterowską przypominającej, tylko nalanéj, chorowitéj i zbrzękléj, oczu zagasłych, zmrużonych i szyderskiego uśmiechu. Sławny poeta, sławny literat, sławny krytyk, dowcipny istotnie, ale płytki we wszystkiém, najsławniejszym być mógł jako hulaka i dusikufel. Iglicki już zszedłszy z professorstwa, które czy mu odjęto, jak mówili jedni, czy też sam porzucił, wedle drugich, żył teraz wolny pod komenderówką swego sługi faworyta i żony jego, opiekujących się garderobą, kieszenią i pijaństwem emeryta.

Typ literata z tych czasów mitycznych dla nas, w których geniusz niemal obowiązywał do rozpusty, Iglicki nie miał żadnej wiary; nie miał szacunku dla siebie i powołania swego; a prawie kazania moralne wierszem i prozą, bynajmniej ich nie brał dla siebie. Głosił wielkie sentymenia, piorunował na zbrodnie, na wady, na egoizmy, a sam po kolana w błoto mąszerował życia gościńcem...

Pisał, jak to dawniej mówiono, *gładko*, bardzo gładko w istocie, bo często w dziełach jego i myśl zgładzona była do szczytu. Pisał dowcipnie czasem, o co nietrudno przy odrobinie zdolności, ale zapалу,

sumienia, szlachetności nie pytać było w tém co tworzył. Tłómaczył kilku poetów, pisał wiele prozą, po trosze robił wszystkiego, a że pod starość przyszło mu żyć z niewielkiej pensyi emerytalnej i pióra, zajmował je w różny sposób. Jeden z księgarzy zwykł go był tytułować *złotém piórem*, podobno dla tego, że na zażądanie, za butelkę wina, za dobry obiad, za śniadanie z koldunami porterelem oblane, gotów był zawsze stworzyć w pół godziny prospekt, czy to na nowe wydanie kazań; z których się naśmiewał, czy na dykeyonarz, czy na historię naturalną lub romans, wszystko mu to było jedno.

Ale najużyteczniejszym był Iglicki księgarzom i intrygantom literackim, gdy szło o strategiczne manewra na krytyce oparte. Nikt nad niego ostrzej, śmieliej, bezlitośniej i bezwstydniej, bo zawsze bezimiennie, nie rzucał się na wszystkich i na wszystko: artykuły jego w tym rodzaju były w istocie arcydziełami, tak mu nigdy konceptu nie brakło, tak szermował zręcznie i zabijał na zimno. Chodził-li o zwalczenie współzawodnika, o zachwianie rosnącej młodej sławy, która groziła zaćmieniem starych, o wyszukanie skazy w arcydziele, o wystawienie śmieszne rzeczy poważnej, Iglicki na to wszystko z chłodną krwią się ofiarował. Z umysłem zręcznym choć płytkim, czytany, erudyty, a sceptyk w głębi, któremu wszystko było jedno czy czarno pisać czy biało, chwalić czy ganić, potępiać czy wynosić—pisał za co mu zapłacono lub za co go spojono, i tak sobie żył powoli, rzadko trzeźwy wracając do domu.

Życie jego upływało najwięcej po traktyerniach, garbucznicach, cukierniach i winiarniach, lub za stołem

księgarskim, gdzie często siadał pisać recenzje ledwie rzuciwszy okiem na dzieło. W towarzystwach bywał mało, a kobiet nie cenił, bo tych, które znał, szacować nie mógł, a któreby mógł szacować, nie znał. Stary rozpustnik, nie mogąc inaczej przedłużyć młodości, dokazywał jeszcze językiem, i zalawszy gardło, lubił deklamować wierszydła w rodzaju Pirona i Węgierskiego, które swojego czasu uchodziły za arcydzieła toku, języka i dowcipu.

Wielki przyjaciel tych, co go poili, jutro był gotów za poczęstunek stanąć przeciwko nim z epigramatem lub najostrzejszą krytyką. Dodajmy dla charakterystyki jego, że gdy z obowiązku najemnika literackiego wypadło mu chwalić, jak na przykład w nekrologu lub sprawozdaniu dla nakładcy, gorzej mu się to daleko udawało niż szyderstwo i dowcipowanie. Nizał słowa, napychał niemi wiersze, wydymał artykuł wiatrem, ale to wszystko razem puste było, czeze i zimne. Przeciwnie, szarpiające jego krytyki wiele miały soli i humoru. Człowiek ten naówczas uchodził za najwyższego niemal sędziego w rzeczach literatury. Było to po pamiętnym przesileniu romantyczném, w którym nowa szkoła plac boju otrzymała, a choć Iglicki klasykiem był zakamieniałym i pod starość ani mógł, ani myślał się zmienić, ostał się jakoś sam jeden może na ruinach, których bronił bezsilném błaznowaniem, zręcznie wykpiwszy się w czasie boju i wykręciwszy sianem. A że ogół wicęć zawsze wierzy w gotowe i już zrobione reputacje, niż w nowe potrzebujące z jego strony rozbioru i samoistnego sądu, Iglicki utrzymał się przy swojej. Zmienił trochę koloryt stylu, ustąpił trochę z klassycyzmu, i choć niekiedy potajemnie

jeszcze na romantyków wierzył, pozostał przy wielkiej konsyderacyi, którą w części nabył kąśliwością swoją a dowcipem utrzymywał.

Tém bardziej go szanowano, im mniej komu przepuszczał, a młodzi obawiali się go niezmiernie, bo dla nich był bez litości. Biada było płodom niedojrzałej muzy, które w prostocie ducha przyszły pod próg jego, zasięgnąć rady i oddać się opiece starego Satyra... spotkało je grubiaństwo lokaja lub sarkazm profesora. Taki był człowiek, którego ukazanie się w salonie ucieszyło gospodarza, pewnego, że się w kątku za łzy dzisiejsze serdecznie uśmieje... zafrasowało gospodynię, domyślającą się, że niejedna pęknie dla gościa butelka... a nastraszyło studentów, którzy go dotąd z daleka w ulicy widywali, nie śmiejąc zbliżyć się do zawołanego Zoilusa.

Szarski, Szczerba, a nawet najśmielszy Bazylewicz, usunęli się trochę, i gdyby nie grzeczność gospodyni, która ich z kolei jako pełnych nadziei młodzieńców prezentowała przyjacielowi domu, nie byłiby się nawet wazyli do niego przystąpić.

Iglicki spojrział z pod okularów, skrzywił usta uśmiechem świętokradzkim, który uragał młodości i sile, sam sterawszy oboje... i wyrzekłszy coś dwuznacznego, usiadł co prędzej. Nieszczęściem wpadła mu nowa książka pod rękę.

— Al! al! co widzę! zawołał cichym, schrzypłym i przygasłym głosem: literatura jakaś na stole! *Mehercle!* Noworocznik pana Hipolita! al! to ciekawe. *Na bezrybiu i rak ryba!* cha! cha! Elukubracje młodego pokolenia.

I począł przewracać książkę, to tu, to ówdzie chwytając po kilka wierszy, których proste nawet

odczytanie w ten sposób oderwany było skarykaturowaniem i krytyką.

Przyszła kolej na elegię Szarskiego, przebiegł ją po cichu, nie domyślając się, że autor marł ze strachu o kilka kroków.

— Al! al! rzekł: naśladowanie! naśladowanie! przesadzone! przesadzone!

Stanisławowi serce biło, pobladł, ale dekretu wysłuchał z pokorą, nie śmiejąc się odezwać. Przyszły pod topór i sonety, a że ich forma dzika była w istocie, professor począł się okrutnie pastwić nad niemi.

— Co to jest? zakrzyknął: po chińsku? po angielsku? po kałmucku? po mongolsku? bo pewnie nie po polsku. I to być ma Petrarka! to kochanek Laury! Wolałbym *Ne chody Hryciu* podać za przykład z Tassa, podobniejsze to byłoby do prawdy...

To mówiąc rzucił książkę o stół, a już teraz gospodarz, który się śmiał na kredyt, pochwycił go i pociągnął do butelki odkorkowanej.

Co się działo z Bazylewiczem, opisać trudno. Byłby starego opoja zamordował, gdyby mógł; ale bezsilny gniew wyrzucił go samego za drzwi, pochwycił czapkę i wybiegł jak szalony.

Szarski, Szczerba i inni uczniowie powoli wysunęli się cicho, widząc, że Iglicki zasiadł ze śmiejącym się gospodarzem na ustroni.

Tego pamiętnego wieczoru, młody poeta doznał wszystkich uczuć, jakimi go zawód przyszły miał karcić... rozkoszy, boleści, wstydu, upokorzenia, a chwila wesela starła się zupełnie z pamięci i kolące tylko pozostało w piersi ciernie.

Tymczasem z Krasnegobrodu, z Mruczyniec żadnej nie było wiadomości. Falszewicz upojony, zapewne po wytrzeźwieniu zawstydziwszy się, że go złowiono na plewę, więcej już nie pokazał się Stanisławowi, a ten szukał go napróżno w mieście, śladu znaleźć nie mogąc. Posyłał Hersza na pocztę, spodziewając się, że pan Adam choć słowem politowania i współczucia odezwie się do niego; potem wnosząc, że może listu jego nie odebrał, powtórzył odezwę, ale na obie najmniejszej nie otrzymał odpowiedzi.

To milczenie osób, na które rachował, odosobniając go do reszty, zostawując własnym siłom, przynębiło na chwilę, ale zmusiło razem wejrzeć surowiej w przyszłość.

Były godziny, w których oko w oko spozierał w twarz nędzy nieuniknionej; były błyskawice otuchy i wielkich nadziei. Któż policzy, ile w tej izdebce podstrychowej przeleciało myśli, przeroiło się marzeń, prześpiewało pieśni... i jak w niej Szarski dojrzewał cierpieniem! Towarzystwo też codzień częstsze i poufalsze profesora Hipolita, który go po bratersku przytulał, wiele się przyczyniało do jego rozwinięcia i dania jasnego pojęcia losów, które go czekały.

Człowiek ten, zdrowém okiem, nie łudząc się, widział co może dać zawód literacki w kraju naszym, i nie osadzał pigułki.

— Lepiej—mówił do niego—żebyś był przygotowany na wszystko, niż żebyś podniósł się marzeniem wyżej niż dolecieć możesz życiem. Zacińskie stare powiada przysłowie: „Kto siedzi na ziemi nie spadnie.“ Kto raz wszedł na drogę duchowej pracy, niechże jak zakonnik średnich wieków położy się w trumnie i re-

quiem nad sobą, odśpiewa, bo reszta życia jego zejść musi w rozbracie ze światem i zaparciu się siebie dla idei. Nic on nie może i nic nie powinien dla siebie, cały należy do drugih! Al! święte to i wielkie kapłaństwo! I jak z nieczystego naczynia krzepiący i zdrowy napój popłynąć nie może; tak on, ażeby istotnie zdrowym był źródłem dla braci, najprzód sam nad sobą, nad swoją własną poprawą i wzniesieniem się moralnym pracować powinien. Nie ma tu co myśleć ani o sławie, ani o wiciu wieńców, ani o wyciąganiu korzyści z pracy, bo to zawód poświęcenia, i na niem stoi on cały. Każda inna praca wyżywi robotnika; ale najmoźniejsza, najcięższa, ta, w której nie tylko siły ciała i zdrowia szafujemy, ale duszę naszą lejemy po częstce, jak pelikan krwawymi wnętrznościami karmiąc ludzi—nie jest w stanie dać nawet chleba powszedniego. O żebranym okrajcu iść trzeba jak starzy pielgrzymi do Jerozolimy...

Jeżeli wśród tych cierni i utrapień, wśród lekceważenia, prześladowania i męczeństwa, jedną myślą zdrową przysłużysz się ogółowi, jeśli jedno rzucisz nasionko przyszłości, czyż ono nie warto ofiary całego życia? Piękna pieśń rozchodząca się z ust do ust po świecie, co budzi w sercach uczucie szlachetne, podnosi, rozrzuca, porusza... któż wie, ilu rozbudzi tych, co na wieki snem ciała usnąć mieli? ilu się stać może czynów pocziwych nasieniem? Godzi się więc i piosnkę malutką pisać krwią i łzami...

Bywa, i najczęściej się trafia, że dźwigając na barkach ciężary, że pracując od wschodu do zachodu, przejdzie wyrobnik cały obszar życia, odepchnięty, wzgardzony, niezrozumiany, odrzucony; że obok niego drugi, co palcem poruszył bryłkę z pod stop swoich,

na tarczach dźwignięty, ogłoszon zostanie wielkim... Al! i na to skarżyć się nie wolno! Niech płacze łzami w duszy jeśli słaby, ale boleć nie ma czasu i prawa... Dzień jego zakupiony, policzone chwile... do siebie nie należy.

Takimi to rozmowy karmił młodego Szarskiego, niewiele od niego starszy, ale dojrzały już nauczyciel, a żadna darmo nie przeszła, bo w tym wieku wszystko przylega do świeżego umysłu i niezgluzowane na nim zostawuje ślady.

Zresztą ciągnęło się życie jednostajnym trybem, całe zajęte pracą, lub poświęcone marzeniom i towarzystwu rówieśników. Często wśród niego powtarzały się tęsknice po domu, po Adeli, po tym cichym kątku litewskim, do którego mu powrócić nie było wolno, i płakał. Ale łzy pochłaniała poezja, ocierali je pocziwi towarzysze. Paweł Szczerba niemal po macierzyńsku czuwał nad ukochanym, nie spuszczał go z oka i ciesząc się, że słabe dziecię sił nabierało wśród boleści.

Godziny lekcji u kupca szły codziennie nieprzerwane. Staś oswajał się z niemi i uczennicą, która codzien też zdawała się więcej i łatwiej z nauki korzystać. W oczach jego rozwijał się piękny ten kwiat, który nie potrzebując ani słońca, ani rosy, ani ożywczego powietrza, w sobie niemal samym czerpał siły do wzrostu. Stanisław zdumiewał się postępem, i nieraz zadumał się nad niemi.

Do czego jej służyć miało to wykształcenie, o które się rodzice starali? na co się zdała nauka w świecie, w którym żyć miała? chyba żeby ją wiek cały karmić żalem i wstydem, a tych, z którymi była związana, ukazać w najniekorzystniejszym świetle. Często w go-

dzinach nauki, kupcowa, znudzona szmerem niezrozumiałych dla niej wyrazów, uchodziła ziewając i zostawiała ich sam na sam. Naówczas oczy pięknej Sary śmieliej jeszcze zwracały się na młodzieńca, a usta jej odważniejszém otwierały się pytaniem. Ciekawość jej nie miała granic; słowo wyrzeczone chwytała chciwie, i nagle w dalekie zdawała się przez nie sięgać horyzonty. Jak przez mały otwór wpadają wiązką jasne promienie słońca, tak do jej duszy wchodziło światło przez jedno wyrzeczone słowo.

Stanisław chętnie zaspakajał jej ciekawość i nieostrożnie dogadzając paląc jej żądzy oświecenia, dawał książki, rozciągał godziny, i nie ograniczał się językiem samym, do którego zresztą piękna Żydóweczka szczególną okazywała zdolność.

Zaczęte po południu lekcye przedłużały się nieraz do wieczoru, i ciągnęły się dłużej daleko niż były powinny, bo Sara nigdy ich nie miała dosyć, a Staś czuł w sobie rozkosz i dumę, karmiąc jej świeżą, młodą i jak kwiat ku słońcu zwróconą ku sobie duszę.

Raz w wieczór, gdy się tak zapomnieli o mroku, a nauczyciel rozprawiał... naprzeciw niego we drzwiach od przyległej izby zjawiła się nagle postać starego dziada Abrama. Stał on ze wzrokiem wlepionym we wnuczkę i goima, jak słup skamieniały, ale z wyrazem gniewu, rozdrażnienia, niemal wściekłości na ustach. Widać było, że wzgląd tylko na syna i synową wstrzymywał drżącą rękę starca, któryby był niewąstawnego nauczyciela pchnął na łeb ze wschodów... Modlił się czy przeklinał, ale usta jego drżały drobnymi ruchy, wargi się poruszały konwulsyjnie, a oko szkliste, zgasłe, rozświecone złością, jak sztylet tkwiło w Sarze i młodym goimie.

Sara go nie widziała; Staś zmieszał się, zarumienił, uczuł niepokój nieopisany, ale go nie okazał po sobie. Starzec stał tak długo z daleka, wreszcie wyciągnął ku niemu rękę stuloną i groźb pełną, plunął i zniknął.

Nazajutrz Abram podkradł się znowu, i znowu temi oczyma złości pełnemi pastwił się nad Szarskim, który odezwać się nie śmiał, żeby Sary nie strwożyć, a nie mógł spokojnie przenieść tego piekielnego wzroku z pod brwi siwów, wprost wymierzonego w jego piersi.

Na wyrazie wejrzenia omylić się nie było podobna, bo buchało gniewem tajemnym. Stary, który z synem i synową walczyć nie chciał, usiłował w ten sposób odstraszyć młodzieńca i odpędzić, aby przytomnością swoją, tchem nieczystym, zbliżeniem, nie kalał wnuczki jego. Ale Stanisław męcząc się trwał na stanowisku.

Innego wieczoru, gdy odchodził po pożegnaniu z Sarą, w samych drzwiach uczuł się z przerażeniem schwyconym za barki i wypchniętym gwałtownie, a obróciwszy się, postrzegł nad sobą zwieszoną straszną głowę starca, która wnet znikła w cieniu.

I to go nie odstraszyło jeszcze; rozśmiał się i nie rzekł słowa... żyć musiał! Wszystko znieść było potrzeba, nawet razy szalonego starca, który nienawidził goima.

W kilka dni potem, późno w nocy siedział w swjej izdebce Stanisław zamyślony, gdy nagle na progu, w otwartych drzwiczkach, zjawił się przed nim wsparty na kij Abram.

Snadź wybrał się niepostrzeżony od nikogo, boso, w pończochach tylko, by chodu jego nie słyszano,

w starym kubraku i czapce, nie zrzuciwszy nawet *zim*, w którym się modlił.

Stanisławomal nie krzyknął, postrzegłszy tę postać nieruchomą, stojącą w progu, bladą jak mara i grozną. Abram długo tak milcząc przykuty stał we drzwiach, patrzył, jadł wzrok napoiwszy, aż ruszył się nareszcie, i postąpiwszy kilka kroków, stanął znów wsparty na kiju, poczynając drżącym i złamanym wołać głosem:

— Czego ty tu chcesz? co ty tu robisz pod dachem naszym?... Idź do swoich!... idź do swoich...

Staś nie umiał mu odpowiedzieć, tak silne uczuł wrażenie. Milczał chwilę i odezwał się nierychło:

— Pójdę jutro... pójdę... ale wszyscy w domu wiedzieć będą o twojej napaści...

Starzec nie słuchał odpowiedzi, i mówił dalej przerywanemi słowy, targając siwą brodę:

— Czego ty uczysz Sarę? Nie *Chumisz*, nie *Torá*, nie *Tanach*, ale *a woda zara* (obcój wiary), wiary *akumskiej* (wiary gwiazdochwalców)... Chcą wstydu, chcą sromu, chcą z *chassidów* (pobożnych) w domu swoim porobić *mymerów*, *myszumetów* (przechrztów, potępieńców). Głupi, głupi, którym *dass* (wiara) nie wystarcza, którzy w nauce od *klippes* (dyabłów) zesłanej, szukają dobra, jakiego w niej nie było, i z ognia czerpią wodę! Czegoś ty tu przyszedł, synu *akumów* (gwiazdochwalców)? Dzień, któregoś ty stąpił na próg nasz, *jom et* (dzień nieszczęścia)... *jom et* dla ciebie i dla nas... Powiadam ci: weź kij i sandały twoje, a idź dopókiś żyw, i nie odwracaj głowy twojej, ani oczu twoich, abyś nie powrócił i nie umarł.

Stary ze wzrastającym gniewem, mieszając wyrazy hebrajskie, któremi przesiał w ciągłym czytaniu

Talmudu, szarpiąc się i miotając, mówił i kończył niezrozumiałem bełkotaniem, którego szmer brzmiał przekłętwy tysiącznemi w uszach Stanisława. Stał nie wiedząc co począć, ani co odpowiedzieć, a Abram nie ustawał pytać i przeklinać.

— Nie przyszedłeś tu *szysgajer* (przejsć na wiarę żydowską), ani poświęcić się w Zakonie; ale z trucizną i zepsuciem w sercu wszedłeś pod dach nasz, aby wywołać przeklęstwo z ust starych na dni twoje, aby nakarmić piersi starca żółcią i gniewem. Azali myślisz, że którykolwiek głos człowieczy, idący z serca, próżen być może i nie dochodzi do tronu Tego, którego imienia nie godzi się wymówić ustom ludzkim? Azali myślisz, że nietknięty ręką, nie możesz być pożarty oczyma, i strawiony nienawiścią, i zabity na wieki kłatwą?... Idź, mówię ci, uchodź w ciichości, okrywwszy głowę swoją, a zatrzej za sobą końcem płaszcza ślady nóg, aby cię nie znalazły myśli moje, i posłańcy Tego, który się mści za dzieci Izraela... Idź, a nie kalaj nas... idź...

Daleki szmer dał się w tej chwili słyszeć na poddaszu, ale Abram był nań głuchy.

Szarski drżał cały, nie mogąc się wyrwać i nie pojmując końca tej sceny, gdy nagle Dawid stanął we drzwiach, i głosem silnym zawołał na ojca z wymówką:

— Abram! Abram!

Starzec odwrócił się widocznie przestraszony, jak zbrodniarz schwytany na uczynku, zatrząsł się i zawrócił ku synowi, który powolnie, ale śmiało począł mówić do niego niezrozumiałym językiem. Kilka słów odjęło Abramowi gniew jego na pozór przynajmniej, uśmierzył rozdrażnienie, spuścił głowę, przymknął

oczy, i mrucząc tylko wywłókł się po cichu z izdebki. Syn nie poszedł za nim; zmieszany był widocznie, otarł pot występujący na czoło, i siadł na krześle, a wyciągając rękę do Stanisława, rzekł przymuszając się do smutnego uśmiechu:

— Al! przepraszam pana za tę nieprzyjemność! Więcej już tego nie będzie... Stary (wskazał na głowę) trochę ma osłabiony rozum, on i do nas czasem przywlecze się z czémś podobnym. Cóż robić? musimy cierpieć, bo ojciec... Ale pan się nie gniewasz?

— Nie gniewam się, odpowiedział Stanisław; ale gorzej, bo się obawiam.

— Czego? bezsilnego starca? zapytał Dawid z wymuszonym uśmiechem. Ja panu ręczę, że on tu więcej nie przyjdzie... a proszę tylko i bardzo proszę nikomu o tém nie mówić.

— Nie powiem nikomu, ale czy nie lepiejby było, żebym się wyniósł i nie drażnił go więcej przytomnością moją? zapytał z cicha młodzieniec.

Dawid potarł brodę.

— Ja i żona moja bardzośmy z pana kontenci, rzekł powolnie: stracić pana nie chcemy... Miałem nawet od dawna myśl czémś się panu odwdziżyć... dopomódz... i będę się starał o to... Na cóż uciekać, wynosić się, kiedy ręczę, że się to już nie powtórzy?

To mówiąc, kupiec z grzeczniejszym niż kiedy uklonem, ścisnąwszy rękę akademika, wysunął się co prędzej z izdebki.

Scena ta byłaby może silniejsze na Szarskim uczyniła wrażenie, gdyby go drugie natychmiast nie zatartło... Szczerba wpadł do izdebki.

Twarz jego była rozpromieniona, wyjaśniona, i zwiastowała z daleka dobrą jakąś nowinę. Nocił już na

schodach piosnkę, w której dźwięku przebijała się radość, a w progu zaraz zawołał:

— Ciesz się! ciesz się!

— Al! to coś nowego! rzekł Szarski. Z czegożbym się ja mógł cieszyć?

— Przynoszę ci wieść dobrą, schwytaną przypadkiem, która cię żywo obejść powinna.

— Na Boga! cóż to takiego?

— Krewny twój, Adam Szarski, z żoną i córką przyjechał do Wilna.

— Kiedy? zakrzyknął rzucając się Stanisław.

— Mówiono mi, że przed tygodniem...

— Jak to! tydzień tu już są i nie dowiedzieli się do mnie? nie przysłali? nie pytali co się ze mną dzieje? zasmucony zawołał Stanisław. Cóż to znaczy?

— To nic a nic nie znaczy, rzekł Szczerba spokojnie. Zwyczajnie w mieście, nie mieli czasu, znajomych, sposobności... Zresztą ty sam powinienes pójść do nich, nie czekając, zaraz, jutro... Mieszkają w domu Podbipięty.

Dobra ta nowina nie taką jednak radość, jakię się Szczerba spodziewał, sprawiła Stanisławowi. Tydzień milczenia obojętnego ciężył biednemu, i przeczuwać kazał, że i tam zawód dla serca go czeka.

Nazajutrz rano, o rano! wstał Stanisław z pełną głową przypomnień, z piersią pełną uczucia, z zaschlą niezapominajką na sercu, i biegł zdyszany do tego domu, który teraz dla niego w całym mieście sam jeden był tylko. Gdyby go nie znał, byłby do niego trafił

tém jasnowidzeniem pierwszej młodzieńczej miłości, która zgaduje wszystko.

I na myśl mu nawet nie przyszło, że od ostatniego widzenia się z Adela więcej niż rok upłynął, że dziewczę wyrosło na panienkę, a zrzucając strój młodszy, mogło z nim i niezapominając odrzucić. On swoją tak wiernie i troskliwie piastował, tak codzień musiał się z nią zobaczyć, pomówić z nią! tak utrzymywał w niej życie!

Gdy stanął u wskazanego progu, gdy dotknął klamki, gdy ujrzał ludzi znajomych, tak był pewien, że go pochwyca w objęcia, iż sam gotów był ścisnąć wszystkich, poczuwszy od lokaja.

Długo bo uczyć się potrzeba serca ludzkiego, żeby uwierzyć, iż w niém uczucie błyskawicą przychodzi i gaśnie, a młodzi wierzą w stałość i opierają życie na najnieatrważniejszej posadzie jaka jest pod słońcem.

Zdziwiło już trochę Stanisława, że mu nikt głową nie kiwnął, że dość zimno, a nawet kwaśno i z niegrzecznym poglądem na skromną odzież jego, drzwi pokoju pana Adama wskazano. Wbiegł jednak...

Pan Adam siedział w szlafroku, w szerokim fotelu, z gazetą w ręku, z fajką w ustach, i czytał. Podniósł głowę, przymrużył oczy, w początku nawet zdawał się nie poznawać Stanisława, a na żywe i wesołe przywitanie jego, odpowiedział niezmiernie grzecznym, ale nadzwyczaj zimnym:

— Al pan Stanisław! jakże mi się masz? Siadaj, proszę... Jesteś tedy na naukach? Bardziej rad, że cię widzę...

Staś się stropił, i z tego tonu, do innego wcale będąc przygotowany, słowa z razu odpowiedzieć nie potrafił.

— Siadajże, powtórzył pan Adam, sam wracając do fotelu: zmężniałeś, wyrosłeś pan, choć zdaje mi się, że i schudłeś trochę...

— Nie dziw, pan wie com przebył...

— Al tak! rzekł zaambarasowany kuzynek spuszczać oczy: pisałeś o tém do mnie, przypominam sobie. Chciałem ci z serca służyć, ale ty znasz najlepiej sędziego: jest to takiego charakteru człowiek, że skombinowawszy wszystko, obawiałem się, czyniąc krok jakiś, więcej ci jeszcze zaszkodzić... nic więc nie mówiłem z nim o tém...

Staś aż zadrżał; znać było po zmienionej twarzy, że się nie tego spodziewał, a pan Adam pomiarkować to musiał, bo zaraz dodał:

— Ale bądź pan spokojny... ojcowskie serce nie może długo wytrwać w takim gniewie... przyjedziesz, przeprosisz, i to się jakoś pokombinuje, załagodzi...

Pan Adam nie zdawał się nawet domyślać, że Stanisław opuszczony od rodziców, zostawiony sam sobie, z ostatniej może mrzeć głodem.

— Widziałem się z panem sędzią, dodał Szarski; ale z jego słów wyrozumiałem, że próżnym się porzywał go przekonywać. Powiedział mi tylko ponuro: „Miałem syna Stanisława, straciłem go.“

Staś zapłakał, ale kuzyn nie zważał na to.

— Jednakże mogę zaręczyć, że to tylko rzecz czasu... Przegniewa się, zatęskni i przebaczy.

I odwracając rozmowę dorzucił:

— Jakże idą nauki?

— Mozolnie, ale idą, odparł Staś po cichu.

— Słyszałem już coś tutaj. Słyszałem—przerwał pan Adam—mówiono mi o twoich poezjach, są nawet podobno drukowane... Żleś tylko zrobił, że się na

nich podpisał. Dla ludzi naszego urodzenia (przycisnął mowca na wyrazie) stosowniejszy jest pseudonim... Uchowaj Boże krytyk, które się bardzo trafić mogą, na co walać tak uczciwe imię, szargać je po gazetach, wystawiać na śmiechy!

Stanisławowi zdawało się, że nie dosłyszał.

— Ależ to imię jest moje, zawołał: a nigdy, zdaje mi się, nic takiego nie uczynię, obok czego bym imienia mego postawić nie mógł, bo się nie powstydzę czynności.

— Doskonałe to, śliczne *et très bien tourné!* dodał zimno kuzynek; ale zawsze to imię twoje i nasze, zważać na to potrzeba... a dla nas, przyznam ci się, być wystawionymi na literackie szermę wasze— rzecz i niestosowna, i niemila. Imię Szarskich!

Gdy to mówili, weszła w rannym, ale nadzwyczaj świeżym i wykwintnym stroju pani Adamowa, a zobaczywszy akademika, którego przymrużonemi poznała oczyma, zagryzła kwaśno usteczka.

— A! to pan! jak się ma?

Chłód otaczający go, poczynął oddziaływać na studenta, który już skłonił się tylko w milczeniu.

— Poeta! poeta! śmiejąc się dodał pan Adam szysersko.

— A! słyszeliśmy! cicho wymówiła z ironią pani Adamowa. To tylko źle, że poeta dla jakichś tam poezyj tak sobie ojca naraził... Biedny pan sądził!

— A ja pani? spytał urażony Stanisław.

— Pozwól pan sobie powiedzieć, że jeśli cierpisz, to sam temu winien jesteś.

— Jużesmy tu o tém mówili, odezwał się pan Adam do żony. No! no! jakoś to się ułoży! Żywość młodzieńcza go uniosła!

— I jeszcze jedną mam panu zrobić wymówkę: dodała pani Adamowa nieco się rumieniać: jakże to było można, wydając te poezye, nie wiem tam jakie, choćby najlepsze, kłaść na nich imię nasze?

— Zdaje mi się, że mu krzywdy nie zrobił! zawołał obrażony Stanisław.

— Ale jednak pan mogłeś pojąć—wymówiła kuzynka—że to nam nie robi przyjemności. Zawsze pisanie książek jest coś naksztalt rzemiosła... a ludzie naszego urodzenia nie piszą...

Nie było co odpowiedzieć na to. Zapomniawszy już o Adeli, o wszystkim, Stanisław chwycił za czapkę, chciał zaraz żegnać i odejść, bo w nim krew wrzała,— gdy: „Ach!“ słyszeć się dało w progu, podniósł oczy i ujrzał... Adele.

Tak, był to cień owiej młodej Adelki wiejskiej, którą znał dawniej, która mu miłość i wiarę w prostocie ducha ślubowała; ale to już nie była owa Adelka, którą kochał. Kilkanaście miesięcy życia, pobyt w dwóch miastach stołecznych i poczynający się kręcić koło niej wielbiciele, zmieniły ją do niepoznania. Piękność jej zyskała na blasku, na rozkwicie, ale straciła na naturalności i wdzięku niewinnym. Była to panienka tylko co z pieszczzonego wykluta dziecięciem, jedynaczką i dziedziczką milionów, a z oka jej płynęło, że wie o tém.

Twarz jej na widok Stanisława nie pokryła się nawet przelotnym rumieńcem; oko jej ani na chwilę nie zaszło uczuciem, ani niepokojem; pierś żywszemu tchnieniem się nie wzniosła. Tylko uśmieszek już do matczynego podobny, rozwinął jej koralowe wargi, i po *ach!* dodała:

— Wszak to pan Stanisław!...

Spojrzał i on, chciał mówić—ale dość było na tę laleczkę rzucić okiem, by zgadnąć, że żadne głębsze, otwarte uczucia mieszkać już w niej nie mogą, że trochę młodego serca zgubiła gdzieś w drodze biedna, a na jego miejsce zebrała dość miłości własnej i dumy.

Patrzała tak na niego, jakby mu wyraziście powiedzieć chciała: „Nie znamy się! nie znaliśmy się i znać nie powinniśmy! Nie zbliżaj się do mnie i bądźmy sobie obcy!”

Ażeby przenieść chłodno boleść tego spotkania, potrzeba było wielkiego męstwa, potężnej siły nad sobą, i Stanisław dał ich dowód. Cierpienie bierzmowało go na rycerza; wytrwał ostatni policzek i nie zadrżał!

Adelka zakręciła się, przeglądając w lustrze.

— Gdzież pan bywa? co pan robi? spytała. A! słyszałam o poezjach! cha! cha! Jakież pan píše wiersze? Bardzom doprawdy ciekawa...

— Nie śmiałbym ich pokazać pani, rzekł Stanisław smutnie: nie spodziewam się pobłażania, a potrzebuję go.

Adelka nic nie odpowiedziała, minę tylko zrobiła niechętną.

— Bywa pan u hrabiów N..., u generała S..., u księcia B...?

— Nie, pani.

— U pani M...?

— Nie, pani; ja nigdzie nie bywam.

— Szkoda! takie miłe macie towarzystwo w Wilnie, tak tu się wesoło bawią...

Zamilkli.

— A gdzie pan mieszka?

— O! i daleko i ubogo! rzekł akademik z westchnieniem; ale mi i tam dobrze.

— Co za miłe przechadzki! jakie ładne nad Wilią bulwary! mówiła kręcąc się Adela, Papo! nie prawdaż? dziś z księciem... pojedziemy do Zakretu...

— Pojedziemy moje dziecko, jeśli zechcesz.

— Ale ty się nie ubierasz, dodała Szarska sama: a karetka na nas czeka... Mieliśmy być razem u hrabiny N....

— Natychmiast! miałem się właśnie ubierać.

— Ja nie przeszkadzam, zrywając się zawołał Stanisław. Najmocniej przepraszam... może mimowoli opóźniłem.

— Ale nie! nie!... chociaż w istocie—ciszej dodał Szarski—tyle w Wilnie mamy zajęcia! Do widzenia panie Stanisławie... Wolniejszym czasem możesz odwiedzić nas kiedy.

Skinieniem głowy wcale niezapraszającym pożegnała go kuzynka. Spojrzał raz jeszcze na Adelę, jakby o litość błagając; ale spotkał wzrok tak chłodny, dumny, obcy, wzrok, co tak wyraźnie zerwał z przeszłością, który mówił tak głośno, że go znać nie chce, iż nie wiedząc prawie co czyni, wybiegł jak szalony.

A o uszy jego obił się jeszcze śmieszek długi, sztyderski, zimny, Nielitościwy, szatański, który po za nim się rozlegając, dobił go do reszty.

Jak kula puścił się po schodach; przebiegł dziedziniec, w którym piękna karetka i ludzie w liberyi herbowej czekali; poleciał, nie wiedząc dokąd idzie. Gniew, oburzenie, rozpacz, jakiej jeszcze w życiu nie doznał, szarpały nim i rozrywały mu serce... Jak oszalały,

mówił do siebie, stawał, śmiał się, leciał znów i zatrzymał się dopiero w tłumie, który mu zaparł drogę, bo się przezeń przecisnąć nie było można. Głos jakiś poważny odezwał się nad jego uchem:

— Człowiecze! opamiętaj się, odkryj głowę i ukleknij.

Było to jakby rozkazem z nieba. Staś machinalnie zerwał czapkę z głowy, ugiął kolano, załamał ręce i począł się modlić,—a podniosłszy oczy, ujrzał w górze nad sobą cały jaśniejący obraz N. Panny Ostrobramskiej.

Litościwy Anioł stróż przywiódł biednego aż tu na próg przybytku, jak spragnionego do źródła po kroplę pociechy. Potrzebowało jęj serce! Ale nierychło zaczęły drgać usta jękiem modlitwy—boleść tamowała mu mowę. W początku modlił się słowami tylko, myśl roztargniona była gdzieindziej; nie mógł się oderwać od tego, co mu tak ciężki cios zadało.

Uchyliły się głowy, ucichł szmer, kapłan wzniosł hostyę, i razem z błogosławieństwem podniesionego na krzyżu Chrystusa, trochę spokoju spłynęło na biedne dziecko, rozpacz poczęła przechodzić w odętywienie. Kłęczał oparty o mur, oczy wlepiwszy w obraz,—i msza się skończyła, i lud się rozszedł, i rogatki pozdejmowano, i powozy krążyć zaczęły, a on jeszcze kłęczał przed Najświętszą Panną. Nie wiem jakby tam długo tak pozostał, nie mając woli i siły począć coś z sobą, gdyby go silna dłoń nie chwyciła za ramię i nie wstrząsnęła nim jak uspionym.

— Na Boga! co ci jest Stanisławie? tyś chory!

Drugi to pewnie Anioł Stróż przyprowadził Szczerbę, który powracając od współucznia z za Ostrójbra-

my, zamiast pójść po za nią przez mniej ludną część miasta, skierował się samym środkiem, choć dalszą drogą.

— Co ty tu robisz? co to jest? Msza się dawno skończyła!

I przelekły przyjaciel tulił go prawie do piersi, chcąc się słowa dopytać. Nareszcie wyrwało się westchnienie, a z niem narzekanie.

— Pawle! rzekł: dzisiejszy dzień mnie zabił! Czyż tacy wszyscy? czy na to Bóg im dał więcej, ażeby mniej czuli?... I ona! i ona!... a! to straszliwe!... Nie... to nie ona... to inna!

— Szalejesz, na Boga, mówże co się stało?

— O! nierychło potrafię! Prowadź mię do domu.

— Do domu! nie, chodź do mnie; nie chcę cię tak rzucać samego; wolę, byś poszedł ze mną. Daj mi rękę. Wypowiadasz się, wypłaczymy i przebolejemy mój Stasiu... Byłe razem!

— Tak, boś ty mi na całym świecie sam jeden pozostał, rzekł smutnie Szarski. A! ty mię nie zdradź i nie opuść przynajmniej!

Poszli milczący... Stasiowi znów się siły przebrało i ściał usta, a Szczerba nie chciał z niego gwałtem dobywać boleści, by mu serca nie rozkrwawiać.

Szczerba nie odstąpił przyjaciela, nie puścił go do domu, i pozostał z nim ciągle, słuchając jego żaleń, chociaż Stanisław więcej milczeniem niż narzekaniem przechorowywał tę boleść.

Nazajutrz zaraz pomiarkowawszy się, pan Adam przysłał szukać kuzynka, zapraszając go do siebie; ale sam Stanisław tyle miał mocy nad sobą, że pod pozorem choroby, wstrzymał się od powtórzenia odwiedzin. Nieco uspokojony Szarski, powrócił do kamienicy Dawida Białostockiego, rozwiedziony z przeszłością, z rodziną, ze wszystkiemi co mu było najdroższe, ale nie mogąc się pozbyć oblegających go wspomnień.

Tymczasem w literackiem jego życiu coraz się mnożyły wypadki, a wkrótce ukazująca się w piśmie peryodycznem, naówczas jedynem, recenzya Noworocznika, która wiele w Wilnie narobiła hałasu, była jednem z najważniejszych zdarzeń. Stanisław domyślił się łatwo autora po epigrafie: *Na bezrybiu i rak ryba*, który się professorowi Iglickiemu wyrwał z ust na wieczorze u państwa Ciemięgow, a tu został powtórzony nieostrożnie. Sprawozdanie to z nowej książki pełne było dowcipu, złośliwe, szyderskie, czepiało się wszystkiego, czego ucześć się mogło, nawet okładek i litografii. Każdy tam coś znalazł dla siebie, i Szarskiego próby dość surowo osądzone zostały. Inaczej być nie mogło. Talent, który zarazem w kilku objawiał się rodzajach, dawał wyborny pochop krytyce: tłumaczeniu z Goethego wyrzucano i wybór przedmiotu, i wykonanie, i że było tłumaczeniem; elegii, że była za płacziwa, że mogła być naśladowaniem i t. p., i t. p.

Sonety Bazylewicza szczególnież zjadale wygwizdane zostały, a że autor recenzyi łatwo mógł po nich jeździć... pozwolił sobie do sytu i przesyty. Numer ten gazety przychodził z rąk do rąk przez dni kilka, i byłby może wielkie na Stasiu zrobił wrażenie, gdyby świeża boleść nie zdrewniała go na wszystko.

Professor Hipolit, nazajutrz po wyjściu gazety, zjawił się z nią na poddaszu.

— A co? rzekł wesoło do Szarskiego: pobici jesteśmy na wszystkich punktach! Prozę i poezję, piechotę i konnicę naszą spędzono z placu. Wydawcy i współpracownikom, wszystkim aż do niewinnych litografów się dostało. Przyszedłem cię pocieszyć młody żołnierzu, bo się lękam, żebyś po pierwszej ranie ducha i odwagi nie stracił. Potrzeba się znać z krytyką—rzekł professor—a mniej to boleć będzie. Gdyby ona była wyrazem przekonania, a pisała się w interesie sztuki, literatury, dążności jakiejś, każde jej słowo przyjęlibyśmy z uszanowaniem i w pokorze. Ale dość spojrzeć na źródło, z którego płynie, żeby się rozśmiać i ruszyć ramionami. Trzeba ci wiedzieć, żeśmy dosyć źle z professorem Iglickim, którego ja ani poję, ani mu się kłaniam... to pierwsze. Powtóre, jeden z księgarzy, spekulując na Noworocznik, chciał go nabyć u mnie za bezcen, a ja sprzedać za bibułę nie życzyłem sobie mojej i cudzej pracy. Iglicki jest z nim w przyjaźni, recenzya więc i jej duch między nimi dwoma ułożone zostały. Wiem co ją zrodziło, i nie mogę mieć w niej wiary: ukąsili i śmieją się. W istocie, jest-li co łatwiejszego, niż bez sumienia napisać najokrutniejszą recenzję? Stawam w punkcie stosownym i dawaj mi *Iliadę* Homera, a z błotem ci ją zmieszać potrafię, i dowiodę, iż mniej warta od epopei *Lubelskiego pożaru*. Iglicki jutro za kilka butelek wina lub kosz porteru, z inną literą lub pseudonimem, gotów ten sam Noworocznik wynosić pod niebiosą.

To mówiąc, professor rozśmiał się boleśnie, ruszając ramionami.

— Ale gdzież sumienie? zapytał Stanisław.

— W ogólności mało go jest na świecie, a najmniej pomiędzy piszącymi. Najłżejsza okoliczność wywołuje ich gniew i zemstę: nie ukloniłeś mu się na ulicy, nie posłałeś mu książki, jest przyjacielem twojego nieprzyjaciela, wstał w złym humerze, świerzbiał go palce, ma kilka gotowych par conceptów na sprzedaż, to dość, żeby zabijał i kaleczył. W całej literaturze naszej nie trafiło mi się jeszcze znaleźć człowieka, któryby tyle tylko miał sumienia, żeby pochwalić rzecz pochwały godną, gdy z jej autorem jest na baki. Krytyka zresztą w dziełach ludzkich jest najłatwiejszą z natury swojej: utwór człowieka musi mieć strony słabe i niedoskonałe; wyszukać ich nie trudno, powiększyć i rozszerzyć, nauczyć trochę wprawy. Jeśli myśl dobra, bijesz na wykonanie; jeśli wykonanie ma wdzięk, pomysł może być mniej trafny; potem strona moralna przedmiotu, stanowisko autora w literaturze współczesnej, jego dążności, charakter pism i t. p. dostarczają zarzutów bez końca. Święte to stare przysłowie, jeszcze z czasu dysput teologicznych: *Plus negare potest asinus, quam probare philosophus*; co grzeczniej tłómaczyć możemy: łatwiej napisać pięćdziesiąt krytyk, niż stworzyć jedno dziełko.

To mówiąc, wstał professor Hipolit, i począł Stanisława wyciągać z sobą na przechadzkę na bulwary, zwiędłą twarz jego przypisując zamkniętemu powietrzu, w którym zbyt często się zasiadzał.

— Chodźmy się przejść, rzekł wesoło; a krytycy niech z Bogiem odpoczywają...

Szarski dał się namówić. Wyszli długą ulicą zamkową wiodącą, przez dawniej Zamkową Bramę, posuwając się ku katedrze i bulwarom; a że dzień był

prześliczny, wmieszali się w tłumy różnobarwne, snujące się po nad brzegami Wilii. Gwar i ciżba ich otoczyła; ale Stanisław nie dawał się im rozerwać, poglądał obojętnie, słuchał jednem uchem wciąż żartującego profesora, a pragnął co najrychlej uciec i skryć się w ciszy swojej izdebki.

Drogą po nad bulwarami wciąż przesuwały się wytworne powozy idące ku Antokolowi, a Hipolit, który znał każdy pojazd i każdą twarz jak stary miasta mieszkaniec, pociesznemi komentarzami, dowodzącemi jak łatwa także jest krytyka obyczajowa, przeprowadzał każdego. Wtém Staś pobladł, ujrawszy pomałutku zbliżającą się, ścisłiem powozów wstrzymaną karetę, w której siedzieli pan Adam, jego żona, córka i jeszcze ktoś czwarty na przodzie. Czwartym był człowiek młody, bardzo przystojny, wystrojony, i jak poznać było łatwo, należący do wyższej warstwy towarzystwa.

Siedział on naprzeciw Adeli, a piękne dziewczę z uśmiechem wiodło z nim żywą rozmowę, i tak sobą byli zajęci, tak zajęci, że nie prócz siebie nie widzieli, że świata dla nich nie było.

— A toż kto taki? zapytał professor. To coś być musi świeżo ze wsi przybyłego, bo ich nie znam, a blach herbowych trochę za suto na miasto.

Staś się zarumienił.

— Książę Jan siedzi na przedzie... Al! jakaż to śliczna panienka! Doprawdy, warto się dowiedzieć kto to taki... to coś nowego w mieście. Jacyś ludzie bogaci i panna na wydaniu.

Wtém powóz przysunął się kołując do samego bulwaru, a że dla ścisłu pośpieszyć nie mógł, jeszcze się naprzeciw nich nieco wstrzymał. Pan Adam i jego

żona ciekawém okiem rzucili w różnobarwny tłum pieszy; jedno z nich spotkało twarz kuzynka, i jejmość jak od węża szybko się w drugą stronę odwróciła, unikając jego ukłonu. Pan Adam zapatrzył się gdzieś daleko, Adela zajęta księciem ani się nawet obejrzała, i powóz po chwili uwolniony, poleciał dalej.

Zląkł się professor, obaczywszy Szarskiego bladym i nagle zmienionym, nie mogąc odgadnąć co mu się stało.

— Pozwól mi wrócić professorze, odezwał się młodzieniec tęsknym głosem. Czuje się jakoś niezdrow potrzebuję odpocząć.

Ścisnął rękę Hipolita, i wmieszawszy się w tłum, pośpieszył niepostrzeżony do domu.

Długo w noc chodził, chwytając się za piersi i głowę, sądząc, że go to odnowione uczucie boleści rozszarpie,—aż Anioł Stróż, ten sam, co wiódł kroki chłopięcia ku Ostrójbramie, natchnął go myślą pracy.

— Zabiję się pracą! rzekł w duchu. Jest to może jedyne samobójstwo, które Bóg cierpieniu przebaczyć powinien, bo w niém jest jakaś korzyść dla ludzi.

I szybko, po młodemu uchwycił myśl swą, garząc się do zapyłonych tek i papierów, do najzmudniejszych poszukiwań, do najtrudniejszych studyów.

Ale mu nie szło. Myśl jak motyl odlatywała gdzieś, i łapać ją było potrzeba na widmach kwiatów siedzącą, gonić za nią coraz dalej a dalej w szerokie, zielone pola przeszłości... Ani skuć, ani spętać swobodnej latawicy!

Po długim wahaniu, po wielu nocach bezsenne strawionych na poprawkach i odczytywaniu, zasięgnawszy rady przyjaciół, do której niestety! zastosować się nie było podobna, Stanisław z pierwszym rękopismem swoim, przepisany na czysto, wzięwszy w pomoc Szczerbę, wyszedł szukać księgarza, coby go nabył.

Trzeba było dwóch tak młodych głów jak jego i przyjaciela, żeby nieznanemu zupełnie, bez pleców, bez przyjaciół, bez listów rekomendacyjnych, partyi i stosunków, tak po prostu wyjść z domu z papierem zagrezmolonym pod pachą, szukając nakładcy! Ale akademickie to czysto przysłowie: *Audaces fortuna juvat!*

Poszli spokojnie ulicą, jak gdyby szukali domu do najęcia, obaj z dobrą nadzieją i wcale nietrwożni; a Szczerba, który po przyjacielsku wierzył w Stanisława, dodawał mu otuchy.

Ab Jove principium, udali się najprzód pokłonić staremu Zawadzkiemu, którego księgarnia niegdyś uniwersytecka, pomimo współzawodnictwa drugiej nowszej, pierwsze w opinii wszystkich trzymała dotąd miejsce *). Ale zacny bibliopola nie bardzo chciał

*) Z powodu tego wspomnienia imienia znanego i powszechnie szacowanego Józefa Zawadzkiego, i fałszywych tłumaczeń jakieby ono spowodować mogło, autor czuje się obowiązany zaprotestować wcześniej przeciw wszelkiej intencji szyderstwa lub niechęci, któraby nań wrzucić chciało. Imię zasłużonego typografa w piśmiennictwa naszego historyi, zajmuje miejsce znakomite, bo się do rozwoju literatury wszelkimi siłami przyczyniał. Nie uwłacza mu bynajmniej w przekonaniu naszym, że prac początkujących pisarzy, jak Szarski, przyjmować nie chciał, a raczej nie mógł; miał bowiem ważniejsze zadania do spełnienia, i te wszystkimi siłami rozwiązywał. Autor wystawił go takim, jakim był

spojrzeć na młode piskłę, które mu podawano, nie bez przyczyny może obawiając się wpuścić do księgarni jednego młokosa, bo za nimby drudzy hurmem się cisnęli. Oprócz tego było w charakterze zakładu, w jego zwyczajach, łożyć tylko na książki uczone, poważne, powolnego, ale pewnego odbytu; a drukarnia wciąż była zajęta tłoczeniem dzieł, których wielka część wprawdzie poszła na makulaturę, lecz reszta jakkolwiek się rozprzedała i korzyść przyniosła, większą literaturze i nauce niż wydawcy.

— Ale dajże mi waćpan pokój! rzekł starzec do Szczerby (bo Stanisław pozostał w ulicy z wielkiego strachu): to nie moja rzecz! Gdybym takie pisemka chciał drukować, papieruby mi wkrótce zabrakło! Może to być prześliczne, ale cóż mi z tego? Autor nie ma imienia, nie jest ani professorem, ani sławnym człowiekiem... Ruszaj z Bogiem do hazardowniejszych...

Ponieważ ówczesny księgarz akademii był ostatnią brzytwą tonących, nie poszli do niego wprost dwaj młodzi pielgrzymi, ale po namyśle zwrócili się jeszcze szczęścia spróbować u Marcinowskiego, który wydawał *Kuryera Litewskiego*, *Dziennik Wileński*, a niekiedy ważył i na pomniejsze dziełka. Tu jednak do głowy domu przystąpić było trudno, a po długim oczekiwaniu, gdy przypuszczono Szczerbę, pan Marcinowski śmiać mu się począł w oczy.

w chwili jednej, w chwili daniej, nie kreślił żywota jego, nie mógł wspominać o zasługach; a czując, że ta jednostronność obrazka dać może powód zupełnie fałszywym wykładom, uroczyście oświadcza, że nie chciał bynajmniej dotknąć zacnego naczelnika domu, który stał na czele księgarstwa krajowego.

— Ale ja nie księgarz, rzekł ruszając ramionami. Chcecie drukować własnym kosztem, dam wam biuły za pieniądze, i każę wycisnąć tyle egzemplarzy ile się podoba... Żebym zaś miał rękopisma brać i jeszcze za nie płacić—a któż to co podobnego widział? kto to słyszał? Najznakomitsi pisarze i kolaratorowie *Dziennika* robią jeszcze prezenciaki redaktorowi, jeśli ich prace umieścić raczy i wydrukować... ale żeby mieli pretendować honoraryów—cha! cha! cha!

Pan Marcinowski mocno się począł śmiać, a Szczerba przepłoszony uciekł od niego. Nie było już sposobu, poszli oba, ale z coraz kwaśniejszą miną, do trzeciego nakładcy. Księgarnia jego mieściła się w gmachu uniwersyteckim na dole, w dosyć ciemnej dziurze, w której zastali bibliopole pracującego za kantorkiem... Powitał ich dosyć grzecznie.

— A! rękopism, rzekł, i rzucił nań okiem roztargnionem. Panowie chcą drukować?

— Tak jest, panie!

— Bardzo dobrze. Naprzód potrzeba go przedstawić do komitetu canzury, potem ułożymy się o kosztu druku.

— Ale mybyśmy chcieli oddać ten rękopism panu.

— Jak to? na mój koszt?

— Tak jest.

— To niepodobna, rzekł zwracając papiery nakładca: prassy są zajęte... niezmiernie zajęte... massy książek naukowych z nich wychodzą... Zresztą literatura piękna nie idzie...

Odwrócił się i począł pisać.

Uklonili się i wyszli.

Stanąwszy na ulicy, spojrzeli na siebie, i Stanisław

nie mówiąc słowa, schował dziecię swe za mundur, nie myśląc już więcej szczęścia próbować.

— Ale poczekaj-no, to nie koniec jeszcze; wstrzymał go Szczerba. Wiemy w Wilnie o dwóch znakomych nakładcach... a Manes i Zymel?

Zymel drukował wówczas wszystko, co tylko mu się nawinęło, poczynawszy od senników i kalendarzy, do Rolwesów i nauki o owocach, a rozprzedawał bibule swoją pudami Żydkom, którzy wózkami po Litwie i Żmujdzi rozwozili i senniki jego, i kalendarze, i powieści tłómaczone z francuzkiego, z niemieckiego z rossyjskiego, zbiory wierszydeł, historię Syndbada, Magiellonę, książki nabożne na wpół z romansami Lafontain'a i Kotzebuego, które składały zbiór popularnych edycji, rozchodzących się za bezcen, ale w ogromnej liczbie egzemplarzy. Wydawał na szarą bibule, drukował świeczkami i szuwaksem, ale zarabiał na tém ogromnie. Sam nie znał się wcale na niczem, zecerów miał Żydków, korektora Żyda; ale że towar jego był niezmiernie niskiej ceny, a konsumpcya z każdym dniem rosła, odbył nie ustawał, a nawet się powiększał.

Do Zymela, wydawcy kalendarzy, nie tak się było łatwo dostać; bo drukarnia jego i składy, które razem polską i hebrajską literaturę w sobie zawierały, położone były wśród brudnych ulic izraelskich, a sam głowa domu, ulokowany na piętrze od tyłu, zajmował zaciszny kątek, do którego przez mnóstwo izdebek, rąk żydowskich i zapytań ciekawych, szturmować było potrzeba. Wszędzie kręciła się czynna ludność drukarni, która przed zaprowadzeniem sznellprassy, nadstarczała pośpiechem temperamentu za powolność narzędzi.

Zwijali się Żydki różnego wzrostu i kalibru, poczynawszy od odartego tragarza, do wymuskanego eleganta z piórem za uchem, udającego buchhaltera... ci z ogromnemi balami papieru, inni z pakami książek, z korektą, z fakturami... Wózki wędrownych kupców naładowywały się w dziedzińcu, zajeżdżały i odjeżdżały, i anibyś ich mógł posądzić z powierzchowności, że wiozły oświatę w głąb Litwy i Polesia, na Żmujdz i Białoruś. Tu otwierano składy, tam rozwieszano mokry papier, owdzie zszywano druki, oprawiano je, wiązano.

Sam Zymel, niemłody Żyd, morejne, bo wysoko cenił głowę, która tym ogromnym zawiadując domem, umiała bibulę lichą przerabiać na pieniądz, poplamwszy ją atramentem — siedział w ustronnej izbie nad wielką księgą rachunkową, w której tajemnicach zatopiony był głęboko. Ubrany po żydowsku, z czapką na uszy wsuniętą, w szerokiem spoczywając krześle, rozmyślał podobno nad tém: czy do kalendarza dodać anegdoty, które o szeląg czyniły droższym każdy egzemplarz, ale wedle rady wielu miały i pokup powiększyć... lub zostawić go bez anegdot. Wahał się, wahał i już przechylał ku odrzuceniu, pomyślawszy, że i bez anegdot, które piętnasty raz światło dzienne ujrzeć miały, wysmieniecie się ta edycja obejdzie... gdy Stanisław i Szczerba weszli do jego pracowni.

Stary Żyd podniósł głowę, widocznie usiłując za wczasu zgadnąć, z czém do niego przybywają, aby być panem położenia. Zymel bowiem był polityk wielki, i mógł się pochwalić, że mało go kto podszedł w życiu, chociaż węchem więcej robił niż umiejętnością i rozumem.

Skrzywił się trochę, żeby okazać, jak mało ceni

gości, i podrożyć się z sobą, bo wyrachował, że kiedy przyszedli do niego, to go potrzebować muszą.

— Kłaniam! rzekł odpowiadając na przywitanie, i wstał powoli, obie ręce po bokach za pas założywszy, postępując do środka pokoju. A co panowie sobie życzą?

Szczerba wyjął rękopism.

— Rękopisma! machnął Żyd ręką: aj waj! na co mnie tego? na co mnie tego?

Potem pomyślawszy nieco, zapytał:

— Czy jegomość już co drukował?

— Drukował, przerwał Szczerba.

— Drukował! powtórzył Żyd kiwając głową: nula co to za rękopisma?

— Poezye!

— Kiepski interes! kiepski interes!... Pan nie ma jaki romans tłómaczony?... Tłómaczenie to dobra rzecz... może Waltra-Skota?

— Ale poezye...

— Nie... nie... poezye... nie... to nie chodzi! mam ja w magazynie dosyć. Niech pan mnie da co prozą, pogadamy...

— Ale panbyś to mógł nabyć tanio, rzekł Szczerba... a poezye piękne... Kto wie jaka przyszłość czeka autora? może to, czém dziś gardzicie, jutro się na wagę złota sprzedawać będzie?

— Na co ja mam grać na loteryę, kiedy mogę stawić na pewno i wyrachować co wygram? rzekł Żyd, trzęsąc głową. Nie! nie! Ot dobra robota... to kalendarz, a Morfeusz wyjawiać snów... Al gdyby to kto nowy Sennik napisał! Pan nie zrobi jakiego Morfeusza? Jabym pięknie, bardzo pięknie zapłacił.

Stanisław widząc, że tu nie ma co robić, zawrócił się i pociągnął Szczerbę za sobą.

— To darmo — rzekł — nie tracmy czasu.

Żyd pozostał nieruchomy, popatrzał na odchodzących, plunął, kiwnął się i powrócił do swjej księgi rachunkowej.

Smutni wracali z téj pielgrzymki nasi przyjaciele, kiedy ich naprzeciw Św. Jana, w niedalekim zaułku, uderzył napis: „Drukarnia Dworca.“

— A ot! może jeszcze wydawca! Przypominam sobie, że widział podpis jego na nakładach, trochę nawet porządniejszych od Zymelowskich, rzekł Szczerba. Nie żałujmy nóg, wejdźmy i spróbujmy szczęścia.

Wdrapali się więc po brudnych schodkach i galeeryjkach do wnętrza kamienicy, całej woniejącej drukiem, papierem i książkami. Mniej tu było ruchu, niż u sławnego Zymela i Manesa Romma, wózków księgarskich nie postrzegli, ale drukarnia była czynna. Zapytali o Dworca — nikt im odpowiedzieć nie umiał. Występowali naprzeciw nim Żydzi różnego wzrostu, wieku, miny, ubioru, każdy niby jako ów Dworzec, ale znać było, że go tylko zastępowali; sam główny przedsięwzięcia zdawał się niepochwycionym mitem.

Trzech młodych Żydków porwało rękopism, i poczęli go przerzucać, czytać, kiwać głowami, szeptać do siebie, udając, że się na tem poznać mogą... Potem pomruczawszy, zwrócili go Szczerbie.

— Panowie chcą drukować? spytał młodszy.

— Tak jest; ale nie chcemy wydawać sami, chcielibyśmy sprzedąć...

Żydki pokiwali głowami, spierając się z sobą o coś po niemiecku. Stanisław zniechęcony, stał ze zwieszoną głową, oparty o balustradę, niewiele wiedząc co się

z nim dzieje... Machinalnie przywłókł się ze Szczerbą, ale już nie wierzył, żeby go ta żebranina do czego doprowadzić mogła.

— Sprzedać! rzekł jeden: nu! a co za to można dać?

— Jak myślicie?

— A najprzód do cenzury.

— No, a potem?

— Jeżeli rękopism będzie podpisany...

— Cóż dać możecie?

Żydzi zaczęli się naradzać bardzo żywo, zwłaszcza gdy Szczerba im oznajmił, że autor był już drukowany... Oba ruszyli ramionami, ale trącili się łokciami.

— Nu! co pan chce? co pan chce?... zapytali.

— Cóż... najmniej... sto dukatów! zawołał przyjaciel. To poezye! i jakie poezye!

Na te słowa Żydzi jakby osłupieli, a starszy z nich począł się śmiać, że za boki się schwyciwszy latał po drukarni, a ledwie na chwilę uśmierzył śmiech, to znów zaczynał chychotać i zachodzić się w najlepsze.

— Chodźmy! chodźmy! zawołał z boleścią Stanisław.

— Czekaj! rzekł Szczerba. Ile dacie?

— Co mamy dać! — odparł starszy — jak można tak cenić!

— W targu gniewu nie ma.

— Ależ pan złoto sprzedaje, czy co?

— Czyste złoto!

— A gdyby to było i złoto! ruszając ramionami odparł Żyd.

— No, powiedzcie proszę, coż dać możecie?

— Co? co? najwięcej! najwięcej... tu nie będzie i pięć arkuszy druku... dziesięć rubli.

Z kolei Szczerba oniemiał i uśmiechnął się boleśnie.

— Chodźmy! rzekł, ciągnąc Szarskiego.

Staś się zatrzymał.

— Oddam — rzekł — za dziesięć rubli, byle było drukowane porządnie, czysto, i dacie mi dwadzieścia egzemplarzy.

— Na miłość Boga! co robisz!... przerwał przyjaciel.

— Pozwól mi, wiem co robię.

Wtém Żydzi się znów zawahali, gdyż nagły spadek ceny i łatwość, z jaką kończono, zastraszyły ich. Poczeli się przechadzać po izbie i szwargotać.

— Niech pan pozwoli rękopism do jutra.

— I na to zgoda! zawołał Szarski.

Wzięli więc rękopism i znikli z nim w głębi drukarni, a akademicy, dosyć smutni, powarzeni i zmęczeni, pośpieszyli do domu.

Nigdy żaden stosunek ludzi z ludźmi, trwalszy, codzienny, przechodzący w przywyknienie, stający się obyczajem i nałogiem, nie może być w ich życiu obojętnym. Jak dwa czynniki chemiczne zbliżone do siebie, koniecznie wzajem modyfikować się muszą, tak dusze ludzkie nie mogą pozostać przeciw sobie bezczynne. Jest-li co wrażliwszego nad człowieka?

W tym stosunku, słabsza istota ulega silniejszej, farbuje się jęj barwą, ale i w jęj słabości są strony niepożyte, są tajemnicze cząstki, które oddziałują na najupartszą naturę. Nie ma więc dłuższego zbliżenia się ludzi do siebie, któreby pozostało bez skutków na przyszłość, i nie wypiętnowało się na nich wy-

raziście. Śmiejmy się z tego, kto sądzi, że tak jest mocen w sobie, iż go nic pożyć, zmienić i wyszczerbić nie potrafi... Wszystko jest zaraźliwe: mądrość, głupstwo, słabość, siła, odwaga, męstwo i miłość. Wszyscy działamy i wszyscy oddziaływamy nawzajem, a w tém krzyżowaniu się strumieni woli, siła Opatrzności rozrządza każdym prądem, chwilą i czynem mimowolnym. Nie dziwujmy się, gdy ktoś z bojaźnią pogląda na zbliżanie się istoty skalanéj do czystéj, chociażby ust nie mogła otworzyć, ani się rozpościerać z zepsuciem: we wzroku, w głosie, w ruchu są jakieś niepojęte objawienia złego—a kto je nosi w sobie, ten niém tchnąć musi. Każda namiętność przebija skorupę człowieka i na wierzch wyrasta; każda myśl skryta i najskrytsza błyska w oku; każde uczucie się przebija przez usta milczące. Moralista, któryby miał cierpliwość rachuby i obserwacyi potrzebną, ściśle wzięwszy, z dwóch danych charakterów i położeń mógłby wskazać z góry konieczną kombinacyi wynikłość.

W starości ta siła zmniejsza się, bo człowiek jak żółw zamyka się pod stwardniałym puklerzem swojej przeszłości; tu już dłuższego potrzeba czasu na przyjęcie i sprawienie wpływu. Ale w dzieciństwie i młodości modyfikacye idą niezmiernie szybko i cudownie, tak, że niekiedy po latach zetknięcia, najsprzeczniejsze charaktery i fizyognomie wzajemnie coś od siebie zapożyczają. Fizyologowie uważali to dawno, że po długich latach małżeńskiego pożycia przekształcają się nawet twarze, dochodząc do jednego typu; jam nieraz się przekonał, że w dzieciach obcowanie z piastunkami tenże sam skutek wywiera.

Wybór więc towarzyszków i towarzystwa w młodości

jest niezmiernéj wagi. Zepsucie, poprawa, przekształcenie przychodzą nieznacznie, ale nieuchronnie.

Stanisław, w codzienném choć krótkim obcowaniu z młodą Izraelitką, musiał wpłynąć potężnie na rozwinięcie tego umysłu chciwego nauki, oświecenia, pełnego ciekawości nienasyconéj i otwartego wrażeniom. Każde jego słowo, chwywane, rozwijane, było tematem dla dziewczęcia, pragnącego pojąć mistrza i podlatującego duchem ku niemu. Ale nie na tém ograniczał się wpływ poety, mimowolnie oddychającego poezją przy najsuchszej pracy. Jest to w naturze człowieka, że ku wyższemu i doskonalszemu się wspina, że się w niém musi rozmiłować nareszcie—i Sara, dla której Stanisław był ideałem, pokochała go najzapamiętalszą młodą namiętnością. Wiedziała ona dobrze, że tyśiące zapór nieprzebytych, niezwykłych dzieła ją od niego; czuła, że Szarski litością chyba wypłacić się jéj może: ale nie była panią uczucia i kochać musiała. Ten człowiek był tak dalece wyższy od wszystkich, których spotykała, tak się jéj wydawał wielkim i pięknym, że dusza jéj, jak księżyc za planetą pociągnięty, musiała biedz za swym panem. Nic jednak nie wydawało tego uczucia, chyba wejrzenie długie, powłóczyście, pełne spokojnego, głębokiego jakiegoś ognia, na które Stanisław nie zwracał uwagi. Nieraz on zapatrzwszy się w śliczną twarz Izraelitki, zadumał się nad przeznaczeniem i zabołał nad jéj losem; ale prócz uroczej piękności twarzy, nic go jeszcze nie pociągało ku niéj. Sara wstydziła się mówić, dla myśli, które wyrzec mogła, i dla języka, którego wdzięk pojmując, obawiała się go skaleczyć. Oczywiście tylko i gra rysów twarzy mówiły cicho Szarskiemu to, czego on ani się domyślał, ani zrozumieć nie mógł.

W kobietach, dla których życie gwarne, jedno wrażenie nieustannie drugiem zacierą, miłość nawet nie może być tém, czém jest dla osamotnionych; kwiat to, który potrzebuje ciszy i ustroni, ażeby się w całym swym przepychu rozwinął. Na świecie, który pojał życie jako nieprzerwaną wrzawę i ocieranie się o tłumy, rzadko lub nigdy nie trafiają się gwałtowne namietności, a całkiem nieznaną jest stałość; każdy pączek nie mając czasu rozkwitnąć, opada wichrem starty. Ale w długiej ciszy i spokoju, w ustroniu z myślą i sercem zostawiony człowiek, egzaltuje się łatwo, i wszystko czém żyje, do niezwykłej podnosi potęgi. Ludzie, których spotyka, większe na nim czynią wrażenie; uczucie, którego doznaje, głębiej mu w serce wsiąka; myśl dzielniej się w nim rozsnuwa. Święci, prorocy, asceci, musieli żyć w eremach, na pustyniach, w klasztorach, bo świat nie dałby im podnieść się do wysokości, jakiej dościgli z Bogiem tylko pozostawszy i z sobą. I miłość ludzka, ziemską, na tychże się niezmiennych prawach rozwija; i ona potrzebuje do wzrostu zamknięcia, odosobnienia, eremu zbudowanego dla siebie z ciszy i rozmyślania. Pojać więc łatwo, jak Sara zupełnie sama, w tej ciemnej kamienicy ojcowskiej, w tej pustce wśród wrzawy miasta, z młodością uczucia i ognistém sercem zamknięta, rozmarzyć się musiała, całe dni, noce całe marząc tylko i kochając.

Drżała, gdy wchodził Stanisław, czuła krok jego wśród ulicznej wrzawy, tętniał dla niej po całym domu, zdawała się przeczuwać przyjście jego, a gdy główkę swą czarnym uwieńczoną warkoczem zbliżała do szyby okna, pewna była, że go przechodzącego zobaczy, tak ją już uczucie wiązało z każdym krokiem

ulubieńca. Ale w Stanisławie zimną tylko spotykała obojętność, łagodną, uprzejmą, sympatyczną, ale tak chłodną, tak chłodną! że się zdawało, jakby już nigdy serce jego dla niej poruszyć się nie mogło. Trochę ją uważał za dziecię, a bardzo, bardzo jeszcze pamiętał, że była Żydówką!

Od owego prześladowania Abramowego, starzec nie ukazał się już więcej, a kupiec i kupcowa byli podwójnie grzeczni dla Stanisława. Umieli oni przecie ocenić młodego człowieka nietylko z owoców nauki, bardzo zresztą widocznych, bo pojętna Sara niezmieranie korzystała z jego lekcyj, ale z obejścia, skromności i szlachetnego charakteru. W początkach byli niemal pogardliwi i dumni; powoli zaczęli go szanować i uważać na niego. Inaczej być nie mogło: bo dzieciom Izraela, wygnańcom rozproszonym po świecie, Bóg dał osobliwszą znajomość ludzi, o których się nieustannie w swęj pielgrzymce ocierają; a Dawid, jako handlarz ruchliwy, ciągle mając do czynienia z coraz nowemi postaciami, niepospolitym był obserwatorem charakterów. Poznał więc zaraz i ocenił wyższość Stanisława, szlachetność jego, i mimowolnie jakoś przed tym, któremu płacił, którego najlepiej znał nędzę, skłonił głowę. Natury wyższe, ludzie wybrani, każą się szanować i przymuszają nawet niechętnych do uznania swojej wyższości.

Położenie Szarskiego w tym domu zmieniło się więc powoli, może trochę wpływem Sary, która się nie tała z uwielbieniem dla nauczyciela, a więcej koniecznym trybem rzeczy ludzkich. Coraz mu tu lepiej jakoś, coraz było swobodniej; a kupiec nawet pomimo skąpstwa, które go za kieszeń trzymało, warunki umowy zmieniał na coraz korzystniejsze w obawie, by

nauczyciela nie stracił. Przydał się nawet Dawid i w literackim względzie Szarskiemu, bo drukarze, którzy wzięli rękopism jego do przejrzenia, dowiedziawszy się gdzie mieszka, pobiegli rozpytywać gospodarza o lokatora. Kupiec dał o nim, jako o preceptorze swjej córki, najpochlebniejsze świadectwo; a z kolei wybadawszy ich dla czego przyszli się doppytywać, gdy się dowiedział o rękopiśmie, mocno im zaczął doradzać jego nabycie. Wieczorem Dawid powiedział o tém przed żoną i Sarą; a nazajutrz przy lekcji, piękna Żydóweczka nie mogła wytrzymać, żeby nie spytała Stasia, czy prawdą było co o nim słyszała?

Zdziwił się w początku, zkąd o tém wiedzieć mogła, ale śmiejąc się przyznał do grzechu ochotnie.

Sara bardzo nieśmiało spytała go potém, czyby jēj nie mógł dać książek polskich? czyby nie doradził jēj co ma czytać? Szarski zdziwiony jeszcze bardziej ządaniem, spojrział w jēj czarne oczy nieruchomie spoczywające na nim, a tak błagać się go zdające, że odmówić im było niepodobna. Przyrzekł więc nie tylko książki, ale pomoc w czytaniu.

Sara zapłonila się z radości, uśmiechnęła, ale nie śmiała mu podziękować, tylko wzrokiem, który po raz pierwszy może zaniepokoił młodego człowieka, bo ten uczuł jego władzę.

— Dziecko jestem—rzekł do siebie siadłszy w swojj izdebce i nie mogąc się pozbyć tego wzroku goniącego za nim wszędzie... Dla czegoż czarne jēj oczy tak we mnie dziwnie utkwiły? Jestże to dusza, coby mnie zrozumieć mogła? jest-li to serce, coby potrafiło ukochać! I to kobieta! i to dziewczę, co w życiu sto razy musi zdradzić, ani razu wytrwać nie mogąc! O dziwne, dziwne też ze mnie dziecko! Tak łatwo lgnę

i przyrastam do wszystkich... Kto wie, możebym już, gdyby się przyszło rozstać z tém brudném domowstwem, z tą żydowską rodziną, uczuł żal po niem i po Sarze!

Roześmiał się sam z siebie; ale napróżno przypominał Adelę, odbiegał myślą, prł do głębi przeszłość... wzrok Sary cichy, głęboki, wymowny, tkwił w nim, przypominając poezję starożytnych, porównywających wejrzenie kobiety do pocisku. Ale nie wierzył jeszcze, przypuścić nie mógł, ażeby to, co czuł, mogło być ziarnkiem, z którego wyrośnie uczucie. Tłómaczył to sobie wrażliwością chorobliwą poety, przypadkiem, dziwactwem.

I siadł pod wpływem rozdrażnienia, z którego sobie nie zdawał rachunku, wyśpiewać jedną z tych pieśni tęsknych, jakich już tyle wylał na papier, mimowolnie mieszcząc w niej czarne oczy, wejrzenie, tęsknicę, milczącą i zagadkową postać Izraelitki, która mu się snuła przed oczyma.

Usnął, rzucając pióro zadumany głęboko... a zamrużywszy powieki, ujrzał się w ogrodzie w Mruczyńcach, i szedł z Adelą głęboko w cienisty ogród... Ale o dziwo! ile razy obejrzał się na nią, znajdował w jēj sukienkach uśmiechającą mu się Sarę. Napróżno czując sen we śnie, silił się gniewny odpędzić marę natrętną, przywołać całkowity obraz przeszłości... w miejscu Adeli stawiała ciągle u boku jego piękna Izraelitka, topiąc w nim czarne swe ogniste oczy.

Życie Stanisława szło tym trybem jednostajnym, którym posuwają się igielki zegara, na pozór nieruchome,

w istocie wciąż nieprzerwanemi i niedojrzanemi krokami idące dalej a dalej. Poezye jego sprzedane za wielką ową summę, o której wspomnieliśmy, poczynaly się nareszcie drukować, w znakomitej oficynie współzawodników Manesa Romma, u mitycznego Dworca. Codziennie przychodziła na strych Dawidowej kamienicy korekta najdziwniej przekształcająca myśli i słowa poety, którą niecierpliwiąc się, musiał Stanisław brać niepierwsze już lekcye wytrwania, nie mogąc podolać omyłek tysiącom, które jedne z drugich rodziły się bez ustanku.

Rosła też powoli maluczka sława pisarza w kole jeszcze ciasnym, od towarzyszy jego rozchodząc się dalej po mieście i już nawet poczynając ludziom zawadzać. Najprzód poezye drukowane w Noworoczniku, teraz mające wyjść osobno w większym zbioru, już go znajomym czyniły; zbliżano się do niego ciekawie, patrzano mu w oczy z owym zdumieniem, z jakim przyglądają się dziwnemu zwierzątku lub fenomenalnie monstrualnej roślinie.

Nieraz pod takim wejrzeniem rumienił się młody człowiek i cierpiał, czując w nim więcej ciekawości, zdziwienia, niż współczucia. Po większej części spotykano go szyderskim pół-uśmiechem, jak kogoś na przykład, coby cierpiał lekkie pomieszanie lub chorował na jakie dziwactwo. Nikt nie oceniał tej odwagi, z jaką się rzucał na drogę pełną cierni, za całą nagrodę przedstawiającą w końcu trochę rozgłosu dla imienia, wiele ofiar nieustannych i obojętność powszechną i lekceważenie zasługi. Każdy, jak na ból zębów lekarstwo, miał jakąś radę w kieszeni dla przyszłego literata: ten gotowy temat do poematu, ów ideę do powieści, trzeci plan potężnego dzieła, które

samo tylko było potrzebne i jedno wsławić go mogło... tamten wskazywał coś koniecznie do naśladowania, drugi zastrzegał czego powinien unikać, a każdemu się zdawało, że on tylko na prawą drogę naprowadzić potrafi.

Jednego poranku Szcerba zdyszany wpadł do stancji przyjaciela, i kazał mu się co najrychlej ubierać; miał twarz rozpromienioną, zacierał dłonie.

— Ale czegoż chcesz odemnie Pawle? zapytał zrywając się niespokojny Stanisław.

— Przynoszę ci wielce zagadkowe, ale mogące być korzystnym żądanie księcia Jana...

Szarski się mocno zarumienił, przypomniawszy to imię, które mu rzucił Hipolit, na widok młodego mężczyzny siedzącego w powozie z Adela.

— Czegoż on chce odemnie? rzekł Stanisław dość niechętnie.

— Ot... nie wiem doprawdy... odparł Szcerba po namyśle. Wczoraj tylko przysyłał kogoś, sądząc, że jeszcze stoisz z nami, i żąda się widzieć z tobą... Naznaczył ci godzinę ranną, ubieraj się więc i idź do niego.

Szarski głęboko namyślać się począł, ale w końcu postanowił pójść, i dowiedziawszy się o mieszkaniu księcia Jana, posunął się śpiesznie ulicą Zamkową, pożegnawszy u bramy pocziwego Pawła, który już roił sobie, że to spotkanie jakieś szczęśliwe skutki dla młodego Szarskiego pociągnąć za sobą może.

Księżę Jan mieszkał w ładnej kamieniczce, którą sam całą zajmował; należał bowiem do kwiatu arystokracji i najlepszego towarzystwa i żył stosownie do społecznego swego stanowiska. Sierota, wychowany przez opiekunów, ale ze staraniem największym, bo

i w kraju mu nie szczędzono nauczycieli, i za granicę wyprawiono po dokończeniu domowego wychowania, — nie był on ani gorszy, ani lepszy od sobie równych. Serce nawet miał dość dobre, chęci dość pocziwe, ale głowę niewielką; a że wzrósł wśród świata, który jeśli nie zabija talentu, to z trudnością mierne zdolności różniąc może, stał się podobny do tysiąca swoich rówieśników, na jedną uprzywilejowaną formę odlanych. Wielki zwolennik konwenansów i prawideł życia towarzyskiego, skrupulatny zachowywacz wszelkiej przyjętej formy, urządził sobie życie wedle wzoru pospolitego i wiódł je trybem wszystkich bogatych, nie pragnąc nic więcej, nie czując żadnej potrzeby, żadnego w nim braku i próżni. Gwałtownych namiętności nie miał, lubił się bawić, śmiać, próżnować, stroić, umizgać, dobrze jeść, czasem sobie trochę podchmieleć, zagrać w karty, a nadewszystko niczem się nie kłopotać i nie pracować!

Domek jego mógł służyć za wzór dobrego smaku i elegancji, tak jak ekwipaż i ubranie, które zawsze najświeższą było modą i najpokaźniejsze w mieście. Żył po kawalersku, ale wieczorki jego, herbatki, wist, kolacyjki niezmiernie bywały tłumne. Zresztą, jak się domyślić można z tych kilku słów charakterystyki, książkę Jan niczem się szczególniejszemu nie odznaczał, owszem zdawał ubiegać się o to, żeby utonąć i zniknąć w eleganckim tłumie, a oczu na siebie nie zwracać.

Ciężko było Szarskiemu przechodzić przez ręce, wzroki i szept przedpokojów, których służba daleko bardziej pańską miała minę od niego... a chwila oczekiwania w antykamerze, w saloniku, zdała mu się całym wiekiem. Nareszcie lokaj drzwi otworzył, i Stanisław wpuszczony został do pokojów lśniących naj-

wytworniejszymi sprzętami. Musiał je przejść wszystkie aż do sypialni księcia, w której go zastał w szlafroku jeszcze, w złocistej jakiejś wschodniej czapeczce, z cygarem w ustach i francuzką jakąś książką, otoczonego mnóstwem piesków, cacek, fraszek, fotelików, kozetek, elegancji, wśród których biedny student ledwie obrócić się umiał. Książkę grzecznie wcale powstał na jego przyjęcie, przysunął mu fotel, ale zdawał się nieco zakłopotany, od czego ma zacząć rozmowę.

— Przepraszam — rzekł nareszcie — żem pana dobrodziejka trudził. Potrzebowałem uprosić kogoś o pracę pół-literacką, na wpół-historyczną; a że mi bardzo wiele o panu mówiono dobrego, a imię jego mnie uderzyło, bo mi nie jest obce... ośmieliłem się wezwać go...

Stanisław się skłonił.

— Prawdziwie, nie wiem jak mam się panu wytłumażyć z tego, czegobym po nim żądał... Chciałbym mieć historię rodziny mojej — dodał ciszej.

Szarski cały zarumieniony, podniósł oczy.

— Rodzina ta — mówił coraz żywiej, ale tonem bardzo łagodnym książkę Jan — jak się o tym z kronik, herbarzy i familijnych archiwów przekonać można, zajmowała dosyć ważne w dziejach krajowych stanowisko... mieliśmy wielu znakomitych ludzi. Czybyś pan się nie podjął mi napisać krótkiego rysu historyczno-genealogicznego... a stracił czasu, jakaby to spowodować mogło dla niego, starałbym się o ile możliwości mojej wynagrodzić.

— Mości książkę — odparł po chwili namysłu ośmielając się Stanisław — dotąd nie byłem nigdy najemnikiem piszącym za pieniądze co kto rozkaże, i nie pojmuję, żeby tak pióro swoje sprzedawać było można. Jestem

ubogi, nie taję się, że uczę za lichą zapłatę, ale co innego zdaje mi się jest sprzedąć godzinę swego czasu, a co innego pióro najmować.

Książę niezmiernie się zmieszał.

— Co większa — kończył Szarski — przedsięwzięcie tego rodzaju jedną jeszcze dla mnie nieprzełamaną przedstawia trudność. Podjąwszy się tego historycznego rysu dla familii, musiałbym go uczynić panegiryskiem, wyrzec się prawdy i przekonania mojego, myśląc tylko jak w najpowabniejszym świetle wystawić przeszłość, która nie zawsze może być piękna i godna pochwały, choć wyjątkowo bohaterską być mogła.

Odpowiedź ta może była zbyt ostra, to też książę Jan uczuł się nią żywo dotkniętym, i mimo nałogowej łagodności swojej, zarumieniony cały, zaciął usta, okazując się widocznie obrażonym.

— Przepraszam pana — rzekł — nie zdało mi się to ani dziwnem, ani uwłaczającym dla niego... Łatwo pojąć, że ja przeszłość rodziny mojej widzę właśnie w tém świetle, w którym, jak pan powiadasz, malować ją musiał, dla mnie się ona inną wydawać nie może. Zresztą napisać historię rodziny można i bez panegirysku; ale widzę, żebyśmy się o to porozumieć nie potrafili.

Wstał z krzesła, Szarski pośpiesznie opuścił miejsce swoje, i tak się rozstali szybko; ale książę pożegnał niespokojny akademika, bojąc się, by ta próba spełzła na niczem, rozgłoszona, nie naraziła go na śmieszność. Stanisław jednak słowa o tém nie rzekł nikomu, czując się obowiązany do milczenia, jak się czuł w konieczności nieprzyjęcia propozycji, której podjąć się nie dało sumienie.

W parę dni potem koło Kardynalii spotyka Bazy-

lewicza, który leci z ogromną furą ksiąg pod pachą, niezmiernie niby zajęty i roztargniony wedle zwyczaju, z głową zadartą, ustami wydętymi, oczyma do góry. Raczył jakoś zobaczyć Szarskiego i zatrzymać się, mimo pośpiechu, z jakim leciał.

— A! to ty mój przetkliwy poetol rzekł. Cóż? słysz, że już drukujesz sam jeden?

— Powoli, po trosze...

— A ja! cha! cha!... nie wiesz awantury! — zawołał poczynając śmiać się sucho i dziwnie przymuszonym głosem. — Wystaw sobie, jaka mi się doskonała trafiła gratka. Książę Jan... zażądał mieć rys genealogiczno-historyczno-apologetyczny swój godnej rodziny... wezwał więc mnie i pióro moje, abyśmy mu wypracowali panegirysk, który książę kosztem swoim drukować będzie... A! a! cóż mi to szkodzi, że głupi! Biorę za to tysiąc złotych, a takich mu nafunduję panegirysków, że się niemi nakarmi na całe życie i stanie ich nawet dla potomków jego.

— Ale mój drogi — rzekł Stanisław — będziesz więc pisał przeciwko prawdzie, przeciw przekonaniu twojemu, przeciw dziejom, a pozwól sobie szczerzej powiedzieć, przeciw sumieniu.

— Dzieciństwo! odparł Bazylewicz. Któż nie wie, że książę sam dyktuje mi co mam pisać?... Zresztą, korzystam z jego próżności, i sam się pierwszy z dudka śmieję.

— Ale czyż się to godzi? czy się godzi? wykrzyknął Szarski.

— Och! purytaninie! a jakżeby inaczej potrafił wyciągnąć z jego kieszeni te błogosławione tysiąc złotych?

— Ale gdyby nie tysiąc, gdyby sto tysięcy — obu-

rzył się akademik — przeciębym się na sprzedajnego chwalcę nie najął.

— A najmujesz gębę, dając lekye! sprzedajesz czas swój Żydom! niby to co innego?

— Czystsze to — rzekł Stanisław — praca, czas, nauka moja sprzedana za chleba kawałek, ale nie przekonanie i prawda! Wiesz, że cię w tém nie poznaje! dodał smutnie.

— A ja ci przypowiadam fanatyku, że będziesz chodził bez bótów—odparł Bazylewicz ruszając ramionami.— Cha! cha! Żebyś był wiedział jeszcze, jak mu podbijałem bębenka, jakem go przedziwnie wywodził w pole, aż mi się... wypowiadał ze wszystkich arystokratycznych swych pojęć, i dał poznać ducha, w jakim mam mu napisać historję jego domu. Komedia to była! powiadam ci, najprzedziwniejsza scena do dramatu lub romansu... Kiedyś to umieszczę w pamiętnikach moich.

— Na Boga! zawołał Staś: ale ty to bierzesz tak lekko, tak jakoś dziwnie, że ja tego pojąć nie mogę.

— I nigdy nie pojmiesz, rzekł dumnie Bazylewicz. Tyś jeden z tych ludzi, którym pozostaje tylko chyba osiąść w klasztorze, bo na świecie, gdzie nie tyle potrzeba talentu, co umiejętności rządzenia się, nie potrafisz sobie dać rady. Bywaj zdrow! Idę do biblioteki oddać Niesieckiego, a wziąć w zamian Strykowskiego i Bielskiego. Trafłem też szczęśliwie na kilka starych kazań pogrzebowych, któremi moich książąt maluję jak chcę; za tydzień robota będzie gotowa... i tysiąc złotych w kieszeni!! To coś warto!... Nie nie robi kto z głupstw ludzkich korzystać nie umie!

To mówiąc, świsnął, rozśmiał się i odszedł.

Ukazały się nareszcie i poezye Stanisława, na których wielkie pokładał nadzieje, dopóki nie przeczytał ich jednym tchem po wydrukowaniu, pojąc się tém dziwném wrażeniem, jakie czyni na każdym początkującym widok własnej myśli w téj nowój szacie. Czy to, że się znużył poprawianiem nieznośnej korekty, czy że w istocie ideałowi poety nigdy to, co stwarza, wystarczyć i zrównać nie potrafi—dość, że Stanisław dopiero teraz z rozpaczą poczuł, iż te młodzieńcze kwiatki nie miały owój woni, barwy i mocy, jaką w nich niegdyś upatrywał. Spuścił głowę smutnie, i oczekiwał wyroku.

Gdzie się pokazał, mówiono mu o jego poezyach, bo w tym czasie Wilno nie tylko czytało wiele, ale się zajmowało silnie każdym nowo wychodzącém dziełem... Młodzi i starzy rozbierali, komentowali, krytykowali, trawestowali, szydzili, ale w tém wszystkiém, nawet w gwałtownej opozycji, były dowody życia.

Powtarzano co chwila biednemu poecie, co ktoś o nim gdzieś powiedział, co znaleziono w tym wierszu, czego zdawało się braknąć w drugim; ale niestety! te krytyki, zebrane w jedno, zupełnie przypominały bajkę Lafontain'a o młynarzu, synu jego i osle. Nie podobało się jednemu co chwalał drugi, krytykował ktoś ustęp, za najlepszy uważany przez innych. Stanowisko każdego sędziego odbijało doskonale jego usposobienie, wiek, wykształcenie, i służyło raczej do poznawania indywiduów, niżeli do objaśnienia o wartości utworu... Kobiety chwaliły co płakało, wzdychało i przemawiało do serca rzewnością, lub dźwięczało muzyką słowa, której często dosyć, by poezya chwyciła za serce przez uszy; ale jeśli z piersi rozdartej dobył się sarkazm, szyderstwo, boleść, co

zapomina, że jej słuchać mogą... silnie, potężnie, gorąco... odwracały się główki z przestachem, i zdawały się nie pojmować stanu duszy, który ten wykrzyk straszliwy malował. Dla jednych z nich brakło poezjom tym formy potężniejszej i przystępnej, dla drugich, co lubiły tylko to czego nie rozumiały, śpiewy były za jasne jeszcze i płynęły zbyt poziomo.

Młodzież powtarzała ułamki, dobierając je każdy do barwy swój duszy... wesela, smutku, zadumy. W ogólności, jako tłumacz uczuć właściwych temu wiekowi, Stanisław silniej przemawiał do niej niż do innych. Starzy niecierpliwiili się nieustannie w tych pieśniach powracającą miłością, rozczeniem, rozpaczą, wreszcie formą swobodną, do której ich dawny klasycyzm nie przyzwyczał.

Szaleni znowu ekscentrycy, którzy przyłgnęli do szkoły romantyczną jeszcze zwaną naówczas, dla których charakter stanowiła dopiero przesada, a karykatura była siłą, mieli to za mdłe, co było prawdziwe, bo niewyszukane i proste. Olbrzymy tych ludzi musiały występować na szczudłach; nie pojmowali wielkiej myśli w maluczkim słowie.

Bazylewicz raz, wsiadłszy na Goethego pogadankę o poezji „szpitalnej“, wciąż jeździł na niej i wywijał gdzie mógł swoim conceptem, zarzucając Szarskiemu płaczliwy egotyzm i byronowstwo. Wedle niego winien był, że rana jego tak czerwoną, tak rumianą krwią płynęła, jak inne rany; czemu nie zieloną?

Nie mówię już o Iglickim, któremu książka nowa, nieprotegowana przez nikogo, bezbronna, młoda, była najsmaczniejszym kąskiem. Ostrzył na nią zęby od dawna, i jeszcze mokrą przerzuciwszy za ledwie, złapałszy w niej kilka urywkowych myśli, które wy-

szarpnięte z całości dziwnie się w istocie wydawały,— zabójczą rozpoczął recenzję, w której szyderstwa, conceptu i pogardy nie szczędził. Zawsze skryty nieprzyjaciół nowej szkoły, która mu wydarła nadzieję laurów obfitszych i osadziła na kulawym stołku krytyki, mścił się na tej biednej książeczce za wszystko co ucierpiał od tych, których ona głosu była odbiciem lub przedłużeniem.

A że mu się Stanisław nie przyszedł pokłonić, że nie szukał jego protekcji, więc tém nielitościwiej postanowił się znęcać nad biedakiem, którego pewien był, że się nikt bronić nie ośmieli.

Obok tych krytyk stawały jeszcze inne czysto osobistymi powodami wywołane: jednym nie podobały się poezye dla tego, że autor ich był zbyt młodym; drugim dla tego, że się im nie kłaniał; innym, że u nich nie bywał; innym jeszcze, że się im zdało, jakoby był zarozumiałym, bo się przed cudzém zdaniem nigdy nie kłaniał, nie spojrzawszy wprzód, czy ono pokłonu było warte.

Ale niczém to jeszcze było obok pochwał! Kiedy nie pojmując go wcale, ale uczuwszy głęboko obraz, myśl, bicie serca w tej poezji młodzieńczej, chwaliła go kobieta szczerze i serdecznie, pochwała taka brzmiała najdroższą dla niego nagrodą, choć często wysławić się nie umiała, zdać sobie sprawy nie mogła; ale gdy ten i ów na wiatr przekreśliwszy myśl, schwyciwszy coś najmniej uderzającego, poczynął się unosić, dodając do swych uwielbień komentaryusze dowodzące, że na niczém nie były oparte... gdy ktoś tak chwalił, z takiej strony szukał piękna, z której dopatrzeć go było niepodobna, o! srogie to były bicz takie pochwały i oklaski!

Komuż się nie zdarzyło być tak chwalonym, że wolałby pewnie najzjadliwsze ukąszenie wycierpieć, niż taki policzek uwielbienia? Staś znosił to wszystko milczący, ale mu się w głowie mieszało, i najpierwszym skutkiem sprzecznych zdań było wyrobione przekonanie, że głos wywnętrzny i własny kierunek najlepiej poprowadzić go może, a po nim, raczej krytyka uprzedzona, zjadliwa, chłoszcząca, niżeli apologie i panegiryki, które nic nauczyć nie mogą.

Ukazanie się artykułu krytyki w gazecie dowiodło znów młodemu pisarzowi, jak potężny wpływ drukowane głupstwo wywiera na słabe umysły. Wszyscy wiedzieli o pochodzeniu recenzji z butelki porturu wyczerpniętej, a żółcią starego pedagoga zaprawnej—nikt go nie szanował,—przecież gdy z dowcipem wystąpił, gdy nałajał czarno na białem, a głośno i odważnie, zrobiło to widocznie potężną zmianę nawet w najprzyjaźniejszych dla Stanisława. Po cichu najprzywiązańsi Szarskiego szeptali sobie, że Iglicki ma wiele dowcipu, a może nawet niekiedy trochę słuszności w swém zdaniu! Nie mówię już o niechętnych, dla których recenzja była naturalnie najmiłym przysmakiem.

Szarski zgryzł się tęp niezmiernie, przebolał, zwłaszcza że doskonale pojmował, iż krytyka ostrzejsza może, ale daleko sprawiedliwszą być mogła, bijąc sumiennie a poważnie w usterki istotne, a nie czepiając się dzieciństwa, słówek, i nie igrając jak poliszynel z łopatką.

Zmartwiły go także twarze ludzi, z których każdy spotykając, klął go tą głupią recenzją, choć niby oburzał się na nią. W każdych ona była ustach, w każdym oku, rozminąć się z nią nie mógł nigdzie. Jedni

doradzali mu odpisać, drudzy życzyli milczeć, i byłby się ostatniego chwycił poeta, gdyby nie tok cały krytyki pełnej przykrych osobistości. Zdawało się młodemu, że choć młody, nie w swojej tylko sprawie, ale w interesie powszechnym powinien się być ująć o godność i kapłaństwo powołania krytyków, że obowiązany był wskazać jaką krytyka być powinna, aby dościgła swojego celu. Siadł więc pisać, a że z gorącym uczuciem schwyił za pióro i żywa boleść dostarczała mu wyrazów, łatwo napisał wielce wymowny, wzniosły i piękny artykuł, który nie namyślając się, posłał do gazety.

Ani się domyślał biedny, że i tu sumienie niewielką grało rolę, a główną własny interes, bo redaktor szacując pomoc starego Iglickiego, który mu nadsyłał swe recenzje interesujące, bo żółci i szyderstwa pełne i klasę jakąś czytelników zajmujące, nie mógł umieścić odpowiedzi, aby nie obrazić krytyka! Nie przeczuwał także, iż ton jego rozprawki wyższy był o tyle od pospolitych w tym rodzaju wyrobów, iżby je wszystkie zabił swoim niebezpiecznym sąsiedztwem.

Wyrzuty dotyczyły w ostatku nietylko Iglickiego, ale mnóstwo kollaboratorów gazety i samego jój wydawcę; wyprowadzały na scenę sumienie, osobę zupełnie dotąd nieznaną i prawa obywatelstwa w literaturze nie mającą; słowem, był to wybuch młodzieńczy, który wywoławszy uśmiech, musiał pójść pod stół do kosza kopert i śmieci.

Napróżno Szarski wyglądał druku, chwycił przychodzące numera, szukał w nich swój odpowiedzi. Długo milczał redaktor, aż nareszcie w kilku zimnych słowach oznajmić raczył, że dla przyczyn od redakcyi

niezawisłych, artykuł z podpisem S. S. drukowanym być nie może.

Potrzeba się było poddać, zamilczeć, i zwiesiwszy głowę, uleść chłóście, przeciw której nie było ratunku, nie wolno było podnieść nawet głosu. Walczył z sobą zniechęcony Szarski, myśląc z razu nie tknąć pióra; ale biada temu! biada! kto raz zwał się atramentem i napił się z tego naczynka słodkiej trucizny! Staje się on jak owi nałogowi pijacy opium, niewolnikiem czarnego płynu, i kąpać się w nim będzie całe życie. Myśl mu się nie przestanie napierać wyjść tą drogą, którą już chodzić przywykła; tłumaczyć się potrafi przed sobą, że pisze *sobie gwoździ*, ale potem skorci przecie z drugimi się tą strawą przełamać.

Recenzya, narobiwszy wiele hałasu i wiele zaszko-dziwszy poecie, który uczuł na swój skroni pierwsze kolce cierniowego wieńca, poleciała z ulotną kartką w morze zapomnienia, a poezye tymczasem krążyły, rozchodziły się i zyskiwały coraz więcej czytelników. Z początkowych wrażeń trochę zmieszanych, niewyraźnych, tłumnych, poczęła się tworzyć opinia jakaś jednostajniejsza, pośrednia; a ci, co się zawsze żywią tylko cudzém i gotowém, roznosili ją po świecie. Nie była ona zbyt surową, owszem przyznawano talent poecie i uczucia wiele; ale że najłatwiej czémś osłabić pochwałę, dodawano, że młody, że to jeszcze śpiew pisklęcia, że to pieśń, jaką nóci każdy zakochany jeśli nie usty to sercem, że potrzeba czekać drugiej pracy, by osądzić, czy się czegoś po nim spodziewać można.

— Mój drogi, rzekł mu przeczytawszy ów tomik poezyj professor Hipolit: mogą ci zareczyć, że kilka razy wśród czytania łzy mi się zakręciły w oczach, że uczułem żywsze serca bicie i powrócił do książki

z przyjemnością. Po tych znakach mogą ci śmiało prorokować powodzenie i powitać talent w tobie! Ale pamiętaj, że dopiero praca, życie, cierpienie, doświadczenie askrzydla i do dojrzałości prowadzi talent, który Bóg daje ziarnkiem małym,—a kto ziarno wypielegnuje, temu tylko ono zakwita! A zatem dalej, mój młody bracie, dalej, a śmiało! Nie oglądaj się na sroki, co krzyczą siedząc na płocie, gdy idziesz z plugiem w pole; cóżby sroki robiły, gdyby nie krzyczały?

Wśród pracy naukowej i téj, którą sam jeszcze narzucał sobie Stanisław, żył on z troską nieustanną o 'chleb powszedni, a ta ciężkiem była mu brzemieniem. Lekcje jego zaledwie z największą oszczędnością wystarczyć mogły na najuboższe życie, a innych potrzeb zaspakajać nie myślał nawet, boby im nie podołał. Stary mundurzyna służył mu jeszcze, z najtroskliwszą pielęgnowaną bacznością na łokcie i poły, zdejmowany zaraz po powrocie do domu, a pomimo tego co dzień wyglądający groźniej. Musiał sam sobie posługiwać i szczerbić niezmiernie, co nużyło go, wymagając nieustanną o każdy krok baczności. Pomimo tego jednak, codzień było ciężej, codzień trudniej, w miarę jak ubywało tego, co jeszcze z dawnych zachował był zapasów. Szcherba wprawdzie nie spuszczał go z oka i dzielił się z nim wszystkiem, ale niełatwą to było rzeczą wymódz na Szarskim, żeby co przyjął od kogo. Nieraz wstrzymywał się od odwiedzania towarzyszy dla tego, że u nich obiad, herbata lub wieczerza w téj porze przypaść mogła.

Życie szło w ten sposób niewidocznymi wciąż okupowane ofiarami. Z rana obchodził się samą bułką na śniadanie, na obiad najczęściej pił tylko kawy szklankę, lub gdy był bardzo głodny, szedł do jednej z najnudniejszych akademickich traktyerni nie na cały obiad, ale tylko kawałek mięsa kupując dla zagłuszenia nieznośnego już głodu; wieczorem pił czasem gdzie herbatę u towarzyszków w gościnie lub obchodził się bez niej, jeżeli siedział w domu. Mrokiem sam ze dzbankiem wychodził po wodę, bo w domu niktby mu darmo posłużyć nie chciał, a płacić nie było z czego. Okryty płaszczykiem, zapięty, zręcz nie przemykał się ulicą i powracał, tak się już wyczyszczywszy ekwilibrycznego trzymania dzбанка pełnego, że kropli wody nie rozlał. Ale przy tak nędznym utrzymaniu w końcu i sił już braknąć poczynano; czuł się coraz słabszym, chudnął, kaszlał, częsty ból głowy całe dni trzymał go w izdebce, i niktby już dziś w nim nie poznał owego rumianego chłopca, którego w szkołach zwano *Piwonią*. W miłczeniu, bez słowa skargi, znosił i brak zdrowia, i ucisk w pierwszych potrzebach życia, a gdy troskliwy Szczerba doppytywał go lub litował się nad nim, przybierał minę wesołą i nadrabiał żarcikami w niedostatku.

Innym, najuboższym nawet, jakoś lepiej się wiodło i lżej im szło życie; przyjaciele, staranie własne, dawały lekki zarobek, znajdowały się pomoce i posiłki niespodziane: Stanisław nadto był poetą, zbyt hardym, nieśmiałym, a w końcu niedbającym o siebie, żeby na coś podobnego polował i potrafił pochwycić. Ubiegał go kto chciał. Nigdy nie przywykł był do zbytku, domowy niedostatek i skąpstwo ojca przygotowały go do znoszenia téj nędzy; niekiedy uśmiechał się z niej

jakoś smutnie, a obiecując trochę polepszenia w przyszłości, dni upływające uważając za zbyt krótkie, zbyt zajęte, o ich upiększenie nie chciał się troskać zbytecznie.

W jego pustej izdebce dziwne tymczasem poczęły się dziać rzeczy. Jakaś niewidzialna ręka zdawała się bojaźliwie, ale ciągle przychodzić w pomoc jego niedostatkowi. Wyręczano go w pracy, znajdował powracając po kilkogodzinnej niebytności w domu, umiecioną podłogę, dzbanek swój wodą napełniony, poskładane nieco, niezbyt wyrażnie, ale z pewnym staraniem ubogie rzeczy swoje. Zdziwiło go to i nastraszyło, gdyż na klucz zamykał pokój gdy odchodził, i nie dopatrzył dotąd, by kto na strych zaglądał, a jednak widoczna była w tém wszystkiém ręka ludzka wiedzona uczuciem litości. Czyniono to ostrożnie, z myślą, żeby się nie dać wyszpiegować, tak, żeby Stanisław mógł z razu nie postrzedz nawet otaczającej go troskliwości, choć codziennie stawała się ona śmielszą i widoczniejszą. W początku znajdując wodę w dzbanie, roztargniony sądził, że ją sam musiał przynieść, pomawiał się o nieuwagę i niepamięć, a przekonawszy się, że tak być nie mogło, przestraszył się i zaniepokoił. Wśród porozrzucanych książek, tu i owdzie, jakby przez zapomnienie, pokładzone drobne pieniądze, i to go najbardziej przeraziło, gdyż nie mógł ani na chwilę powątpiewać, że je tam ktoś podrzucił umyślnie.

To wmieszanie się w jego życie nieznajomój choć przyjaznej ręki opatrnej, napełniło go trwogą, niepokojem, zamyśleniem; nie wiedział co począć, radzić się nie chciał nikogo, wydać z tém wstydził, a przy-

mować darów tych nie mógł i czuł, że nie był powinien.

Jedna Sara mogła być sprawczynią tego tajemniczego a nieustannego opiekuństwa, i Stanisław zgadywał w tém ją lub któregoś z towarzyszków; próbował nawet szpiegować, ale mu się to nie wiodło. Zasiadał na strychu, zaczajał się na schodach, i nie dopatrzył nikogo. W końcu zaczynało go to już niecierpliwieć. Któż mógł w tym żydowskim domu zajmować się tak jego losem i litować nad położeniem: potrzeba było dosłedzić, musiał się nareszcie przekonać.

Cały więc jeden dzień, prócz na lekcję do Sary, na krok nie wychodził z domu, wrócił do siebie o zmroku, stukając i kaszląc umyślnie wysunął się przez bramę na ulicę, a gdy się zupełnie ściemniło, powrócił potajemnie, przekradając się ku swęj izdebce, i u wnijścia jęj się zakradł, oczekując kto nadejdzie. Serce mu biło trochę wdzięcznością, trochę gniewem jakimś, ale długo, długo stał nie doczekawszy się nikogo. Nareszcie szelest sukni kobiecej na schodach szybki chód dał się słyszeć; biała postać przesłiznęła się ku drzwiczkom poddasza, otworzyła je. W blasku światła, które padło na wchodzącą z wnętrza izdebki, Stanisław poznał łatwo Sarę, która dźwigała dzban wody; ale nim się namyślił co miał począć, Izraelitka wyszła z jego izdebki, unosząc z sobą dzbanek próżny, i przebiegłszy mimo zdumionego studenta, spuściła się śpiesznie po ciasnych schodkach wiodących na strychy.

Wszystko więc co znajdował w izdebce, niewątpliwie jęj było dziełem. Łzy puściły mu się z oczu, serce zabiło, schwycił twarz w dłonie, i długo, długo

tak pozostawał nieruchomy. Ten cichy uczynek miłosierdzia w nowym blasku ukazał mu dziewczę, które dotąd widział tylko jako piękną, ale prawie bezduszną istotę. Pod tą chłodną powierzchownością powolnego i rozpieszczonego dziecięcia biło więc serce dziewczęcy żywymi ruchy, uczuciem tém droższém, że tajoném i wystarczającém sobie, bo unikającém oczu ludzkich. Staś zadrzał na myśl, że te wycieczki Sary mogły być łatwo wyszpiewywane, wytłómaczone najfałszywiej i zrzucone na niego. Krew oblała mu twarz.

Nie było sposobu: musiał więc z tego domu, z cichęj izdebki, od kątki, do którego już przywykł uciekać,—i żał mu się zrobiło wszystkiego, co miał porzucić; a choć w tém niewidoczną była Sara, stała jednak na przedzie ze swemi czarnemi oczyma.

Szarski poruszony, wybiegł z kryjówki swojej i puścił się ulicami, chcąc obmyślić co miał począć; potrzebował zwierzyć się komuś, a obawiał, czując i konieczność tego kroku i wstręt do obnażania uczuć, których dotknięcie chłodném okiem najprzyjaźniejszego nawet człowieka, bolesném być musiało dla niego. Szyderstwo, ta plaga wieku, która mało w jakiej duszy kątku się nie gnieździ, mogło go zadrasnąć nielitościwie; nie był pewien, żeby nawet Szczerba nie uśmiechnął się z téj cichęj, niewinnej izraelskiego dziewczęcia miłości, którą on w tak poetyczném i idealném widział świetle.

Co było począć? co począć z sobą?

W pierwszej chwili chciał uciec, wynosić się, usunąć; ale jak potem zaradzić niedostatkowi, który go ścigał? i gdzie się podziać?

Zresztą godziło się zasmucać pocziwe, niewinne serce, które nad nim miało trochę litości?

Z temi myślami blakając się długo po ulicach, Staś nareszcie machinalnie powrócił na Niemiecką, i wszedł do swój izdebki, która nie wiem czemu wydała mu się teraz jaśniejszą, weselszą, wygodniejszą niż kiedy. U progu stał ów pełny dzbanek, tak szybko zamieniony przez Sarę, a obok niego leżało trochę owoców, jakby przypadkiem rozspanych na podłodze.

— Biedna Sara! rzekł Stanisław w duchu: zkąd na nią spłynął ten promień boży uczucia litości, tak skapo udzielony innym jój braciom? w co się obróci jój życie, w którym nie znajdzie w koło siebie nikogo, coby ją pojąć potrafił? nikogo coby ją ocenił? Biedna Sara! biedna Sara!

I te słowa powtarzając, Staś usnął w najdziwniejszych marzeniach.

Nazajutrz rano, kiedy przypominając sobie wczorajsze wypadki i myśli swoje, wstawał Staś spoglądając na ten dzbanek, ku któremu teraz nieustannie oczy się jego zwracały, powoli otworzyły się drzwi izdebki, i niespodzianie wcale krzywa i nieforemna postać Falszewicza, z czerwonym nosem, pokazała się w wązkim otworze.

Z przestachem jakimś i podziwieniem poglądał w milczeniu pedagog na nędzne sędzica mieszkanie, na dobrowolne to zakopanie się na strychu u Żyda, i nie mogąc pojąć ani powodów takiego poświęcenia, ani wytrwałości młodego człowieka, cały zmieszany, szukał napróżno, jakby to sobie wytłómaczyć?

— A! Falszewicz! zakrzyknął rzucając się ku nie-

mu Szarski. Jak mi się pan miewasz? Jakżem rad, że widzę pana!

Falszewicz wszedł powoli, wciąż się oglądając zdumiony; zaledwie mógł przemówić, tak go wszystko co widział dziwiło; ruszał tylko ramionami i krążył w koło oczyma.

— Panie! panie! i pan się tu nie boisz żyć pomiędzy tymi nieprzyjaciołmi krwi chrześcijańskiej? Wszak pana na Wielkanoc zarznąć mogą! A! czy to ja tak spodziewałem się znaleźć pana!

I padł na krzesło, ocierając pot z czoła.

Staś się rozśmiał.

— Widzisz—rzekł—że żyję zdrów i cały...

— Aleś zmizerniał!

— Mój panie, odparł Szarski; może to i z głodu, bo ci się przyznam, że czasami... czasami nie miewam do zbytku.

I uśmiechnął się boleśnie.

Falszewicz usta otworzył przestraszony.

— Możeż to być? nie mieć co jeść ani pić! wyrzekł z westchnieniem wieśniaka, który nie pojmuje do tego stopnia posuniętego niedostatku.

— O! pić zawsze jest co! odparł Szarski z uśmiechem: na to woda, a pod Św. Janem jój nie zabraknie... Widzisz mnie pan nawet w tak smutném położeniu, że nie mogę cię przyjąć jakbym chciał, bo groźna przy duszy nie mam.

— Proszę! proszę! zawołał preceptor: to dziwna rzecz... a u nas mówili, że pan za jakies dzieło swoje ogromne wziąć miałeś pieniądze!

— Prawda! ogromne! zaśmiał się Szarski. A! nie mówmy o tém lepiej. Powiedz mi raczej, kochany panie, powiedz co się tam dzieje z ojcem i matką, brać-

mi moimi i siostrami? Ja tak spragniony jestem wiadomości o nich wszystkich!

— Nic się tam nie zmieniło, rzekł powoli a wciąż opatrując izdebkę Falszewicz. Ale jak tu pan żyć możesz?

— Mówże mi o domu.

— Sędzia od listu pańskiego ponury, smutny, zgryźliwy, kiedy mnie nawet, co mam niby u niego łaskę, dwa razy na starą nie poprosił.

— A o mnie?

— Ani wzmianki! Jejmość oczy wypłakuje po kątach, ale także odezwać się nie śmie; a z dzieci jak które przypadkiem imię pańskie wymówi, spojrz tylko sędzia po swojemu, toby się pod ziemię schowało ze strachu! i cicho! Jednakże kiedy wyjeżdżał do Wilna...

— Wspomniał o mnie! z uniesieniem zawołał Stanisław: mów! mów! drogi Falszewicz!

— Nie po imieniu, nie; odprowadził mnie sędzia aż do ogrodu, żeby nas nikt nie posłyszał, i w uliczce grabowej powiedział po cichu:

„Jezelibyś go zobaczył (nie chciał wymówić imienia), jeśliby się spytał o nas, powtórz mu co ci powiadam, że jeszcze przebaczyć mogę, ale nie inaczej, chyba się podda władzy mojej, przeciw której powstał, niech wróci na medycynę lub przyjedzie tu i ukończy się.“

— A lata życia stracone! zawołał Stanisław; a ofiary! a cierpienie!

— Właśnie, i ja te lata odważyłem się sędziemu przypomnieć... nie pierwszy już rok pan chodzisz.

„To nie, odparł sędzia: trzeba czémś opłacić nie-

posłuszeństwo; wolę, żeby lat kilka stracił, a nie odstąpię od swego.

Staś westchnął.

— Winienem—rzekł—i srodze mnie Bóg już za nieposłuszeństwo pokarał. Spełniłbym wolę ojca i teraz, ale wiesz panie Falszewicz, to niepodobna! niepodobna! Im więcej myślę o tém, tém bardziej mi się to wydaje niemożliwém... Nauka to nie dla mnie, co na widok trupa klękam i modłę się, a za świętokradztwo miałbym sobie krajać szczątki nieszczęśliwego, biednego, zmarłego gdzieś na łożu boleści, w szpitalu, sieroty! Nie, na to mi Bóg nie dał siły; ale mnie za to obdarzył cierpliwością i rezygnacją, z którą zniosę niedostatek i gorsze od niego stokroć dla mnie osamotnienie.

— Jak mi Bóg miły, tak ja pana zrozumieć nie mogę! szepnął preceptor po cichu—to darmo!

— Więc przestańmy o tém, a powiedz mi o moich... A matka?

— Pan wiesz, jak sędzina się obawia, rzekł Falszewicz. Pomimo tego, jak się dowiedziała, że jadę do Wilna, szukała także chwili, żeby się widzieć ze mną sam na sam, i nic nie mówiąc, bo drżała jak listek, oddała mi do pana ten oto węzelek.

To mówiąc pijaczyna dobył z bocznej kieszeni rułonik opieczętowany, i ścigając go łakomemi oczyma, położył na stole. Staś pochwycił skwapliwie posyłkę, nie pieniędzy w nią szukając, chciał znaleźć ślad ręki macierzyńskiej, ale go tam napróżno wyglądał! Pieniądze obwinięte były w starą kopertę, na której pani sędzina bała się położyć znaku nawet, tak truchlała na myśl, że mąż tę jej pobożną zdradę odkryć może.

— A pan wie, dołożył nauczyciel: że jejmość tych kilku rubli pożyczyla u Berka arendarza pod największym sekretem! Bóg wie jak to oddać będzie mogła, bo sędzia dobre ma oko... ale Berko przyrzekł czekać cierpliwie i bez procentu, chociażby rok cały!

— Droga matko! rzekł Staś ze łzami w oczach: nie, nie chcę ja téj ofiary tak wielkim okupionej strachem. Powiesz jój, żem ucałował miejsce, którego dotknęły jój ręce, i oddasz napowrot... Mnie wystarczy moja praca...

— O! że nie odwiozę nazad, to nie! odsuwając się zawołał Falszewicz: bo mi uroczyście przykazano, że-bym tego robić nie śmiał... musisz pan przyjąć, to darmo!

— Biedna matka! biedna matka! ze łzami w oczach rzekł Stanisław: cóż ona pocznie!

— Jakoś to się lnem i nabiąłem nieznacznie Berkowi odda, po cichu szepnął Falszewicz; a panu, jak widzę, nie zawadzi.

Falszewicz jeszcze niezaspokojony oglądem, wciąż przypatrywał się sprzętom, posłaniu, okienku, szczupłości tego kąta, i mruczał po cichu, nie tając swojego zdumienia.

Stanisław przerywał mu nieustannie, żądając szerokiego opowiadania o domu, siostrach i braciach; ale zimne to stworzenie nie umiało nic powiedzieć o nich, tak mało czuło samo, tak mu się w głowie pomieścić nie mogło, że Szarski nie bolejąc nad swą nędzą, zamiast się dopominać pomocy, prosił tylko o nowiny z Krasnobrodu.

— Co to pan chcesz, żebym ja mu mówił o Krasnobrodzie? a co tam ma być? Ot, żyją! po staremu jegomość gderze, jejmość słucha, a dzieci, żebym!

ich tego nie trzymał, toby dom do góry nogami wyróciły!

Cieciwy szczegółów, Stanisław dobyć ich nie mógł z Falszewicza; a ten tak był znowu zajęty nędzą otaczającą Szarskiego, że ciągle do niej powracał.

— To pan i sługi nie ma! wołał: a któż panu bóty czyści? a któż wodę nosi?

— Najlepszy sługa, ja sam!

— Tfu! toć to ja już mam chłopaka! Ot na co to pan zszedłeś!

— Mój kochany panie Falszewicz, a czémże bym chłopca żywił, kiedy ja sam często bardzo się namyślać muszę, czy się bez obiadu obejść, czy pójść na jedną, jedną tylko i to jaką jeszcze potrawę!

— Ja na miejscu pana—dodał preceptor—wolałbym być doktorem i ojca przeprosić; wolałbym u niego ekonomować... A co panu przyjdzie z tego grezmolenia po papierze? tylko się ludzie śmieją, rodzice gniewają, a pan z nędzy giniesz.

Falszewicz jednak jak do opowiadania tak i do przekonywania stworzony nie był. Męczyli się ze Stanisławem długą godzinę napróżno, i rozeszli obaj ruszając ramionami na siebie; ale w duszy Szarskiego to widzenie się zasiało nową tęsknotę, bo mu przypomniło dom żywiej znowu i wzbudziło żal po swoich.

Spełniwszy polecenie sędziego i sędziny, Falszewicz resztę czasu spędził widać w Wilnie, próbując wódek po cukierniach, póki stawało grosza, bo go Staś kilka razy spotykał wychodzącego czerwono z coraz innego szyneczku. Lecz nie pokazał się już więcej na Niemieckiej ulicy, i wkońcu znikł, nie pożegnawszy się nawet wyjeżdżając z miasta.

Państwo Adamowstwo Szarscy bawili przez całą zimę w Wilnie, ale od owego pamiętnego poranku nie miał już Stanisław ochoty widzieć się z nimi; a choć oni przysyłali parę razy do niego, nie śpieszył się ich odwiedzić wcale. Stosunki nowe i chętką samego pana, który tak gorąco pragnął wniknąć koniecznie w najwyższe strefy towarzyskie, wciągnęły ich w świat, do którego biednemu akademikowi wstęp był zupełnie wzbroniony. Kilka razy spotykał ich w powozie przelatujących ulicą, widział zajeżdżających na bale, do teatru, ale się do nich nie zbliżał. Pan Adam też po próbach w kilka dni od pierwszego widzenia się czynionych, już więcej nie przysyłał do kuzynka; stosunki ich zerwały się zupełnie. Myślał tylko tęskną wracał Staś do chwil kilku spędzonych w Mruczyńcach.

W samém kruchcie kościoła Św. Jana, jednego z tych dni, po długim niewidzeniu, zetknęli się nareszcie z panem Adamem, ale tak, że się wzajem uniknąć nie mogli... Staś usiłował się wymknąć co najspieszniej, gdy kuzyn za rękę go wstrzymał, i z surową twarzą odezwał się do niego:

— Za pozwoleniem, słówko tylko.

To powiedziawszy, z zasepioną miną odprowadził go na bok nieco, i wspierając się na pysznej lasce z rekojeścią z kości słoniowej, rzekł po cichu, źle tłumiąc nieukontentowanie swoje:

— Panie Stanisławie, na Boga! co waćpan najlepszego robisz?

— Ja? zawołał student: chcieliby mi pan objaśnić co to zapytanie ma znaczyć?

— Ale czyż potrzebuje tłumaczyć się wyraźniej? Waćpan hańbę robisz imieniu naszemu!

— Ja! zakrzyknął Szarski: a toż czém?

— Waćpan słyszę służysz u Żyda! mieszkasz z Żydami! Żaden Szarski nigdy nie poniżył się do tego stopnia!

— Bo żaden Szarski jak ja może nie potrzebował na chleb pracować, nie mając innego do życia sposobu.

— Dla czegoż ten upór przeciw władzy ojcowski?

— Te wymówki są mi tém boleśniejsze—przerwał żywo Stanisław—że je słyszę z ust pana, któryś mi sam przecie odradzał medycynę. Nie mogłem być posłusznym ojcu, bo to przechodziło siły moje.

Pan Adam gwałtownie rzucił ramionami i poruszył się cały.

— W ostatku, rzekł, pojmuje i poniekąd tłumaczy ten waćpana wstręt do medycyny; ale czyż innego nie było już sposobu, tylko się zaprzedać Żydom i zwałać gdzieś u nich na strychu?

— Panie, zawołał Szarski zaczerwieniony: ten się tylko wala kto próżnuje i je chleb nieskropiony pracą własną; żadna praca nie kala!

— A potem, ciągnął pan Adam rozgrzewając się: godziłoż się pocziwie nasze imię szlacheckie rzucać na pastwę gryziółków, szyderstwa, drwinkowania... włożyć je po gazetach i okrywać śmiesznością?

— Imię moje należy do mnie, rzekł Stanisław: ja za nie odpowiadam; a że go zwałać nie dam i nie zwalam, to pewna! Przestańmy tej rozmowy proszę, bośmy tak daleko od siebie że się zrozumieć nie potrafimy.

Te słowa wyrzekł tak jakoś dumnie i stanowczo, że pan Adam spojrzawszy mu w oczy, spuścił nieco z tonu.

— Dla czegoż wreszcie — rzekł już łagodniej — nie było się w potrzebie udać do mnie? Pan wiesz, że lekka pomoc pieniężna, jakiejbyś mógł żądać odemnie, nie zrobiłaby mi różnicy.

— Dla tego, odparł Stanisław grzecznie skłaniając głowę: że długów wdzięczności gromadzić nie chcę, że sobie samemu tylko pragnę być winien wszystko, a tam gdzie mnie nawet nie rozumieją...

— Stasiu kochany, coraz czulój przerwał pan Adam: z waćpana widzę gorączka szalona! Gniewasz się, burzysz! nie bywasz u nas! najmniejszą uwagę bierzesz tak ostro! to się nie godzi! Mój dom byłby ci się mógł przecię zdać na coś, zrobiłbym ci w świecie stosunki; dobrowolnie zaparłeś się tych korzyści, i powtarzam, najniepotrzebniej przyszłość nawet swoją skompromitowałeś.

Słyszając to Stanisław, ruszył mimowolnie ramionami, uklonił się raz jeszcze, ale nic nie odpowiedział.

— Źle idziesz i źle wyjdiesz — rzekł pan Adam — jeżeli mojej życzliwój nie posłuchasz rady!

— Pozwólże mi pan wprzód, z zapalem unosząc się odparł Staś: pozwól mi pan, żebym z serca dziękując mu za życzenia i za rady jego, zaczął od wyznania wiary, które mnie w oczach jego tłómaczyć powinno. Jesteśmy, czy nie, jacyś sobie krewni, to mniejsza; ja się przyznaję do wszystkich, pan może nie zawsze mógłbyś i rad to uczynić... ale stoimy na dwóch przeciwległych krańcach społeczeństwa. Zważ pan jak dziś jesteśmy od siebie daleko, i czybyśmy pogodzić się mogli? Ja pracuję, wierzę i idę z odwagą w świat, dobijając się nie sławy, nie chleba, nie dostatku i gnuśnego próżniactwa, ale wykształcenia własnego, pożytku bliźnich, ofiary dla nich i kapłań-

stwa poety i pisarza. To co pan zowiesz walaniem pocziwego imienia, ja nazywam najpiękniejszém jego użyciem; co panu zdaje się nieprzyzwoitością, ja mam za święty obowiązek; co dla niego nieszczęściem, dla mnie koniecznością tylko, często sprawującą mi pociechę wewnątrz. Jestem ubogi, to prawda, tak ubogi jak najgłodniejszy z poddanych pańskich, bo mało który z nich nie ma chleba kawałka, a ja, ja go często nie miewam!... ale w duszy mojej jestem spokojny i nikomu z was nie zazdroszczę. Jakże pan chcesz, byśmy się rozumieli, bym wdział suknię cichego, pokornego dworaka i człowieka salonowego, kradnącego wiecznie myśli swoje przed językiem, ażeby ich nie wygadał?

— Prawda, rzekł z zimnym ukłonem wysłuchawszy cierpliwie wykrzykniku pan Adam: prawda, że na tym stopniu szału jakiegoś, na którym pana w tej chwili znajduję, ciężkoby się nam było porozumieć. Waćpan jesteś do zbytku zarozumiałym, ufasz tylko w siebie, a fałszywe masz o świecie pojęcie.

— Fałszywe? Jeśli mi pan Ewangelią tego Boga, z którego kościoła wychodzimy oba, dowiedziesz fałszu moich pojęć, uznam się chętnie za zwyciężonego.

Pan Adam nieukontentowany, coraz się bardziej płatał i rad był już wywikłać.

— Ależ, na wszystko zaklinam cię, rzekł: choć tych twoich Żydów porzuć! Poezye twoje, jakie one są to są, zwróciły na ciebie oczy; ten i ów powtarza, żeś na służbie u Żyda! To niezdolne, ja się waćpana wypierać muszę.

Rozśmiał się Szarski.

— Kuzynku, rzekł ze złośliwym przyciskiem: bądź

pewien, że moja służba od wielu jest szlachetniejsza, a niczyjéj, niczyjéj nigdy nie potrzebując łaski, sprzedając tylko czas mój i pracę, śmiało w oczy każdemu spojrzeć mogę.

Chciał odejść, ale go jeszcze wstrzymał pan Adam.

— Stasiu, rzekł czulój: co robisz? godziż się to? Dam ci ile potrzeba na skończenie nauk w uniwersytecie, bylebyś mnie słowem szlacheckim uręczył, że się wyniesiesz z téj przeklętéj kamienicy, i więcéj tych... poezyj imieniem swoim podpisywać nie będziesz! Godziż się przez upór i zarozumiałość umrzeć z głodu i poniewierki?

— Godziż się sprzedawać litość i pomoc braterską? spytał do ostatka wyegzasperowany chłopak. Pan mi dajesz warunki, a ja ich przyjąć nie mogę.

— Jak to? Żyda nie porzucisz dla mnie?

— Paniel rzekł ze łzą z oka wytryskującą akademik: w chwili kiedy na całym świecie nie miałem nikogo, coby mi podał kroplę wody, tam znalazłem litość, serce, współczucie... i jak w przypowieści ewangelicznój, Samarytanin rany moje opatrzył. Dozwólcie mi, proszę, iść drogą własną i pracą.

— A! szalona pałka! ruszając ramionami za oddalającym się rzekł do siebie pan Adam. Charakteru ma wiele; co za szkoda, że taki waryat!

Tegoż dnia, gdy w saloniku domu najętego na Wielkiej ulicy siedzieli tylko we troje, on żona i córka, pan Adam, którego ranna rozmowa prześladowała wspomnieniem swoim dzień cały, nie mógł wytrzymać i opowiedział ją, skarżąc się przed swoimi. Jakkolwiek słowa Stasia w ustach pana Adama całkiem się

inaczej wydawać musiały i straciły wiele siły, bo kuzynkę rolę swoją naturalnie chciał uczynić piękniejszą, a na to osłabić musiał przeciwną, sama pani i Adelka uczyły obie, ile szlachetności, ile było pocziwéj dumy w tym biednym chłopcu, hardym, ale pełnym serca. Oba jednak zwyczaje świata i ta nieszczęsna przyzwoitość, co gębę zamyka, nie dozwoliły się z myślą ukrytą wygadać. Pani nawet poczęła póty w sobie przekręcać wrażenia doznane, aż z kobiety, jaką była w pierwszej chwili opowiadania, stała się tylko pogardliwą wielką panią, i z tego stanowiska potępiła Szarskiego. Adela, młodsza jeszcze, nie potrafiła ukryć się z tém co czuła, westchnęła po cichu, zmieszała się, pożałowała biedaka! Zdawało się jéj po tém westchnieniu, po kropelce litości, że już dla niego tak wiele, tak wiele zrobiła! Teraz stał od niej tak daleko, tak nisko, że z danéj mu niegdyś niezapominajki śmiała się serdecznie, ani wiedząc co się z drugą jéj połówką zrobiło.

— Wychudł, wymizerniał, kaszle, zdaje mi się, że ma już suchot początki, rzekł pan Adam. Serdecznie mi go żal, ale poradzić niepodobna: szatan poezyi go opętał. Zdumniał, ani przystąpić do niego, i z pokornego dziecięcia stał się niecznośnym młokosem.

— Przyznaj jednak mój ojczy, odparła po cichu Adela: że wiele jest szlachetności w jego postępowaniu... mnie się to podoba!

— Bo wam kobietom, nawet najzimniejszym, podobają się zawsze trochę szaleńcy, śmiejąc się rzekł pan Adam. A przytém posądzam Adelkę, że dzieckiem podobno czule spoglądała na kuzynka.

— Już mnie prześladujesz mój ojczy, śmiejąc się

trochę zarumieniona odpowiedziała Adela: któryż to już mój ulubiony wedle twego obrachunku?

— Może najpierwszy z porządku, rzekł wesoło pan Adam. Ale bądź mi spokojna, tego księciu Janowi nie powiem!

Adela odwróciła się, ruszyła białemi ramionami, i zaczęła poprawiać na kominku.

— Jakkolwiek bądź, szepnęła niedosłyszonym głosem: radabym go zobaczyć wyrosłego na poetę; nigdy jeszcze nie widziała poety!

Matka się rozśmiała.

— Bądź spokojna, moja droga: w Paryżu zobaczymy Wiktora Hugona, Lamartin'a, Musset'a, Alfreda de Vigny... a cóż nasi parafranie przy nich!

— Jaka to szkoda, że przynajmniej nie pisze po francuzku! zawołał pan Adam. Bo powiedzcie mi proszę, jaka przyszłość dla pisarza i poety w naszym kraju i języku? Myśli i uczucia swoje pięknymi ubierać słowy dla przedpokojów, lokajów, ekonomów i posessorów!.. bo któż czyta po polsku? Dziwna rzecz, żeby się tak zaślepić i w taką dziurę dobrowolnie wpaść można!

To mówiąc, westchnął pan Adam, a drugie westchnienie jakieś wtórowało mu od kominka.

Staraniem Pawła Szczerby dało się coś nareszcie wynaleźć dla Stanisława, którego położeniu ulżyć to mogło. Wyszukano mu jakąś ubogą rodzinę, która ofiarowała mieszkanie i stół za pomoc naukową dla syna,

a oprócz tego godzinę lekcji w mieście, mającą na resztę potrzeb dostarczyć mu trochę grosza. Poczciwy przyjaciel, który wespół z professorem Hipolitem dobrze sobie głowy i mózgu nałamał, nim znalazł to miejsce korrepetytora na Żotoczku, zapewniwszy się razem o ową lekcję płatną, obiecaną na drugim końcu miasta, uradowany, że miał w kieszeni trochę swobody dla Stasia, trochę dostatku, przybiegł do kamienicy Dawida Białostockiego. Stanisław poprawiał coś w papierach swoich, gdy Szczerba schwyciwszy go za rękę obie, rzekł z wesołym uśmiechem:

— Nareszcie opuścisz już raz to twoje nieznośne poddasze, na które drapiąc się nogi sobie popodrywałem. Masz doskonałą kondycję, choć w ubogim domku. Znalazłem ją dla ciebie, ale ją zaraz chwycić potrzeba, żeby nam jęj kto z przed nosa nie porwał. Professor Hipolit daje ci inną płatną lekcję... Z tych dwojga będziesz mógł sobie zlepić życie wcale znośne...

Jakże się zdziwił Szczerba, gdy zamiast radości ujrzał na twarzy towarzysza rozlewający się smutek!.. Staś padł na łóżko i tak milczący chwilę pozostał.

— A! mój drogi, rzekł po przestanku namysłu gdybyś zajrzał w serce moje, zobaczyłbyś w niém ile ono ma wdzięczności dla ciebie... bratabym więcej nie kochał pewnie... Ale na Boga, nie każ mi tak nagle ztąd się wynosić... już ja do téj skorupki przyrosłem. Na samą myśl opuszczenia tego lichego poddasza, mróz mnie przejmuję... mnie tu już było tak dobrze!

— Tobie tu dobrze! zdumiony przerwał Szczerba: a! przyznam ci się, że to nowina jest dla mnie. I ta niedza! i ten szalas! i ten chłód!

— Jak to? ty nie pojmujesz, że się przywiązać można do miejsca, w którym się cierpiało?

— I owszem, pojmuję doskonale, że przechodząc ulicą Niemiecką, możesz i powinienes podnieść oczy, westchnąć i pozdrowić to mieszkanie; ale żebyś w niem chciał dłużej pozostać!... tego nie rozumiem.

— Otoż takie to jest biedne serce moje! zawołał Stanisław: jak polny rozchodnik nawet murów się czepia i na nich rozkwita. Daj mi czasu do namysłu, do nabrania odwagi...

— Ani chwili, rzekł stanowczo Szczerba. Żydzi, gdy im przestaniesz być potrzebny, bez żadnej pocyi wytrąca cię za drzwi. Nie potrzebujemy czekać tego, i póki się coś trafia, korzystać należy; bierzesz czapkę i idziesz ze mną.

— Na Boga! na Boga! nie mogę! zawołał łamiąc ręce Stanisław, którego oczy oparły się mimowolnie na dzbanku przypominającym mu Sarę.

— W tém więc coś jest! rzekł z kolei Szczerba: ty mi nie chcesz powiedzieć całej myśli swojej, a ja się poczynam lękać.

— Nic nie ma, prócz żem ja zbyt miękki i do nalogu skłonny, trochę się rumieniać odparł Szarski. Przywykłem, przyrosłem, jestem gnuśny i obawiam się wszelkiej zmiany. Któż wie czy się z tamtymi ludźmi pogodzić potrafię?

— Ależ to są ludzie jednej z tobą wiary, języka i świata! Łatwiej zdaje mi się będzie ci tam niż tu przyrosnąć.

— Wprzód się ztąd trzeba oderwać, boleśnie rzekł Stanisław.

— To dzieciństwo! przerwał Szczerba. Chodźże

ze mną; robi się co czy nie, musisz spróbować. Pójdziemy, zobaczymy...

Nie mógł się dłużej oprzeć naleganiom Szarski niepodając się w podejrzenie,—i posłuszny, choć niechętnie, wzięwszy płaszcz, dowlóknął się ze Szczerbą na Łotoczek.

Uliczka ta wążutka, spadzista i oryginalna, oprócz bardzo porządných domów, ma kilka starszych niepozornych, dziwnie się dziś wydających wpośród nowych budowli, ze swą fizyognomią napiętnowaną charakterem innego wieku. W mieście jak na świecie, co przeżyje zakres bytu swego, już się nie łączy z otaczającym, już odbija od niego i razi oko, jak w pośród żywych umarły.

Domek, do którego prowadził Szczerba Stanisława, należący do biednej wdowy mieszczanina, niegdyś bogatego, ale podupadłego bankructwem banków, na których oparł najczystsze kapitały swoje — stał z dwóch stron ściśnięty wysokimi kamieniczkami, a sam ledwie miał sutereny i jedno piąterko nad niemi. Pozór jego wskazywał zaraz, że tam nie było czém i komu podtrzymać stariej budowy, bo choć porządnie wzniesiona i przez posłuszeństwo policyjnym przepisom białona bywała, tak to jakoś robiło się niestannie, że tynki jej, dachy, ona, wejście, brama, nie były już w harmonii z sąsiedniemi. Tu i owdzie coś się wykrzywiło, pękło i zamazano niedbale pęknięcie, załatano tylko skrzywienie; bruk przed domem był stary i dziurawy, brama rozeschła i bez zawiasy. Wdowa sama nie mieszkała nawet w tych niepozornych kilku pokoikach od ulicy, które jakiś lokator zajmował, ale ściśnęła się w oficynce przyklepionej do domu od dziedzińca — i tam za Szczerbą poszedł Stanisław.

Cicho było w ciemnej sionce, pusto w pierwszym pokoiku, do którego weszli nieoznajmieni przez nikogo; wszystko to skrzętne, ale wielkie zapowiadało ubóstwo... Obok niego błakały się pozostałości dawnego dostatku, których zbyć nie było można, bo kupione niegdyś drogo, cenione dziś wysoko, nawet za tanie pieniądze nie znajdowały nabywcę. Między dwoma okienkami stał fortepianik z drzewa różowego wykwintnej roboty, wysadzony bronzami, na cieniuchnych nóżkach staruszek, któremu już i głosu brakło i siły, by się na wykrzywionych podstawkach utrzymać bez pochylenia.

Na ścianach wisiało kilka pięknych obrazów w starych ramach rzeźbionych i złożonych, opstrzonych od much, pyłu i zaciągniętych pajęczynami, tak, że na nich nie prawie rozeznąć nie było można.

Na kolumieniec fałsz-marmurowej był i wazon alabastrowy, ale upadkiem tak potłuczony w kawałki, że jak sieć krzyżowały się nad nim rysy zlepijonych starannie części. Obok tych szczątków reszta sprzętu, z innej już życia pochodząca epoki, była uboga i prosta: krzesła karczemne, stolik podparty oklepaną lirą czarną z złotymi strunami, kanapka w perkalikowym pokrowcu. Pozór całości penury był i smutny.

Nierychło po zakaszaniu Szczerby, kobieta słusznego wzrostu, z głową chustką zawiązaną, w ciemnego koloru szlafrocuku, wyszła powoli z drugiego pokoju. Na jej twarzy malowało się takie znużenie życiem, taka jakaś tęsknota i długie cierpienie, w ryśach jej przystępnie było szlachetności, że wejrzenie na nią wzbudzać musiało poszanowanie i litość. Nie młoda już, pomimo ubogiego stroju, ruchem, obejściem, wejrzeniem zdradzała lata przeżyte w lepszym bycie,

o którym dotąd przyciśniona niedolą zapomnieć nie mogła.

— Przedstawiam pani Dormundowej mojego towarzysza Stanisława Szarskiego—rzekł Szczerba—o którym mówiliśmy... najlepszego chłopca w świecie, chorującego tylko trochę na poezję.

— O! jest to tak piękna choroba—ze smutnym uśmiechem odpowiedziała Dormundowa—że jej powinno być można. Niechże panowie siadają, i bez ceremonii mówmy o moim skarbie, o moim synu...

— Tak jest, odparł Szczerba: od razu ułożmy się o warunki wszystkie, otwarcie i szczerze.

— Nie ma tu co mówić długo, z westchnieniem dodała kobieta: syn mój potrzebuje nie tak dozorcę i pomocnika do nauki, jak raczej poczciwego towarzysza, przyjaciela i doradcy. Mielśmy się niegdyś lepiej, byłabym nie żałowała najdroższych nauczycieli... ale dziś... potoczyła się łza z oczu — ledwie drobinka pozostała po nieszczęściach naszych... mogę tylko podzielić się biednym stołem wdowim i dać izdebkę pod dachem moim. Jeżeli przyjaciel pański przyjmie te warunki, dajmy sobie rękę i połączmy dwie biedy nasze, żeby nam łatwiej było; bo ten, co za chleba kawałek i kątek podejmuje się takiej pracy, nie bardzo także musi być dostatnym.

— Mój towarzysz—przerwał Szczerba śpiesznie—zgodzi się na warunki; bo i ja i on pewni jesteśmy, że mu tu będzie dobrze.

Szarski milczał, wdowa podniosła oczy na niego, i zdawała się pilnie w fizyognomię wpatrywać.

— No, dajże nam Boże—rzekła po chwili—żebyśmy wzajemnie z siebie byli radzi.

— Za pozwoleniem, po cichu odezwał się Szarski:

ale jabym prosił choć o dni kilka, dopóki się z dawnego mieszkania nie wybiorę i zobowiązań poprzednich nie dopełnię... wszak to pani różnicy nie zrobi?

— Co najprędzej to najlepij, odpowiedziała wdowa; jam tu samotnka jedna, mój Karolek się męczy samotnością, boję się jęj dla niego, chciałabym, żebyś pan przybycie przyspieszył... Ale pójdę-no go tu przyprowadzę...

To mówiąc, wyszła i po chwili wróciła z wyrostkiem, który przy młodszych rysach dziwnie matkę przypominał, ale miał minę schorowaną, cierpiącą, niemal już suchotniczą. Oczy jego zbyt żywe na dziecię, wychudzenie, rumieniec, przykre robiły wrażenie. Zdawał się być łagodnym, uśmiechniętym, śmiałym i wesołym mimo cierpienia; z ciekawością jakąś serdeczną przybliżył się do Stasia, którego rękę ścisnął.

Matka pocałowała go w głowę, rada ze zrzeczności, i znowu poplakała trochę.

— Pocziwe, dobre, kochane dziecko! odezwiała się; gdyby nie ono i obowiązki względem niego, dawnoby już i mnie nie było na świecie... a cóżbym ja na nim bez niego robiła? Widzi nieborak, że mu losu nie dam, sam nań pracuje... pracuje z całych sił, i mam nadzieję, że z jego łaski ujrzę kiedyś lepsze chwile... spoczną szczęśliwsza trochę.

— A teraz—dodała—chodźmy zobaczyć pańskie mieszkanie. Macie z Karolkiem dwie izdebki; młodemu powinny to wystarczyć.

To mówiąc, przeprowadziła ich przez sień do niskich i małych, ale czystych pokoików, z których pierwszy przeznaczony był dla Stasia, drugi zajmował Karolek. Całą pieczę matki widać było w przystrojeniu tego kąta, w usłaniu łóżeczka, w pozbieraniu wszyst-

kiego co dom miał najlepszego, dla ukochanego, je dynego dziecka. To też pokój Karolka zadziwiał prawie wytwornością, wygodkami, i pełno w nim było ślicznoetek, kosztowności nawet, pamiątek, jakoś zaciszno, wygodnie i miło. Może tego wszystkiego aż za nadto było dla ubogiego chłopięcia, które los przeznaczał do walki, ale matce i to się jeszcze zdawało za mało.

— Mam tylko jedną sługę, rzekła powracając pani Dormundowa: wszystko wszystkiem, szafarka, kucharka, lokaj i garderobiana... zresztą sami sobie służymy.

— Ja do tego przywykłem, rzekł Stanisław; a młodemu nigdy nie zaszkodzi, jeśli się uczy sam wystarczać sobie.

— Jakieś pocziwe zdaje się dziecko, szepnęła jejmość do ucha Szczerbie; dobrze mu z twarzy patrzy.

— A z serca jeszcze lepij, rzekł Paweł.

To mówiąc pożegnali wdowę rozweseloną nieco, i Karolka, który odprowadzając ich, zapraszał Stanisława, aby jak najprędzej do niego powracał... Szarski zamyślony pociągnął do domu.

Gdy przyszło Sarze i jęj rodzicom powiedzieć, że się z nimi rozstać musi, i pożegnać izdebkę, z którą się poprzyjaźnił, gdy przyszło rozerwać dziwne stosunki łączące go z żydowską rodziną, Stanisław długo się musiał zbierać na siłę potrzebną. Wychodził z postanowieniem najmocniejszém oznajmienia o tém i ust jakoś nie mógł otworzyć. Oko Sary zaglądające mu

w głębię duszy, w którym czytał przeczucie i obawę rozstania, zamykało mu wargi, tamowało słowa. Dzień za dniem upływał, pani Dormundowa dowiadywała się, przysyłała, Szczerba przynaglał, Staś zwlekał. Nareszcie jednego wieczoru wszedł na górę z mocniejszém postanowieniem, i nie śmiejąc spojrzeć na Sarę, rzekł siadając do stolika:

— Chciałbym się widzieć z panem Dawidem; mam mu kilka słów powiedzieć...

Sara nic na to nie odpowiedziała, nie ruszyła się nawet, książka tylko zaszeleściła w jej rękę, i była długa chwila milczenia, bo Stanisław drżąc także przewracał karty jakiegoś zeszytu.

— Przyjaciele moi—rzekł po chwili młody człowiek—wynałęzi mi jakieś mieszkanie, zajęcie, i z żalem... z żalem, dom wasz opuścić będę musiał.

Wypowiedział to szybko, a nie odbierając odpowiedzi, podniósł wreszcie oczy na uczennicę. Siedziała nieruchoma, ze spuszczonemi na kartę książki oczyma, ale z pod długich rzęs jej czarnych dwie łzy, dwa strumienie srebrzyste, pędziły po zbladłej twarzy... Staś zadrżał: żal mu się zrobiło własnego okrucieństwa, egoizmu, rad był już cofnąć słowo i nie wiedział jak sobie począć. Czekał na odpowiedź, ale Sara wciąż milczała; a po chwili, gdy oczy podniosła na niego... spojrzenie jej długie, głębokie, niezapomniane utkwiło w młodym chłopcu... Wstała szybko i uciekła. Czas jakiś upłynął, nim się na miejscu jej ukazała matka.

— Cóż to? zawołała szybko od progu: pan nas chcesz porzucić?

— Muszę, odpowiedział Szarski. Towarzysze moi żądają tego po mnie; znaleziono mi inne zajęcie.

— Ale to nie może być! odparła kupcowa. Proszę się zatrzymać chwilę, zaraz poszlę po mojego Dawida.

Stanisław został sam jeden, przechadzając się niepokojnie po pustej salce.

Na schodach wprędce dał się słyszeć chód Dawida, który jednak nie wszedł wprost, ale się czas jakiś zatrzymał u żony i córki. Ukradkiem spojrzął z progu na Stanisława, i z miną grzecznie poufałą zbliżył się do swego lokatora,

— Co to ja słyszę! odezwał się: pan nas chce opuścić?

— Tak jest, muszę, muszę...

— No, mieszkanie niewygodne, jak się panu podobą, rzekł kupiec powoli; ale lekcyj tak rozerwać nie godzi się. Mogło panu tu być źle, choć młodemu wszędzie jakoś i ze wszystkiém po godzić się można.

— Nie skarżyłem się, było mi dobrze.

— Ale lekcye naszej córki? lekcye naszej córki?

— Ja mieszkać będę tak daleko...

— Nie możesz pan porzucić zupełnie starych swoich znajomych...

Staś się zawahał, ale wtém przyszła kupcowa w pomoc żona i Sara ukazała się na progu, tak go prosząc wzrokiem, tak błagając nań spoglądając, że Szarski oprzeć się już nie mógł.

Dawid śmiejąc się wyciągnął do niego rękę.

— No! słowo, rzekł: nie odmawiaj pan, a co się tycze umowy, choć to z Żydami sprawa, proszę się spuścić na nas... Dawid Białostocki nie zawiedzie...

Sara znikła ze drzwi, a Stanisław pobiegł na schody cały wzruszony, wyrzucając sobie słabość, i zrozumieć nie mogąc, co go z tym domem wiązało. Na

widok izdebki jeszcze nieporuszonej, w której wszystko stało na miejscach zwyczajnych, i dzban pełen wody u drzwi, i książki w nieładzie na stoliku pod okienkiem, i łóżeczko rozrzucone, na którym tyle nocy bezsennych, pełnych gorączkowych marzeń, przepędził... stanął, zadumał się...

Nie śmiał dotknąć nic, aby nie zburzyć tego, co dla niego już miało wartość pamiątki... Żał, ciężki żał ścisnął serce... Załamał ręce.

— Mój Boże, rzekł w duchu: o! biedne serce ludzkie, na ile się to przedmiotów, miejsc, istot rozdzierać ono musi! Zostawia go człowiek wszędzie jak owca runo swoje, dopóki całkiem nie rozda. I tu część mojego zostanie! Nie! jeszcze dziś, tę noc ostatnią przepędzę pod dachem, do którego przywykłem, a jutro dzień dostarczy mi siły.

Wśród ciszy wziął się do składania papierów i rzeczy, dawno nietykanych... a ten przegląd wspomnień napełnił go większym smutkiem jeszcze. Były tam i szkolne wiersze, i pamiątki towarzyszków, których już nigdy ujrzeć nie miał, i okruchy życia w Krasnobrodzie, i owa z Mruczyniec niezapominajka, i próby, i listy, i poezye, i notaty, i po szczątku każda chwila życia już zabrana falą w przeszłość... a na świątku jeszcze tak żywa i przytomna.

Późno w noc przysłał po niego Szczerba, i Stanisław oderwać się musiał od tego zajęcia, ażeby pobieść do niego. Zamknąwszy więc izdebkę, ruszył na Trocką ulicę.

Paweł był sam jeden, czekał go z wymówkami i twarzą surową.

— Słuchaj, rzekł: taisz się przedemną. Nie darmo przylgnąłeś do tego domu: wiem od dawna, że dajesz lek-

cye córce Dawida; widziałem ją raz w oknie, jest to niepospolicie piękne dziewczątko. Oszalałeś! chyba się w niejkochasz?

Staś rozplamieniał cały.

— Znasz mnie, rzekł Paweł: nie jestem tak młody, żebym pochwalał zdradę dla chwili przyjemności; do czego cię to doprowadzi? do podłości lub cierpienia! Twoją być nigdy nie może; na cóż grzęznąć coraz głębiej w to błoto? Przyznam ci się, że dla tego właśnie znalazł ci Dormundową i naglił o przyjęcie miejsca, bom się już wszystkiego domyślał.

— Aleś się źle domyślał, odparł Staś powolnie. Sara jest w istocie tak piękną, tak piękną jak owa Ester, dla której Ahasverus oszalał... jak druga Ester Ahasvera polskiego nie była; ale ja znam obowiązki moje, i nie dam się sercu pociągnąć, gdzie sumienie nie pozwala.

— Kochasz Sarę?

— Nie, rzekł Stanisław; ale w tej chwili zawahał się i umilkł.

— Ty się mylisz; dla czegoż ci tak trudno oderwać się od niej?

— Nie wiem, z wylaniem zupełnym dodał Szarski, padając na kanapę. Jest to jeszcze uczucie, którego nazwać nie umiem i nie śmiem. Trochę w nim litości, trochę zachwyty, rozczulenia i wdzięczności...

— Za co? wdzięczności? za co? podchwycił Szczerba.

— Al! ty nic nie wiesz, odparł Szarski ze łzami w oczach; ty nic nie wiesz. To nie jest istota, jakąbyś sobie z ojca, matki i nazwiska mógł wyobrażać; idealne to serce, jak twarz, którą widziałeś.

Paweł się uśmiechnął.

— Ideały — rzekł — schowaj do poezji... w życiu ich nie spotykamy! Są ideały pięciominutowe, kwadran-sowe, półgodzinne, tygodniowe, półroczne, ale nie znam, którychby uroku nie rozbiło, nie rozwiało bliższe poznanie i zetknięcie codzienne. Na każdym jest ziemska plamka! Cóż my, jeśli nie blade odciski prototypów nieśmiertelnych, które tak cudnie odgadł stary Plato! W rękę natury odlewającej nas z błota, bozka forma w niwecz idzie: są lepsze i gorsze egzemplarze, ale nie ma niestety! doskonałych; nie ma ideałów, tylko w nas, co marzymy świat, jakiśmy z niebios i rąk Stworzyciela wynieśli.

— Okrutny jesteś — odpowiedział Stanisław — ze swoją matematyczno-medyczną prozą, w której wszystko widzisz w jakimś półcieniu jednostajnym. Ale posłuchaj! posłuchaj! Jam nigdy trzech słów nie przemówił o żadnym uczuciu do Sary, nigdy z jej ust odpowiedzi na inne niż na suche pytanie naukowe nie słyszał... a dziś... widziałem łzy w jej oczach.

— Kłękam przed łzami, bo wszelka łza święta; ale cóż na nich zbudować można? zapytał Szczerba. Na Boga! to już aż do łez przyszło! Stanisławie! zaklinam cię, ratuj się od podłości ucieczką!

— Jeszcze słowo tylko, odpowiedział Stanisław spokojnie. Znasz życie moje... wiesz, w jakiej je nędzy spędzać muszę, choć się nie skarżę... a raczej nie wiesz i nie znasz nawet połowy tego, com ja wycierpiał, bom się z tem tań umyślnie. Dawno już temu, zacząłem postrzegać w mojej izdebce jakby ślady obcej, pracującej dla mnie ręki; w początku zdało mi się to przywidzeniem. Znajdowałem dzban, z którym chodzę po

wodę, pełnym co wieczór, niby przypadkiem rozrzucone owoce, to pieniądz jakiś między książkami. Wiedocznie ktoś chciał mi ulżyć ciężaru, a pragnął, bym tego nawet nie postrzegł. Dzban szczególnież zwrócił uwagę moją; zacząłem się, śledziłem, i ze łzą w oku dopatrzyłem, że wypieszczone to dziecko, gdy sądziło, że mnie nie ma, samo mi dźwigało na strych tę jałmużnę kropli wody! A teraz, powiedz, uderzywszy się w piersi, czyby ci nie żal było tak pocziwe serce zasmucić?

Szczerba umilkł, i męzka twarz jego powlokła się zamyśleniem, którym pokrywał uczucie, chcąc się z niem utaić.

— Dziś, kończył Staś: gdym zapowiedział, że dom ich opuszczam, nie rzekła mi słowa, ale na twarzy jej dojrzałem tylko płynące dwa łez strumienie, z które-mi przedemną uciekła.

— A! to źle! to źle! to najgorzej właśnie! odezwał się wreszcie przyjaciel. Potrzeba ci uciekać... bo na czém się to skończy?

— Przysięgnę im, choć się wynoszę, nie przerywać lekcji.

— Tak! i latać z Łotoczka na Niemiecką ulicę codziennie!... szalony! Zawsze to jednak lepiej już niżeli tam mieszkać... Jutro, jutro się musisz przenieść do Dormundowej; tęskno ci będzie, i ona tam po tobie zapłacze... ale czas! o! czas!

— Zapomni! dokończył smutnie Stanisław. Zapomni! powtórzył i wyszedł powoli.

Gdy wróciwszy do swojej izdebki zapalił świecę, chcąc resztę pakunku dokończyć, zdumiał się postrzegłszy na stoliku, na tomiku poezji, który był

znikł od dni kilku i którego szukał właśnie, mały złoty zegareczek. Pod nim na ćwiartce ładnego papieru, napisane były te tylko słowa:

Od Sary.

Nazajutrz, gdy najęty wózek żydowski trochę biednych sprzętów Stanisława i powiązane w paczki książki jego na Łoteczek przewoził, a akademik wychodził za nim w ulicę, na schodkach w bramie ujrzał raz jeszcze Sarę, która stała przytulona do muru, żeby jej kto nie postrzegł, i zdawała się czekać go z pożegnaniem. Staś zbliżył się do niej, trzymając w ręku jej podarek, ale nic nie umiał przemówić; ona także słowa w ustach nie znalazła, tylko nań oczy zwróciła tak silne, tak przejmujące wyrazem, jakby w nie wlać chciała całą potęgę serca, usiłując go pociągnąć ku sobie. Z tych oczu płynęły jak wczoraj dwie łzy młode, dwa strumienie żywota!

Ale w chwili ich spotkania, z dolnych mieszkań wybiegł, długo ze swą nienawiścią dla goima przymuszony się tać stary Abram, bez pantofli, bez odzieży, w kaftanie tylko, z rozczochraną siwą brodą, a na widok jego wnuczka krzyknęła tylko i znikła.

Abram w początku nic także nie mówił, ale jego ściśnięte usta, pałające oczy i pięść podniesiona, zionęły przekleństwami, których domyślić się było łatwo.

— Idź na stracenie psi synu! mruczał: idź z domu Izraela, a niech ci *Klippes* towarzyszą w drodze. Zamieciemy śmiecia po tobie, i zatrzemy ślady nieczystych nóg twoich...

Dawid pokazał się w bramie idący do sklepu, a stary Abram, który syna szanował i trochę się go lękał, wpadł zaraz do izdebki. Stanisław posunął się za wózkiem swoim na Łoteczek.

Nim nowy człowiek przyrośnąć potrafił do rodziny, którą mu los narzuca, kosztuje to wiele; potrzeba pracować nad sobą, patrzeć, poznawać się, przywykać, zrozumieć, pokochać... a przytém wszystkiem zapomnieć. Stanisławowi jednak nie było to tak trudno, bo znalazł u Dormundowej coś więcej niżeli miał w pustce na strychu. A przecię i tamtęj serdecznie mu żal było: tam miał nieograniczoną swobodę, spokój; tu wszystkie niemal jego chwile zabierał Karol lub jego matka.

Karolek był dzieckiem pieszczonem, ale pocziwie i macierzyńsko; rozwinęło to w nim wprawdzie uczucie do zbytku, ale obok tego surowe miał pojęcie obowiązków życia i szanował matkę, która go najszalenięj kochała. Wszystkie jej godziny poświęcone były jednemu dziecięciu; a jeśli z niem być nie mogła, to o niem tylko myślała, z niem się uczyła, nie odstępowała go wieczorem, nie okrywszy i nie otuliwszy w łódeczku i nie pobłogosławiwszy na sen nocy. Pierwsza zjawiała się z rana, gdy otworzył oczy; a ledwie ze szkół powrócił, już go chwytala w ganku, oglądając, witając jak z dalekiej podróży. Niechże zabawił dłużej trochę—co tam niepokoju i tęskniący! co przeczuć najokropniejszych!

Karolek odpłacał miłość matki przywiązaniem najczulszém, a widząc, że na nim pokładała jedyne nadzieje, choć nieustannie wstrzymywany, pracował niemal nad siły, żeby zdobyć przyszłość więcej dla niej niż dla siebie. Nieraz gdy mu zgasła świecę i przy-

musiała, żeby spoczął, wstawał po cichu w nocy i uczył się w łóżku, tak, by obok w drugim pokoiku śpiącej matki nie obudzić.

Ten obraz pełny smutnego wdzięku ujął i Stanisława, choć w początku trudno mu było odpowiedzieć wszystkim wymaganiom pani Dormundowej, w nieustannym zachwycie dla syna pragnącej, żeby wszyscy klękali przed jej bożyszczem. Dom składał się, jakżeśmy powiedzieli, z nich dwojga i ze stariej Marty, sługi domu, przywykłej do swej pani, nieustannie gderającej na wszystkich, ale pracującej za cztery. Podzielała ona uwielbienie matki dla panicza, ale i Karolkowi czasem dostawało się od niej przy nadarzonej zręczności. Musiał znosić bury, uwagi, przestrogi i nieskończone monologi stariej Marty, która, gdy raz poczęła naukę moralną, nic jej już od wewnątrz nie się zupełnego powstrzymać nie mogło. Nie wiem czy sama pani Dormundowa tak bacznie, tak pilnym okiem obejrzała przybysza jak ona. Przyglądała mu się z drugiej izby przez szparę, stawiała przyniosłszy co do pokoju, bez ceremonii badając twarz jego, minę i wyzywając powoli do rozmowy.

Zdobyła się nawet w interesie ogółu na chytróść, udawała spokojną i łagodną, nie napadając z góry na lokatora, aby go nie onieśmielać. Ale po kilku dniach, gdy wyczytała niezwikłany wcale charakter Szarskiego, wzięła go z innymi pod panowanie swoje i zaprzęgała do słuchania gderalstwa. Staś uśmiechał się, nie niecierpliwił wcale, i tém sobie zaraz łaskę stariej sługi pozyskał.

Łatwo mu też przyszło przywiązać się do pani Dormundowej, gdy ją bliżej poznał. Miłość macierzyńska, stanowiąca jej życie, dobroć, pobożność, i wieczna,

nieschodząca z czoła tęsknica, bo nigdy tam na jej twarzy od lat wielu nie powstało wesele, podbiły go zupełnie. Karolek, który nie miał przyjaciela, a przezuwał go w Stanisławie, rzucił się ku niemu z całym zapalem młodej duszy.

I tak poszło dalej, choć zaprawdę i tu nie otaczały go różel. Na domku lichym i podrujnowanym wdowa miała długi, dochód z wynajęcia szedł w większej części na opłacanie procentów i wydatków gruntu, grosza było szczupło, a często, bardzo często i chleb i mięso i mleko brało się na kredyt w sklepikach. Winni byli Żydom, lichwiarzom, nielitościwym przekupniom, tak, że często jaki sprządek sprzedawał się za bezcen, by zaspokoić ich nieznosne nalegania. Gdyby nie Marta, która gorąco stawiała w obronie pani i gotowa była nawet wziąć się do miotły, częstoby pani Dormundowa z domu przed wierzycielami uciekać musiała. Biedne kobiecisko wzdychało, modliło się, płakało, chodziło do swoich krewnych daremnie, i tak dzień za dniem żyło się nadzieją, że gdy Karolek szkoły skończy, gdy zostanie doktorem, zaczną się jaśniejsze lata i trochę przyjdzie spokoju... choć na siwe włosy.

Ileż to żywotów ludzkich, podsycanych tylko nadziejami, które się nigdy nie ziszczą, wlecze się tak do końca, do mogiły, otoczonych ciemnością... Ale Bóg policzy tam kiedyś cierpienia nasze, na które płacze ciało, na których zyskuje dusza.

Jednego popołudnia, gdy Staś korzystając z chwili wolniejszej pracował dla siebie, w dziedzińcu, usłyszał głos obcy i Marty, razem prawie wymawiające imię jego. Zdziwiło go to, bo rzadko kto do niego przychodził. Wyrzwał oknem i spotkał zupełnie nieznaną postać. Był to jakiś jegomość, niby Żydek elegant, niby komisant sklepowy, w ubraniu modnym, w jasnej chustce na szyi, z laską o gałce brązowej, którego snadź z początku Marta wzięła za natrętnego jakiegoś wierzyciela, sztuką chcącego się podkraść do domu, i silnie bronila mu do niego przystępu.

— Czego wasan tu chcesz? mówiła zajmując sobą całe schodki. A jak tu i jest Szarski, to co?

— Potrzebuję się z nim widzieć.

— A czegoż się wasan potrzebujesz z nim widzieć?

— No! a tobie co do tego?

— Jak to, co do tego? Patrzaj-no go! a przecież to ja tu trzymam porządek, i wiedzieć muszę kto do mego lokatora przychodzi!

— A mieszka tu u pani Dormundowej jaki Szarski?

— Patrzał już wie i o Dormundowej!

Zniecierpliwiony elegant już się odwracał, i plu-nawszy chciał nazad odchodzić, gdy Szarski spostrzegłszy go i słysząc nazwisko swoje, sam wyszedł w ganek. Przybyły jakby się domyślał go, ukłonił się żywo i zapytał:

— Pan Szarski?

— Ja jestem.

— Patrzenie! a to się nawet nie znają! Ki kaduk! odsuwając się już zawołała Marta do siebie. Byle nie do jejmości, niech sobie idzie, choć *rybenka* niegrzeczny.

Marta miała przysłowie *rybenka*, które zbyt często powtarzała.

— Mam słówko do pana, odezwał się przybyły, i wszedł do pokoju.

— Kogoż mam honor?

— To wcale do interesu nam niepotrzebne, rzekł rozsiadając się przybyły. Jesteśmy sami?

— Zupełnie sami, niespokojny nieco odpowiedział Szarski.

Niaznajomy zakręcił się na krześle, widocznie nie wiedział od czego począć, wziął laskę w gębę, zamyslił się i spytał znowu po chwili:

— Wszak to pańskie czytaliśmy poezye?

— Nie wiem, o jakich mowa, ale i ja wydałem poezye.

— Piękny talent! piękny talent!

Uklon był odpowiedzią, a nieznajomy znowu umilkł potarł włosów, zagryzł laski, spojrział z ukosa na młodego człowieka, i jakoś mu ciężko widać było wypowiedzieć z czém przyszedł, choć z oczu jego mówiła zrećność i przebiegłość.

— Piękny talent, powtórzył: co za szkoda, że w takich czasach żyjemy, kiedy go ocenić nie umieją!...

— Nie skarżę się na to, rzekł Stanisław.

— Świat nie wart poetów, ale poeta wielkie ma obowiązki względem niego; pierwszym zdaje mi się karcić go i prostować.—Na tym wyrazie przycisnął umyślnie i dobitnie.—Wylać swe oburzenie przeciwko złemu i szkaradzie plugawiającej społeczność, to święty obowiązek... dodał po chwili.

— Czasy satyry minęły, odparł Stanisław; a ja szczególnie nigdy się nie czułem w usposobieniu do niej.

— To dziwna rzecz! zawołał przybyły: mnie się zdaje, że każdy prawy poeta musi, na widok zepsu-

cia, powstawać przeciwko niemu, nietylko w sercu swoim, ale usty, ale piórem. Ja to mam za obowiązek.

Stanisław popatrzał na nieznajomego, który pod tym wzrokiem śmiałym a pogodnym, spuścił biegające a pełne sprytu, ale też i chytrą przebiegłości oczy.

— Sądź pan sobie o mnie jak chcesz, dodał po chwili śmielój: ale powiem mu otwarcie, że w misysi naklonienia go do satyry przyszedłem tu właśnie.

— Jaśniej, panie, bo dotąd zrozumieć nie mogę o co chodzi.

— Powiem mu więc jasno, że chcę pana namówić na wiersz satyryczny, do którego podam mu przedmiot... a który być powinien ostry, chłoszczący, nie-litościwy...

— Pan siebie lub mnie oszukujesz, odezwał się z coraz większym oburzeniem Szarski. To, co pan zowieś satyrą, od wieków nazywa się paszkwilem; a zdaje mi się, że jeszcze nie zszedł tak nisko, żeby mnie kto do tego dzieła nieprawości śmiał użyć...

Trochę zmieszany gość, wszakże pokrył śmiechem przykrość, której doznał.

— Nadto pan jesteś surowy, rzekł wykrętnie. Godzi się więc w oczach świata broić i gorszyć ludzi, a nie będzie się godziło skarcić występku, wyśmiać śmieszności, oburzyć się na niepoczciwość?

— Tak, odparł Stanisław: wszystko się to godzi, byle nie tykać osób.

— Dla czegoż szanować tych, co się nie szanują sami? co nie umieją i nie chcą poszanować społeczeństwa?

— Jest to nowa wcale teoria, odparł z uśmiechem niemal pogardliwym akademik; ja się jej nie wyuczyłem jeszcze.

— Świat jej pana wyuczy. Każdy mści się jak może.

— Ja mścić się nie mam powodu... a nigdy nie pragnął, nawet w osobistej sprawie, nauczyć się tego.

— Cha! cha! rozśmiał się nie wstając i nie okazując obrazy przybyły, choć Szarski słów i postawy mu nie szczędził. Ale cóżbyś pan powiedział na taką na przykład historyę...

— Nie wiem czy potrzeba, żebym się o niej dowiadywał?

— Prędzej czy później posłuży ona panu do czegoś i odezwie się w nim pewnie... Zresztą nie jest to tajemnica, wszyscy o tém wiedzą w Wilnie... Widziałeś pan zapewne lub słyszeć przynajmniej musiałeś o księciu Janie.

Staś mimowolnie zarumienił się i odwrócił z podbudzoną ciekawością.

— O nim to mowa, podchwycił gość, który z twarzy zmiarkował, że obudził zajęcie. Nie ma co mówić, miły chłopak, gładki, w towarzystwie słodki jak cukierek, ale język jaszczurki, ale serce żmii. Książę ten i ktoś drugi, uboższy od niego, ale mu nieustępujący pewnie, starali się o względy młodej, ze wsi przybyłej panienci. Ba! może to jaka krewna pańska?

— Nie! nie! zawołał żywo zbierając papiery, by ukryć wzrastające pomieszanie Szarski.

— Dotąd nie zdrożnego... Książę się podobał załotnicy, potem niemniej podobał się kto inny, a że księciem Janem i jego słodyczą rychło się przejeść można, panna Adela poczęła zwracać oczka na drugiego, którego wymieniać nie chcę... Książętko uczuło ten cios, a że mu gwałtem ożenienia z posagiem potrzeba dla powiększenia blasku mitry nieco odar-

tój z gronostajów, nuż w intrygi. Poszedł tedy do głowy po rozum, i opuściwszy pannę, wziął się wprost do rodziców: przed nim oczernił przeciwnika oszczerczo, niegodnie, potwarczo... Naturalnie wyzwany został. i...

— No! i strzelali się, odpowiedział Stanisław.

— I nie wyszedł! nie wyszedł! gorzko się śmiejąc zawołał gość: tak! dodając do oszczerstwa obelgę! Ten, co go wyzwiał, ma dziś zupełne prawo stłuc go kijem na ulicy; ale to nie dosyć, chciałby, żeby i świat wiedział jakim jest książe...

Stanisław zmarszczył się i sposepniał; podparł na rękę, zamilkł, a w duszy powtarzał tylko:

— *Noli me tentare!* i oparł się łatwo pokusie podłej zemsty, którą na chwilę serce jego uderzyło po ludzku.

— Ha! ha! nie doskonałyż to przedmiot do satyry, to życie sybaryty-próżniaka, ten typ młokosa, co więcej dba o swe białe paznogie niżeli o honor, który spotwarza po cichu, a nie śmie piersi nastawić?

— Wszystko to być może oryginalne, wyborne, odparł Szarski; ale nie do poezyi, a przynajmniej nie do takićj, jak ja ją pojmuję... Zresztą miłość własna zaślepia. Przyznam się panu, że radbym tę samą historię z ust księcia Jana posłyszeć; ręczę, że inaczejby wcale wyglądała.

Surowo spojrział nieznajomy, wdziewając rękawiczki, które dał z zajadłością, z jakąby był szarpał nieprzyjaciela.

— Tak! rzekł: w każdych ustach inaczej wygląda najprostsza czynność człowieka; ale są rzeczy, których zatrzeć, wykreść, zmienić niepodobna: podłość jest zawsze podłością... A więc nie napiszesz mi pan

historii księcia Jana?... Nie chcę darmo usługi... wiem, żeś pan ubogi jak poeta... zrób mi pan co zabijającego jak trucizna, a zapłacę na wagę dyamentu!

Staś skoczył z krzesła jak oparzony, drżącą ręką ukazując przestraszonemu gościowi drzwi, które z trzaskiem otworzył.

— Mości panie! zawołał trzęsąc się z gniewu: wynoś się a szybko, bo nie ręczę za siebie. Trucizny! trucizny chcesz od poety! Czynisz mnie zbirem płatnym! to obelga, za którą nie pojedynek, ale kij tylko pomścić się może!... Precz! precz!...

Nim tych słów w gorączce wymówionych dokończył, nieznajomy znikł mu z oczu, i nie ręczę, czy ciekawa Marta, pełna bojowniczego ducha, dosłyszawszy ostatnich słów, nie pomogła nieznajomemu miotłą do spuszczenia się ze schodków.

— Al! świat! świat! zawołał z boleścią, tuląc twarz w dłoń poety: świat! co za stekowisko brudów! jaka kałuża błota! I w pośród niej, wśród tego rozlanego powodzią zepsucia, hańby, podłości, wszysey, wszysey tak upadliśmy duchem, że nikt nie śmie wstać, podnieść się i zaryczeć głośno na całą ziemię prorocstwem zniszczenia, potężném wołaniem o pokutę i modlitwę!

Wleczemy się, żyjemy, ocieramy o zbrodnie, a od dzieciństwa takeśmy przywykli do zgnilizny, takeśmy przesyceni temi wyziewami zatrutemi, tak nas spętała miłość gnusnego spokoju, że w niczyjjej piersi nie ozwie się braterstwem, poświęceniem głos, coby może obudził uspione w zdrętwieniu tłumy.

W dawnych wiekach widzimy w wielkich grodach, które opanował szal szkaradny, wspaniałe postacie mężów, co głowę posypawszy popiołem, usiadają wśród rynków i placów, chłosząc pomstą bożą, wołając o poprawę. Każdą plagę z mściwej prawicy wypaść mającą poprzedza pieśń proroka-kapłana, który ginie ukamienowany, ale po sobie zostawia myśl żyjącą wiecznie.

Ten wielki Babilon europejski, strupieszwały moralnie, zabity na sercu, zgniły przez połowę, ruszający się tylko jak zwierz siłą zwierzęcą, nie ma nawet poety-wieszczą, coby mu grobową pieśń zniszczenia zanócił.

Za młodu wdryga się człowiek, staje, patrzy, a gdy odezwie się z podziwem czystej duszy, śmiech wywołuje tylko... Śmiech ten jak wiatr pustyni wysusza jego serce... i codzień mniej poczyną się dziwić zepsuciu, codzień słabiej odzywa się przeciwko niemu, obojętnieje, kamienieje, zamiera. I on nareszcie wrasta w tę potworną społeczność, z wierchu świecącą od oglady, wewnątrz spróchniałą i zgniłą.

Gdzie się dotknąć, rany jak na ciele Hjoba, wrzody jak na Łazarzu, choć na nich suknie wytworne. Zawsze tak było? Nie! nie! na Boga! ludzie byli ludźmi, ale w pośród nich żyło coś, co im przypominało, że lepszymi być powinni. Wieszczą byli ludów sumieniem, odzywając się wśród biesiad Baltazara. Dziś kto ośmieli się stanąć i w oczy zimnemu, zamarłemu tłumowi powiedzieć, że krzyż, który kładnie na piersiach, jest urągówiskiem i szyderstwem, jest świętokradzko nadużytem znamięm w domu nieprawości?

Cisza, jak przed wielką burzą, jak na ogromnym

cmentarzysku, a w miejscu pieśni Jeremiasza odzywa się śpiewka rozpustnicy, pijany szaleem głos jej kochanka, śmiech suchy liczącego grosze handlarza i turkot warsztatu przędącego rękami nędzy.

Cała ta społeczność w barwach chrześcijańskich, w odzieży dzieci Zbawiciela, znów manowcami wróciła do starego pogaństwa. Świątynie Plutusa, gody Wenery, i pryapeje szkaradne i uczyty Baccha, wszystko to znajdziesz, choć pod innym nazwiskiem, zmieszane ohydnie z najświętszymi słowy i znakami. W najczystszej z dusz, w najniewinniejszy z uśmiechów, w najskromniejszą postać, w najszlachetniejszą mowę uwierzyć niepodobna; dziś, jutro wychodzi z pod nich na jaw zakalec wieku i szkarada, której zaród wyssało dziecko z cudzołożniczej piersi...

I śmieją się, uczują, radują, lecą na zgubę tłumami; a głosy proroków, kapłanów, starców milczą, bo już może świat ten nie wart ich słyszeć.

I nie ma przemówić do kogo, bo starzy zgłuchli a młodzi zestarzel, nim dorośli.

Któżby pojął wezwanie na nową krucyatę przeciwko poganom zalewającym ziemię świętą odkupioną krwią Zbawiciela? Któżby porzucił dom, nałożnice, stół, worek, łożę i spokój, aby wdziać twardą włosiennicę żołnierza Chrystusowego i pójść daleko od domu zepsucia?

Nie! tak trwać nie może!... Bóg czeka, ale ludzkość musi się odrodzić lub zginąć własnymi zabita rękami, własnymi ukamienowana grzechami... Zepsucie dojdzie do kresu i pożre się zdychając. Lepšie jutro zaświecić musi...

W stosunkach Szarskiego z piękną Izraelitką nie się nie zmieniło; żywił go tylko powitano, gdy raz pierwszy przyszedł z Łotoczka. Oko jej kilkakroć zająrzało mu w źrenice, szukając w nich może iskry pociechy; ale Stanisław zamknął się w sobie, i prawie chłodno rozpoczął z nią codzienną pracę.

Zarumieniała się Sara, widząc w ręku jego zegarek, który był od niej podarkiem; ale gdy jej chciał dziękować, zakreśliła się i uciekla.

Szarski przychodził tak codziennie, ale nigdy nie przemówił do siebie czulej, poufalej, serdeczniej. Rozmowa toczyła się wzrokiem tylko, wyzywającym z jednej, spokojnym choć rozczulonym często, z drugiej strony.

Staś pierwszych dni myślił się często, i zamyślony wracając z lekcji, szedł do swjej dawniej izdebki na strychu; raz nawet otworzył drzwiczki, w których zamku klucz znalazł, i zapomniawszy się stanął w progu.

Nic się po nim nie zmieniło, nie wyniesiono i nie tknięto sprzętu; tylko kilka książek rozłożonych na stoliczku świadczyło, że ktoś tu przychodził myśleć, czytać i tęsknić może. Staś spojrzał i znalazł tam tomik swoich poezyj, na pożegnaniu z domem otwartym, Goethego Dywan, i pieśni, i jakąś powieść Jana Pawła.

Zdumiał go ten dziwny wybór książek, których słowa nie mógłby pojąć ten, czyja dusza już się wprzód nie otworzyła szerszemu światłu promieniowi. Aby się w nich rozmyślać, aby je ocenić, potrzeba było żyć już w zakętym poezji świecie. Kto ją do niego wprowadził? Sama-li weszła, wprost od bajek niańki przeskakując do najwznioślejszych pieśni i najdziwniejszych marzeń, jakie człowiek kiedy wyśpiewał

i wydumał? Zamyślony stał długo nad temi książkami, nad stołem pracy. Ale wyobraźnia poczyniała żywo malować mu Sarę, a może i spotkanie z nią w tym ustronnym kątku, opromienionym nadziejami młodego; więc uciekł szybko, nie oglądając się za siebie, nie widząc nawet dzbanka, który stał u drzwi na pół wyschły, może na pamiątkę po nim rzucony w tym kątku, z kąd go tyle razy brał do ust spragniony...

Uciekł, ale w myśli jego pozostał wryty obraz Sary, zwieszonę nad książką w izdebce poddasza, na skrzydłach fantazyi goniącej po eterach za widziadłami oczom otaczających ją niewidzialnymi; i snił o niej, choć odpychał od siebie ten obrazek coraz cudowniej rozrastający się w wyobraźni i sercu.

Następnego dnia Sara rumieńszą go powitała, twarzą, jakby wiedziała, że zająrzał w jej życie i tajemnice jego pochwycił, ale znowu nic z sobą nie mówili! Odchodząc, obejrzał się i zobaczył ją w oknie wspartą na ręku, śmielęj ścigającą go wzrokiem, długo, długo, dopóki nie znikł jej z oczu. Sto razy pociągany siłą tego wejrzenia, chciał się zwrócić, zatrzymywał, wahał, głowa mu się kręciła, burzyło serce, ale zawsze surowe słowo obowiązku popychało go naprzód żelazną swą ręką.

Powrócił do smutnego dworku Dormundowej słuchać gderania starej Marty, narzekań biednej matki, marzeń chorego chłopięcia, którego dalekie nadzieje przy coraz słabszym zdrowiu dziwnie smutno brzmiały. Karol choć się trzymał wolą i młodością, wyglądał jak podjedzona przez robaczka roślina, zbladły, kaszlący, z wypieczonym rumieńcem, a każda chwila zapалу przybierała w nim jakiś charakter gorączkowy, i opłacała się upadkiem, prostracą późniejszą.

Stanisław, który się do nich codziennie bardziej przywiązywał, postrzegł to pierwszy, ale nie powiedział nie śmiał matce, aby jej nie przerażać, a dla własnego uspokojenia pobiegł do doktora Branta, przyjaciela wdowy, z zapytaniem o Karola.

Doktor Brant, poczciwe człeczysko, otyły, spokojny, flegmatyczny Niemiec niegdyś, dziś przez pół Polak długim w kraju zamieszkaniem, stoik i systematyczny optymistą, choć miał serce najlepsze, za punkt honoru lekarski uważał nigdy go nie pokazywać. W najgorszych razach, gdy miał wybuchnąć z czulością, zażywał tabakę dla pokrycia uczucia, które twarz jego chwilowo zmienić mogło, a w potrzebie kichał i nosa ucierał, póki znów siebie nie opanował i nie wdział codzienną maski. Choroba, śmierć, ruina, zimnym go zawsze znajdowały; ale co ten chłód wyrobiony pracy i boju kosztował!

Doktor miał zawsze mnóstwo pacjentów, bo od większej części z nich nic nie brał, a bardzo wielu jeszcze na lekarstwa dawać musiał, trudno bywało przystąpić do niego, ale mundur akademicki znajdował zawsze drzwi otwarte. Puszczono więc zaraz Szarskiego, choć to była godzina spoczynku, w której poczciwy stary z książką w ręku, nazywało się, że czytał, ale w istocie drzemał, kłamiąc sam sobie trzymanym przed sobą drukiem. Sen poobiedni uważał on za szkodliwy i zakazywał go wszystkim, sam złego przykładu dawać nie chciał, i nie przyznając się nigdy do poobiedniej drzemki, na książkę ją składał. Gdy Szarski wchodził, książka upadła, doktor ją podniósł żywo i poskoczył naprzeciw przybyłemu.

— No, a co tam powie pan akademik?

— Pan konsyliarz nie przypomina mnie sobie?

— Tak, tak! trochę, rzekł przypatrując się stary; ale nie zupełnie... A co? chory jesteś?

— Miałem przyjemność poznać konsyliarza u pani Dormundowej, u której mieszkam.

— A! a! to to! ja też myślę przypominam sobie! przypominam! No, no! nie tracąc czasu i bez ceregieł, co ci jest?

— Mnie nic, bom zdrow; zresztą gdybym był i chory, nie zabierałbym tém czasu konsyliarzowi... ale z wielką nieśmiałością o kogoś innego chciałbym się zapytać pana...

— A no, to pokaże mi tego kogoś innego.

— Jestem od niedawna u pani Dormundowej, ale mnie syn jej niepokoi.

Doktor machnął ręką jakoś dziwnie i silnie zażył tabaki.

— On mi się zdaje niezdrów, ale przed matką nie mówić nie śmiem... ona go tak kocha! Dziecko słabowite, a pracą się dobija... kaszle, sen ma niespokojny...

— Tak jest! tak jest! zamruczał Brant: no! ale na to nie ma rady... Straszyć matki nie można, a powiem ci szczerze, mój poczciwy chłopcze... z tego biednego Karolka nic nie będzie.

— Jak to? zawołał Szarski: on w istocie jest już tak źle!

— Patrząc ja na niego od dawna, rzekł z zupełną na pozór obojętnością lekarz. Ojciec jego umarł z suchot, dwie siostry z tej słabości życie skończyły... i on ma suchoty...

— Ale przecie na to możeby się znalazła jaka rada, sposób, środek?

Doktor pokiwał głową.

— Darmo—rzekł—darmo: to choroba zabójcza; nie przepuszcza ona wcześniej wyznaczonym dla siebie ofiarom. Chłopiec ten umrzeć musi, czy się będzie uczył czy nie, czy go zalejemy lekarstwami lub zostawimy naturze.

— A! panie! panie! i pan to tak mówisz zimno!

— Cha! cha! smutnie i sucho rozśmiał się stary, uciekając do tabaki i kichając głośno z wykrzywieniem twarzy karykaturalnym:—dawno ja łzy wypłakał moje! Napatrzyłem się ja tych kwiatków, co świetnie wykwiwały przed porą i zwiedle padały bez owocu... Świat pełen tych niedojrzałych nadziei, a nauka...

— Na cóż się zdała nauka?

— Na to, żebyśmy wcześniej znali bezsilność naszą, odparł spokojnie doktor.

— Ale tak młody?

— Tém gorzej.

— I nic jeszcze nie zagraża mu tak bardzo.

— A jednak poznałeś się na niebezpieczeństwie waćpan, co nie jesteś lekarzem.

— A! nieszczęśliwa matka! przerwał Stanisław, łamiąc ręce: co ona pocznie?

— Pójdzie za nim! rzekł Brant; taka kolój rzeczy ludzkich.

— Ale nie możnażby przerwać biegu choroby? powstrzymać go od pracy?

— O! są sposoby tysiączne, gorzko się śmiejąc zawołał stary: na przykład zawieźć go do Hyères, do Nicei, do Sycylii, w południowe kraje, usunąć od nauki, wstrzymać bieg życia, by opóźnić rozwój choroby... Ale powiedzże mi, czy godzi się o tych sposobach wspo-

minać komuś, co nie ma prawie chleba kawałka? Godziż się tój nieszczęśliwej matce zatruć ostatek jój chwil swobodnych, rzucając w jój duszę nasienie wątplenia? O! myślałem ja o tém nieraz... gdybym mógł jeszcze się rozpłakać, płakałbym może; ale do czego się to zdało? Napisano, spełnić się musi.

Szarski stał osłupiały i przygnębiony.

Doktor spojrział nań, ruszył ramiomani, i niezrozumiale, na pozór gniewnie, coś do siebie mrużyć począł.

— Siadaj, panie akademiku, rzekł. A nie zrób mi jakiego głupstwa: choć pod wąsem, widzę, żeś dziecko jeszcze; nie wydaj mi się z sekretem, nie zatrwoż ich, nie okazuj, że wiesz o wyroku, bądź wesół, spełnisz dobry uczynek.

— Ale cóż mam począć z biednym wychowalcem moim?

— Prawdziwie nie wiem, rzekł stary. Trochę go odciągniej od nauki; uważaj, żeby nic nie przyśpieszało biegu krwi jego, żadne żywsze uczucie, żadna gorączka pragnienia, żadne wybujaanie myśli... a! bo i myśl zabija!

— A lekarstwa? nie dasz pan żadnego lekarstwa?

— Lekarstwa! rozśmiał się doktor: nie, nie! nie leczmy go, nie trujmy, to darmo! Byłem przy śmierci ojca, przy łożu dwóch siostr jego, i wiem, że nic mu nie pomoże. Na co na nim czynić próby, które się na nic nie zdały?

Pomilezał doktor spuściwszy głowę, a Szarski przerażony, skostniały, zabierał się wychodzić, gdy stary widząc go tak pomieszany i strwożony, chwycił go za ręce, popatrzał mu w twarz, zamyślił się.

— Słuchaj, pocziwy chłopcze, jak ty mi się zowiesz?

— Szarski.

— Szarski? Szarski? Al będę już pamiętał! Nie bądźże mi babą! Potrzeba mężstwa... Uważaj i na siebie: wynoś się, gdy będziesz mógł, z tego domu; nie dobrze ci tam być może, jesteś młody i spracowany... ot co ci poradzę.

— Ale na Boga, mógłżebyś, śmiałżebyś ich tak w chwili niebezpieczeństwa samych porzucić!

— A gdyby tobie także to mieszkanie, pobyt w tej atmosferze choroby, obcowanie z tym dzieckiem szkodzić miały? zapytał doktor.

— Moje życie nie tak mi drogie, ani tak szczęśliwe, żebym go dla obowiązku nie poświęcił; nie jest to żadną ofiarą.

W starych, zagasłych żrenicach lekarza łyzy niedostrzeżone zakreśliły się na chwilę, i na rozkaz pana wróciły gdzieś nazad do serca, wzruszenie tylko objawiło się lekkim głosu drżeniem.

— Niech cię uściskam, kochany Szarski! zawołał. Walnys chłopak i Bóg ci pobłogosławi. A słuchaj... gdy ci będzie czego potrzeba, gdybym kiedy mógł ci się przydać na co, daj mi słowo, że przyjdiesz do mnie. Staś w milczeniu się uklonił. I tak się rozeszli.

Smutny powrócił nazad na Łotoczek akademik, a świat ten, który bliżej poznawać zaczynał, coraz mu się stawał niezrozumialszym. Z jednej strony nieublagane jakieś losy dościgające na pozór niewinne ofiary, z drugiej zepsucie i szkarady; tam nieszczęście niezasłużone, tu powodzenie niepojęte; zwiłkanie najdziwniejsze wypadków, osób i przeznaczeń, jak czarny kłębek splątanych nici snuły się w nieporządku po jego głowie. Wprawdzie wiara, którą w sercu zachował nienaruszoną z dzieciństwa, której nawet nauki

wykładane sceptycznie zachwiać nie mogły, okazywała mu w tém wszystkiém potężną prawicę bożą, i sprawiedliwość opatrzną a niezbadaną w swych wyrokach; był przekonany, że wszystko dzieje się jak się dzieć powinno, ale co chwila wątpliwość ścisłała mu serce zranione. Za mało żył jeszcze, by mógł dojrzeć odwrotną stronę tego medalu, która tłómaczy zagadkę życia,—i smutek osiadł w jego duszy, smutek poetyczny, tęsknica, która gdy raz zaleje głębię serca, już się z niej ono nigdy nie obmyje. Wstępując na próg domowstwa na Łotoczku, ujrzał oczyma przeczucia, jak widmo straszliwe, karawan w tych wrotach pustych, matkę bez duszy leżącą na schodkach, grobową ciszę w izdebce, która się śmiała kradzioném weselem.

Tak trzeci już rok dobiegał od wyjazdu Stanisława z Krasnobrodu, a nic nie zwiastowało poprawy losu i zmięczenia rodzicielskiego serca.

Nieraz zamyślał się on nad przyszłością swoją, i nie widział dotąd, jak z tego zawikłanego zadania wynijść potrafi. Uczył się, kształcił, podraślał w siły, ale jak użyć ich było? Tu i owdzie na drodze przesuwwały się przed nim postacie dziwne, począwszy od pijanego i wpół obłąkanego Kryształewicza, który bypośmiewiskiem całego miasta, do Iglickiego, co na starość bezimiennymi krytykami i lichą żył pensyjką; lecz żadna nie dała mu miary tego, czém jego przyszłość być mogła.

Co począć z sobą, skończywszy nauki? pytał się drugih i siebie... Odpowiedzi brzmiały sprzecznie, nie-

rozumiałe i ciemno! Jedyń drogą, jaką mu ukazywali wszyscy, było nauczycielstwo, powołanie wielkie, piękne, ale nie dla każdego otwarte, bo kto sam chce się uczyć całe życie, ten nie potrafi dopomóc dzieciom w pierwszych krokach na tej ciernistej ścieżnicy. Stanisław od razu wymazał ze swych widoków chleb ten powszedni jemu podobnych wyznawców, którego suchy kawałek pożywać trzeba często we łzach utrapień i upokorzeniach, zawsze w tęsknocie ducha i znużeniu.

Gdzież się było udać? co robić, aby żyć?

Z piórem w ręku, mówił sobie, nie umrę z głodu. Nie pragnę wiele, pozostanę sam jak jestem, a pół życia poświęcę, by drugą połowę poglądać w niebo swobodnie i snuć złote pasma poezji.

Marzył tak, marzył... bo niestety! nie znał życia, nie pojmował jak ciężko duchem pracować na potrzeby ciała, jak stokroć lepiej wypłaca się rzemiosło, bezmyślne zajęcie ręki, lub proste wykretnarstwo i łowy na grosz cudzy. Czasami jeszcze przysłuchiwał się, czy głos jaki przebaczenia, czy wezwanie rodzicielskie nie przerwie tej ciszy, która go tak trapiła? myślał, że ojciec, że matka zawoła... ale oboje milczeli.

Po bytności Falszewicza upływały miesiące za miesiącami, lecz ani list, ani wieść żadna nie przyszła. Zostawiony sam sobie, dni całe rozpaczał, to znowu się odżywiał, przewidując najpomyślniejsze w świecie rozwiązanie. Szczerba i inni towarzysze podtrzymywali go w tych nadziejach, choć prawdą a Bogiem, gdy się tylko oddalił, w cichych rozmowach wieczornych smutnie nieraz kłopotali się i troskali, co pocznie z sobą ten nieopatrny sierotka, który na jutro w tło-

moczku podróżnym nie miał prócz wielkiej odwagi i wielkiej niezręczności? Ale przy największej o niego troskliwości, cóż mogli ci przyjaciele, sami jeszcze zawiśli od tysiąca wypadków i niemający powszedniego chleba tyle, by się z nim rozłamać? Pytali się jedni drugich, szukali sposobów, i wiele się nadumawszy, postrzegali się zawsze, iż nic nie znaleźli pewnego, iż serce im dyktowało nie głowa.

W domu państwa Ciemięgów, których niekiedy odwiedzał Szarski, parę razy spotkał się ze starym Iglickim, a ten widząc, że młody chłopak, acz bardzo dla niego grzeczny, ani się do niego przysuwał, ani go zaczepiał, ani wiedząc o jego pierwszej krytyce zdawał się o nią dbać i myśleć o zapobieżeniu jakiejś drugiej, sam przysiadając się począł do niego ze swoją szyderską miną, której ostrości i akcentu wolterowskiego dodawał jeszcze kieliszek.

Nieraz tak zostawali się w kątku prawie sam na sam, gdyż pocziwego pana Ciemięgi liczyć nie było można, nie mieszał się bowiem do rozmowy, chyba serdecznym potakując jej śmiechem.

— Co waćpan myślisz dalej, mości poeto? zapytał go raz Iglicki. Ciekawym, co tam za przyszłość budujesz sobie asindziej?

— Dotąd żadnej, odparł Szarski; robię co mogę i com powinien, a Bogu poruczam resztę...

— Dobrego waćpan wybrałeś sobie plenipotentą; szkoda tylko—uśmiechnął się Iglicki—że dużo ma spraw i bardzo zajęty... trzeba trochę i samemu o sobie pomyśleć... No! wydałeś waćpan poezye, młoda trawka, zieleninka, a dalej co będzie?

— Wydam drugie, panie professorze..., a już gdyby

i pokrzywą były, na zieleninę się nie zdadzą, bo będą za stare...

— Cha! cha! rozśmiał się krytyk: i to dobrze. A co dalej?

— Wydam jeszcze i coś trzeciego! rzekł spokojnie akademik.

— Dobrze to tak waćpanu mówić: wydam, wydam! jakby to można trząść z rękawa jedno po drugim to, co się wydaje, i jakby to się człowiek nie wyczerpywał. Léj, léj z naczynia, po czystym napoju przyjdą lagry i fusy, wreszcie ostatnia kropelka.

— Życie do tego naczynia dolewa.

— Albo z niego czerpie jeszcze; Ale czémże waś będziesz podsycał to życie?

— Widokiem świata bożego, ludzi, żywota...

— Tere fere! rozśmiał się znów stary: *circulus vitiosus*. Ale prozą mówiąc, z czego waćpan żyć myślisz i co z sobą zrobisz, mundur zrzuciwszy?

— Zdaje mi się, że powołanie pisarza...

— A to pozwólże sobie powiedzieć starszemu od siebie, żeś z kretesem niedołęga, jeśli ci powstało w głowie żyć z pióra i natchnieniem! Śliczne sobie życie gotujesz, nie ma co powiedzieć!

Śmiech, który z ust jego dał się słyszeć, zmieszany ze zgrzytaniem zębów, miał w sobie coś okropnego. Professor wypróżnił szklanke, i ożywiony gorąckowo, mówił dalej:

— A wiesz waćpan, co cię czeka? Jeśli masz geniusz, o czém bardzo wątpię, to szpital, kij i torba; jeśli masz tylko talent (na dwoje babka wróżyła), życie kradzione po trosze, nędzne i bez jutra; jeśli masz w dodatku sumienie... prześladowanie twych

współbraci; a jeśliś tylko filut i zręczny matacz... no! to się kłaniam przed tobą! zrobisz fortunę, ale nie piórem. Pióro ci tylko pomagać będzie, wyglądając z kieszeni. Patrz waćpan, co ja mam na starość, ja, com najadł się oklasków do niestrawności i przepił się pochwałami do nudy... Mam dwa surduty, stary frak, łotra służę, co mnie kradnie pod pozorem, że ja się do jego żony umizgam, więc jemu wolno do mojej szkatułki... i tyle chleba, ile potrzeba, żeby z głodu nie umrzeć, a tyle przyjaciół, co się mnie bojąc kłaniają, żeby mieć kiedy niekiedy butelkę wina ich kosztem. Jak nogi zadrę, nie będzie mnie, ręczę, za co pochować; a spadkobiercy wezmą sto egzemplarzy wydanych przezemnie wypisów, które nie poszły na oprawianie świec, kilka par niedonoszonych butów... resztę szelma Janek ukradnie, a i ten nie wiele się pożywi.

Mam sześćdziesiąt kilka lat, z których trzydzieści blisko spędzonych w mozołach nauczania smarkaczów i nad papierem. Co było w kraju najznakomitszego, ściszało mi dłoń, kłaniało mi się onego czasu i wróżyło góry złote... Byłem poetą ulubionym i koryfeuszem przez lat kilka; jestem dotąd inwalidem krytykiem... a często dwóch złotych nie mam w kieszeni i obiad jem na kredyt, jeśli go sobie kpinkami nie kupię... No! to ja! ale waćpan powiesz, że to nie racya... Pokażę waćpanu stu lepszych odemnie, nie w istocie (bo ja taki więcej wart jestem od nich wszystkich), ale na oko! Masz, wybieraj, kogo chcesz, i pokaż mi czy B. C. D. E. F... zapracowali chleba kawałek dla siebie lub dla dzieci okrajec? Przyznam się waści, że gdyby mi Pan Bóg dał drugi raz rozpocząć życie, wolałbym się wyuczyć szyć bóty...

Siedziałem na szkolnych ławach z takimi osłamiżem do nich gadać nie chciał, tak od nich głupstwo z daleka śmierdziało. Wszyscy są dziś możnymi i zasłużonymi obywatelami, i ich lokaje lepiej się mają odemnie...

— Ale profesorze, przerwał Stanisław: to są argumenta przeciw życiu literata ciągnięte z kieszeni, a tych nie dosyć. Ubóstwo ani kala, ani podobno zabija, a kto odważnie je uściśnie, w przyjaźni z niem żyć może.

— Al! ba! ba! chcesz widzieć drugiej strony medalu; będziesz ją miał, zawołał Iglicki. Chodzi ci o duchową część, jak ją dzisiaj nazywacie. Posłuchaj! Ze stu tysięcy ludzi, dla których pisać będziesz, dziewięćdziesiąt dziewięć podobno czytać cię nie zechce; pozostaje tysiąc czytelników, z których najmniej dziewięćset takich z pozwoleniem kpów, że gdybyś każdego wziął z osobna, a przypatrzył mu się, plunąłbyś i nie dotknął pióra... Tandem wyrachujemy się i ze stu pozostałych. Z tych połowa będzie innéj szkoły i smaku nie waszecinego, na bok z nimi; połowa połowy nie podoba sobie co piszesz; reszta nie zrozumie cię; a jeżeli wypadkiem jeden przytuli do serca...

— Professorze! i to dosyć!

— Al! dosyć, nie ma co mówić! nie wiele wymagaś! Słuchaj-no dalej, co ci pozostaje. Jedni przeczytają i nie pojmą; drudzy przeczytają, przez pół zrozumieją i wykrzywią się; inni upatrzą, żeś ich czémś osobście ukłół, bo *genus irratabile* [niekoniecznie sami poeci, gorzej daleko osły, z którymi mieć będziesz do czynienia. Cóż dopiero, gdy przyjdzie rozpierać się z krytyką! ha! ha! tu dopiero złupią waści! Krytyki piszą współzawodnicy twoi, „ludzie pióra,“ zółciowi, śledzien-

nicy lub czyhający na odznaczenie się, jeśli nie myślą to złością... Kto nie może śpiewać, ten krzyczy, byle go słyszano. Najlepsze moje krytyki winienem, przyznaję, chęć ugryzienia i ochocie popisu. Wykręć się tu, jeśliś mądry, ze szpon krytyki! Ten chce rozum pokazać i myśli, że go dowiedzie, wybierając z białego same plamy czarne; temu asindziej zalałeś za skórę, boś odwrócił uwagę od jego lukubracyi; inny zagniewać się gotów, żeś młokos; inny, że mu się nie kłaniasz (ja sam się za to gniewam); dalej przyjdą znowu studenci, co na waszecinie łysinie uczyć się zechcą dawać pstryczki... i tak dalej, i tak dalej... Naostatek, kiedyś przez ciernie i głogi dolazł, dołókl się do tego, co ci się już zdaje wierzchołkiem—pst! stój! nowy wierzchołek Olimpu nad głową twoją z obłoków wyskoczył! Zaprzeczasz! to nie góra, mgły tylko; ale ba! sterczy jak wół! zaprzec niepodobna. A waść już bezsilny w dole! z obrzękami nogami. Nowi mistrze, których miałeś honor ćwiczyć w infimie, zburzyli świątynię i zbudowali sobie nową na przedce, a ty poganinie, co się starym kłaniasz bogom, dostawszy kolanem... lecisz w dół na łeb i kwita!... Na tém się kończy zawód literacki... Dopiero gdy umrzesz, a dobrze cię obwąchają, że trupem śmierdzisz i wstać już nie możesz, a nie wskrzesi cię już nawet kadzidło—jeden, co całe życie kasał za łydki, pióro temperuje do szumnego nekrologu, drugi do panegiriku, trzeci do sprawozdania, a czwarty do wydania dzieł kompletnych, na których zarobi więcej napisawszy dwie stronicę prospektu, niż ty przez całe życie pracując nad niemi... *Sic transit gloria mundi!* Pozostaje po jegomości kilka tomów makulatury,

imię, którym się rzucają następcy jak piłką studenci, trochę kości, trochę smrodu i wszystkie głupstwa, jakie się zrobiły za życia, bo te są najnieśmiertelniejsze. Mogą nie wiedzieć ile cię nocy bezsennych kosztował twój wielki poemat, ale pewnie dojdą, jeśliś miał brodawkę pod nosem, lub szósty palec na nodze...

Niepodobna wypowiedzieć, jakim serdecznym, pocziwym śmiechem głupoty naiwniej, dusząc się, zachodząc i pryskając co chwila, towarzyszył pan Ciemięga tój długiej deklamacyi professora. Chwytał się za usta, żeby mu nie przerywać mowy, bił się po twarzy, odwracał, a nieszczęsny nałóg chychotania brał nad nim górę. To bynajmniej nie przerywało przywykłego od lat wielu do śmiechu gospodarza profesorowi, który swoje prawił, wlepiając oczy w młodzieńca i śledząc, jakie na nim czyni wrażenie.

Stanisław słuchał go z pewnym rodzajem litości, jaką wzbudza nędza i moralny upadek, a gdy skończył tryumfalnie wpatrując się w niego, odparł powoli:

— Professorze, wszystko to prawdą być może. Ale powiedz mi, gdy kto ma w duszy słowo, które go dusi, które czuje, że wypowiedzieć powinien, choćby to słowo przeszło niesłyszane, choćby było małuczkie i nieznaczące, choćby na jego głowę kamienie i klątwy sprowadzić miało, na jego grzbiet łachmany, na życie nędzę i zapomnienie... czyż tego słowa, z którym na świat przyszedł, nie wyrzec mu głośno i śmiało! Na cóżby się życie zdało?

— Tfu! tfu! zaśmiał się stary, a toś widzę oszalał; zachorowałeś na proroka! człowieczell

— Nie! i najskromniejsze powołanie jest niemniej

powołaniem, i najmniejsze słówko jest słowem, i jedna iskierka ducha jest duchem, a kto ją zje w chlebie lub zagasi ze strachu... przeklęty!

— Waryat nieuleczony! zakończył Iglicki spuszcza-
jąc głowę.

Ciemno wszędzie, głupio wszędzie,
Nie nie było, nie nie będzie.

Po chwili milczenia stary podniósł głowę, pokazał w uśmiechu dwa rzędy obnażonych dziąseł, a widząc, że Szarski stoi niewzruszony i nietknięty jeszcze jego filipiką, rozpoczął na nowo:

— Kiedy cię już tak świerzbią palce, że pisać chcesz koniecznie i laury zdobywać, posłuchajże mojej rady. Poezya nie potem, zostań sobie uczonym. Nie mówię o prawdziwie uczonym, bo tych mało na świecie, ale tuzinkowym może każdy kto chce. Jest na to pewna i niezawodna recepta. Najprzód obierasz sobie specjalny przedmiot jeden i poczynasz się z nim obeznawać. Tu żebyś był najograniczeńszy, po jakim roku trochę więcej go się nauczysz i zbadasz od innych, co go tylko musnęli. Będziesz już mógł wystąpić. Występ pierwszy zależy zawsze na zjadłej, nielitościwej krytyce tych, co cię poprzedzili. Naturalnie, świat rozumując logicznie, dochodzi do wniosku, że ten, co na swych poprzednikach psy wiesza, więcej coś od nich wiedzieć i umieć musi. Można z restrykcyą pogłaskać takich, co zawadzić nie potrafią, ale reguła ogólna, formula jedyna:—co poprzedziło, w ką! Stajesz tedy od razu na wyżynie, nikogo nie uznając nad sobą,

i obejmujesz w nowém państwie władzę. Tém państwem może być zarówno historia miasta, kraju, prowincyi, biografia, a co najlepší badanie jakichś sta-
rożytności, o których nikt nic nie wie, więc i waćpan nie jesteś obowiązany więcej wiedzieć od drugich; dość, byś dowiódł niewiadomości poprzedników. Znam ludzi, którzy sobie zdobyli stanowisko bardzo uczciwe tak małezkim ekspensem pracy i nauki, że aż śmiech spojrzeć na ich robotę. Całe życie robili przedmowy, noty, przypisy, komentarze *et sic porro*.... Ale znów, reguła ogólna: imaginacyę, talent, życie schować potrzeba, kiedy są, do kieszeni; iść suchą nogą po ziemi, powoli, bitą drogą, a zapewniać głośno, że to gościniec całkiem nowy i nieznany... Wpada naprzykład waści w ręce stary szpargał jakiś, ni w pigę ni w dziewięć; przepisujesz go sobie ziewając, na czysto z wielkimi marginesami, gdzie nigdzie dodasz notę uczoną, jeśli z łaciny to Ducange'a, jeśli polską to z niewyczerpanego Czackiego lub innę jaką encyklopedyczną książkę, a jeśli można zlepioną z dwóch lub trzech, co najwyżej ci stawi, bo nie tak łatwo pożyczkę wytropić; nareszeie rznieisz od ucha poważną przemowę, sprzedajesz drogo, poprawiasz niedbale, drukujesz, i śmiejiesz się z tych, co kupują, żeby nie czytali. Dwa lub trzy dzieła tego rodzaju dają ci naprzód tę zasługę, że w oczach wszystkich uchodzisz za istotnie uczonego, poważnego i zasłużonego człowieka, czynią cię członkiem kilku towarzystw, i od razu stajesz na nogach, na wieki wieków, amen. Dalej już jak po maśle.

— Zmiłuj się pan! zawołał Stanisław: ależ są ludzie istotnie uczeni...

— A są, kochany panie! ale ci pewnie nie pójdą w szranki z lada fanfaronem, który dla profanów wydaje się studnią erudycyi, a jest w istocie pomalowanym osłem. Mamy i my w literaturze naszej masy takich wydawców, tłómaczów, rozprawiaczów i erudy-tów, co wczoraj się czegoś trochę poduczywszy, jutro już uczą publikę, i idzie to im bezkarnie. Ja, wybierając z literackich powołań, najprędzejbym sobie taką synekurę obrał, niewymagającą wielkiego szafunku myśli i zdolności. Można w ten sposób zbierać podania, pieśni, akta i dokumenta, chronologicznie je układać, wydawać pamiętniki, nie opatrzywszy się, że były już tam parę razy wprzód drukowane, pisać życiorysy z metryk i rozprawy z rozpraw, tego tylko a głośno lając poprzedników, bo w tém główna sztuka!

— Ależ krytyka?

— Krytyka rzadko kiedy sama śledzi i bada. Będzie panu zadawała to i owo, że tego za wiele, że tamtego za mało, ale w sedno kradzieży, powtarzania, bałamuctwa, nieuctwa nie trafi. Lęka się rozpoczynać wojny o naukę, bo zadać brak ję komu, gorzej daleko niż zaprzeczyć talentu.

— A sumienie? spytał Stanisław.

— Sumienie razem z talentem powinno iść w tym zawodzie do kieszeni, jako rzecz przeszkodliwa i zbytteczna. Erudycya i nauka gruntowna a prawdziwa nabywa się mozolnie, namiętnością wiedzy, poświęceniem życia, powolną pracą, ale nie znowu łatwiejszego nad pozór ję, który z lada zbiorów, trzęsianek, encyklopedyjek wyciągnąć sobie można. Dodajmy wiarę w siebie, jeśli nie istotną, to także pozorną, zupełne wyrzeczenie się niepotrzebnej skromności, a najwięk-

szą surowość względem drugich... masz całe uzbrojenie. Ludzie zawsze skłonni są uwierzyć tym, co o sobie dobrze trzymają. Dixi! skończył professor i wstał chwiejąc się z miejsca.

— Czas do domu!

Tą mową i wielu jój podobnemi, wejrzeniem na świat niewesołym, ani się zrażał, ani przestraszał Stanisław. Wiedział on, przeczuwał, że nieunikniony los ludzi orzających piórem i jego spotkać musi; ale wierząc w konieczność téj doli, nie próbował się jój uchylić; zbroił się, by wytrzymać. Są czasem takie przekonania niecofniętych przeznaczeń, których nawet spodziewane męczarnie zachwiać nie mogą.

Szarski obojętnie spoglądał na oczekujące go cierpienia, pracował, i drugi już rękopism swój, zawierający znowu niestety! poemat (tylko) z ludowych podań, przygotował do druku. Dał go czytać najprzód Szezerbie, potem ośmielony zaniósł professorowi Hipolitowi, a że w téj chwili professor był jakoś lepij z jednym z wydawców ksiąg, mającym jeszcze nierozwiniętą, ale już wykluwającą się chętkę do nakładu na książki polskie, bez wiedzy nawet Szarskiego zaniósł go temu panu.

Księgarz ten miał zdolność instynktową do swego rzemiosła (grzeczniej mówiąc handlu płodami ducha ludzkiego), ale sam nie znał się na niczem, i dla niego, jak sam powiadał, jedynym termometrem dobroci dzieła była liczba sprzedanych egzemplarzy... Obejrzał więc rękopism, pokiwał głową na podania ludowe

(lud jeszcze niebardzo wówczas był w modzie), pokrobał się na tytuł poematu, ale że coś już o tém wiedział, jak Dworzec wyszedł na pierwszych poezyach Szarskiego, chętką go brała nabyć rękopism.

— Zobaczmy, rzekł do professora: zobaczmy... zostaw mi pan rękopism, przejrzę go, pomyślę.

Wiedział dobrze co to ma znaczyć protektor, i pobiegł na Łotoczek do Szarskiego, któremu gorąco, po swojemu, ścisnął dłoń, mówiąc z twarzą wesolą:

— No! twoja *Pryszka* (taki był tytuł poematu nowego) jest już w ręku bibliopoli; niewątpliwie da ją czytać Iglickiemu, i jego zdaniem kierować się będzie, Ruszaj zaraz i staraj się arystarcha na stronę swoją przekabacić... zaproś go do licha choć na kotlety z groszkiem i porter, to cię więcj nad dwadzieścia złotych kosztować nie może, a księgarz kupi poemat.

— O! kochany mój professorze, rzekł śmiejąc się Szarski: jakże ty mnie nie znasz! mógłżebyś ja przepokupować krytyka?

— Zlituj się, choć mu się pokłoń!

— O! i to nie!

— Ale ci chodzić przecię powinno bardzo o piękne, porządne wydanie twojego dziecigcia, bo choć i tu bez setnych omyłek się nie obejdziesz, trzeba, byś wiedział, że książki drukowanej u Dworca na bibule nie znajdziesz w żadnym porządniejszym domu. Rzadką jest literatura nasza po salonach, gdzie się jój wstydzą, lub kładą tylko kupiwszy na prędce, gdy się jednego z nas spodziewają... Ale Dworzec ma swoje kółko czytelników: przez niego nie dasz się poznać światu wyższemu, i nie zyskasz obywatelstwa w literaturze, póki cię pan... w żółtą nie oprawi okładkę.

— Bądź co bądź, odpowiedział Szarski: że nie pójde prosić, że nie potrafię pochlebiać, to pewna...

— A! mój Boże! jakże ci z tém wiekuistém dzieciństwem ciężko będzie na świecie! odparł pocziwy professor. Czemu nie naśladujesz choć trochę Bazylewicza, który już krytyka ostatnim groszem karmi i poi, pochlebia mu, aż włosy przytomnym stają na głowie, a za oczy drwi z niego, aż uszy wędzną.

— Bazylewicz ma inne, ja inne pojęcia świata i osobistej godności; każdy z nas idzie właściwą swemu charakterowi drogą. Ja ludzi szanuję i chcę ich widzieć dobrymi; on bez zgryzoty ze słabości ich koryzysta.

— I wyjdzie lepiej od ciebie.

Staś westchnął.

— Inaczej być nie może, odpowiedział cicho. Mnie już nie przerobisz kochany professorze.

— Szanować cię muszę, rzekł śmiejąc się młody pracownik; ale żał mi ciebie serdecznie.

Ścisnęli się po cichu.

Nazajutrz, poseł z drukarni wezwał pana Szarskiego do księgarza. Gdy przyszedł na godzinę wyznaczoną, nie zastał najprzód tego, który miał o losie jego stanąć, musiał czekać, a że cierpliwość go nie kosztowała, siadł w kątku spokojnie.

— Panie dobrodziej, rzekł śpiesznie wreszcie nadchodząc bibliopola: komunikowano mi rękopism pański... ale z żalem, z prawdziwym żalem, wyrzec mi się go przychodzi.

— Prosiłbym więc o zwrot jego.

Księgarz począł niby szukać zeszytu.

— Wielki talent, rzekł przewracając papiery: ale dziś wydawać poematów niepodobna; gust publiczno-

ści, do którego się stosować musimy, innych dzieł wymaga.

— Prosiłbym więc o rękopism, powtórzył Szarski.

— W ten moment! zaraz go znajdziemy! wciąż szukając dodał księgarz. Pan nie ma co prozą?

— W téj chwili nic.

— Wielka szkoda! Wydawać poemat, jest to ryzyko dziś wielkie... ale gdzież mi się podział ten rękopism!... Trudno nawet, żeby się powróciły koszty.

— Czekam tylko na zwrot rękopismu.

— Natychmiast! natychmiast! zaraz go znajdziemy! Leżał na wierzchu. Panie Trenk! panie Trenk! gdzież jest rękopism poezyj w szarój okładce? poemat?

— Zdaje mi się, że był na kantorku.

— A tak! musiałem go schować w szufladkę... Pan dobrodziej nie życzyłbyś go wydać u mnie swoim kosztem?

— Nie mogę, rzekł sucho Stanisław.

— Czytałem trochę, rzecz piękna! wiersz szczęśliwy... ale dziś! widzi pan, publiczność... Zresztą, gdyby to przynajmniej były sonety, ballady...

— Być może, odpowiedział Szarski. Prosiłbym więc o rękopism, zwłaszcza że go widzę na wierzchu.

— A! to on! zawołał bibliopola, chwytając szary zeszyt, tak jest! co za roztargnienie! Niechże pan spocznie, przysiadziel! Bardzo żałuję, że go drukować nie mogę; ale pragnąc poczynającemu talentowi otworzyć drogę, by się dał poznać — odchrząknął — zrobiłbym ofiarę, choć nakład jest znaczny, bo to trzeba wydawać ozdobnie... Gdybyś waćpan dobrodziej wy-rzekł się przynajmniej honoraryów...

Stanisław uśmiechnął się, nie umiał się wcale targować i nadrabiać chytrąścią.

— Jakkolwiek one są małe i niewiele znaczące być mogą—rzekł po cichu—ale ja jestem potrzebny; a Dworzec...

— Dworzec! godziź się tego partolę wspominać! Wyda na bibule, ćwieczkami, i któż to w rękę wziąć zechce? Poezya powinna być drukowana z przepychem; zrobiłbym edycję śliczną... na welinie... Ale... cóż panu daje ten Dworzec?

— Niewiele: sto złotych i dwadzieścia pięć egzemplarzy.

Nieznaczny uśmiech przebiegł po ustach bibliopoli.

— Dziwuję się jego hojności, rzekł ruszając ramionami; ale *oni* mają swoją klientellę i tysiące sposobów pozbycia się wydań, których wielkie księgarnie używać nie mogą. To wcale co innego! Pan drukując u mnie, dajesz się poznać od razu; mój instytut typograficzny ma stosunki rozległe; krytyka nie tknie tego, co ja wydaję... potrafimy książkę przeprowadzić, rozgłosić.

— Al panie, odpowiedział Stanisław: ja dla niej nie chcę protekcyi, tylko sprawiedliwości.

— Ale to są czasy—przerwał żywo księgarz—że i sprawiedliwość zyskuje się tylko protekcyą!

I począł śmiać się ze swego konceptu.

— Złe czasy! rzekł smutnie Stanisław.

— Prawdziwie—dodał po chwili bibliopola—czuję jakiś pociąg do pana, i radbym, czyniąc nawet ofiarę, zawiązać z nim stosunki, które, jak przeczuwam, korzystne być powinny dla niego... i dla mnie! Cha! cha!... No! żeby nie mówić długo, wezmę poemat, wydrukuję go i dam... i dam...

Tu była pauza długa, oznaczająca silną walkę, a nareszcie z ust się wyrwało:

— Daję panu dwadzieścia pięć egzemplarzy; ale wydam na welinie... korektę pan sobie sam trzymać będziesz.

— Panie, toby było mniej niż daje Dworzec.

— Dworzec? Ja panu mówiłem: to wcale co innego; warto coś ważyć, by wydać u mnie. Cóż to za porównanie! Pan inaczej nie dasz się poznać. Podaję i tak jak mogę najkorzystniejsze warunki.

— Dla pana te sto złotych są rzeczą tak małą...

— Ha! wie pan co! obrzynam sobie poły dla niego! daję sto złotych i dwadzieścia pięć egzemplarzy, ale nie inaczej, tylko książkami mojego nakładu. Mam tu przedziwne dzieła naukowe, grammatyki... wypisy... chrestomaty, geografie,—to złoto w sztabach... spieniężyć łatwo.

— Na cóż mi się to zdało—rzekł Stanisław—kiedy ja munduru sobie nie mam sprawić za co?

— Zachciałeś pan! wesoło i ściskając go serdecznie począł bibliopola: wszyscy poeci muszą zawsze i wszędzie chodzić z łokciami dziurawymi i w niecałych bótach.

— Nie jest to jednak wygodnie.

Księgarz namyślił się jeszcze trochę, pochodził, może go litość tknęła, czy rachuba jaka.

— Siadaj-no pan—rzekł—i pisz ustępstwo rękopismu; płacę panu... ale... dukatami.

Szarski już się i wstydził odezwać. Pięć oberzniętych, chudych, pogiętych, gdzieś w wista wygranych i stolikom kartowym dobrze znajomych kulfonów leżało przed nim—począł pisać ustępstwo.

Księgarz mu je dyktował formą zwyczajną, do-

dawszy na wszelki wypadek wyrzeczenie się własności, obowiązek utrzymywania korekty, warunek, że dwadzieścia pięć egzemplarzy oddane będą w pół roku po wydrukowaniu i tysiąc innych drobnych zastrzeżeń na wszelkie wypadki.

Gdy się to skończyło, Staś wstał z krzesła, chowając owo złoto z poszanowaniem, jakie nigdy jeszcze kulfonów tych nie spotkało. Księgarz ścisnął mu rękę, i rzekł, zamykając rękopism do biurka:

— Mam nadzieję, że stosunki nasze pod szczęśliwą gwiazdą poezyi poczęte, długo trwać będą. A teraz—dodał—w interesie pańskim maleńka jeszcze prośbeczka... Ciężko mi inaczej wydać poezye niż przez prenumeratę, potrzeba prospektu... Napisz pan prospekt na swój poemat, ale nie żałując sobie kadzidla! Postaw się od razu geniuszem!

Szarski się zacofał; sądził, że nie dosłyszał.

— Jak to? co to ma znaczyć? zapytał.

— Ale to stary zwyczaj! każdy przecię autor pisze prospekt, jeśli mu go potrzeba... bo naturalnie serce ojcowskie, rodzicielskie oko najlepiej widzi przymioty swojego dziecięcia... Cha, cha! pan się naiwnie dziwisz rzeczy tak prostéj!

— Prostej? powtórzył Stanisław. Ale na miłość Boga! w jakimże to świecie życie państwo, kiedy się to im wydaje prostém, co mnie oburza? Jakżebym ja śmiał pod maską czyjaś wytrąbić swoje pochwały?

Bibliopola śmiać się począł, chodząc po pokoju, ręce pod poły fraka założywszy.

— A! a! co za prawdziwa poetyczna naiwność! No! no! obejdziemy się bez tego, jeśli to przykrość zrobić mu może. Iglicki napisze mi prospekt jaki zechce,

swojém piórkiem złotém... Ale taką rzeczą po panu i rozbiór poezyi do gazety spodziewać się nie można?

Nowe zadziwienie ze strony Szarskiego, nowy uśmiech politowania bibliopoli.

— Szkoda, rzekł w końcu: bo nie ma pochwał nad te, które ktoś sam sobie pisał! Znam ludzi zgręcznych, co udają nawet, że się krytykują, ale krytyka to taka, co podnosi wartość utworu. Wyrzucają sobie naprzykład zbytek zapału, nadto wyobraźni, nadmiar ognia i siły, nieopatrny szafunek geniuszu i tym podobnie... Tego rodzaju autokrytyki, datowane z Szawel, Taurogów, Póltawy, Tyflisu lub Osieka, często gęsto ukazują się po gazetach...

Szarski smutnie się zamyślił.

— Prędkoż się to drukować zacznie? zapytał, chcąc odwrócić rozmowę.

— A jutro poszlemy do cenzury, za tydzień pieczęć nam przyłożą, a za dziesięć dni będziesz pan miał pierwszą korektę. Na kontrakta kijowskie książka być musi gotowa, i wyjdzie już z datą następującego roku, aby dłużej świeżą być mogła.

Z téj atmosfery dziwnego handlu, którego towarem była myśl ludzka, wyskoczył jak z gorącej łaźni biedny chłopak, a że mu pilno było pochwalić się przed Szczerbą, pobiegł wprost na Trocką ulicę.

Około Dominikanów zeszli się z Bazylewiczem, który udrapowany w płaszcz hiszpański, z głową podniesioną w niebiosy, szedł zapewne powtarzając jeden ze swych nieśmiertelnych sonetów—raczył się wszakże zatrzymać na widok towarzysza.

— Co tam słyhać na ziemi? spytał obojętnie.

— A w niebiosach, zkąd powracasz? odparł Szarski.

— W niebiosach! biorąc zapytanie za dobrą mo-

netę, rzekł Bazylewicz: gwiazdy szeleszczą tysiącem promieni, słońca trzaskają, komety piszczą i księżyc mruczą.

— Prościęć jednak mówiąc, co robisz? co marzysz? co piszesz?

— Nie! nie! nie! kocham się tylko! wzdychając piersią potężną, rzekł Bazylewicz.

— Jak to! i mówisz o tém tak chłodno! na ulicy! pierwszemu kogo spotkasz? czerwieniąc się zapytał Szarski.

— Zimny ślimaku co pełzasz po ziemi! wydekla-mował Podolak: także to pojmujesz miłość? sądzisz, że się z nią ukryć, że ją w sobie pożreć można? Światu ją głoszę całemu! szukam z niej chluby przed światem! Mizerna to i zwykła miłość, co się zasklepia w sobie, co milczy... ja ją chcę wyśpiewać poematów seciną...

Noc był! chmury siecią po niebie się wlokły
Z za nich księżyc wyzierał żółty i obmokły...
A ziemia-rodzicielka, w ciemności kapturze,
Odrętwiona czekała na jesienną burzę...

Tak się poczynął sonet, nowe arcydzieło Bazylewi-cza, które poeta *impavidus* wydekla-mował w całości zdumionemu Stasiowi wśród ulicy.

— No? a ty co porabiasz? rzekł z rodzajem lito-ści:—poeta! i nie kochasz się?

— Gdybym się kochał, odparł z rumieńcem Szar-ski: prócz mojego własnego serca, niktby o tém pew-nie nie wiedział.

Rozśmiał się towarzysz.

— Drukujesz co?

— W tej chwili właśnie poemat mój kupił...

Bazylewicz ruszył ramionami.

— Cożś wziął za niego?

— Zachciałeś! sto złotych!

Rozśmiał się na całe gardło Bazylewicz.

— A! jakież z ciebie dziecko! Byłbyś zarobił ty-siąc, rozdając bilety na prenumeratę... Ja na swoje sonety już ich wetknąłem blisko dwieście, a bilet po złotych dziesięć.

— Jabym ich pewnie rozdać nie potrafił.

— To wiadomo, śmiejąc się rzekł towarzysz dumnie; ale ja dam sobie radę: tego wezmę pochlebstwem, drugiego dumą, trzeciego wstydem,—radzi nie radzi, choć może klną w duszy, a bilety biorą. Wszystko mi jedno z jakim uczuciem pieniądze dają, byle je dawali. Czasem daje się czuć potrzeba perory, rznę im perorę, a mam ich już pięć różnych, ledwie nie na pamięć wyuczonych, do głównych sytuacji zastoso-wanych, i do kollekty biletowej ułożonych umyślnie... Trzeba się innie było poradzić biedaku, byłbym ci dopomógł.

To mówiąc ścisnął końce palców Szarskiemu Bazy-lewicz, i odszedł tryumfalnym krokiem, powtarzając so-net, który kleił po drodze: *Do pięknej zamyśloněj*.

Szczerba zdziwił się pięciu dukatom, które mu po-kazał na progu Stanisław, i ucieszył z powodzenia przyjaciela, bo i to zdawało mu się wiele na począ-tek, a stosunek związany z księgarzem uważał za pomyślniejszy jeszcze od sprzedaży poezyj. Spędzili wieczór, marząc rozkosznie obaj o przyszłych życia swe-go planach.

W kilka tygodni potem, gdy już się drukować począł poezye, Stanisław z wilgotną korektą w ręku, wszedł nad wieczór do kamienicy Dawida Białostockiego. Zdziwił się, przeciwko zwyczajowi nie zastawszy Sary, która oczekiwała codziennie na niego w salce oparta nad książką, od drzwi witając go wzrokiem.

Na jej miejsce wyszła zabrukana służąca, która mu krótko i sucho powiedziała, że Sara od wczoraj chora.

— Cóż to jest? spytał niespokojnie Szarski.

Żydówka ruszyła tylko ramionami i wyszepleniła, że doktor Brant właśnie jest u słabiej.

— A nie mógłżebyś ja się z nim widzieć? rzekł akademik.

— Albo ja wiem! odpowiedziała wychodząc.

Po chwili, mimo tej obojętnej odpowiedzi, poznał Staś chód ciężki i powolny starego doktora, który zając tabakę stanął w progu.

— A! waćpan tu co robisz? spytał zdumiony.

— Ja... ja tutaj lekye daję...

— Leky daj! leky daj! ha! ha! no! no! no!

— Jakże się ma uczennica moja? co to jest?

Doktor, który długo stać nie mógł, usiadł przy drzwiach, i baczne wejrzenie rzuciwszy z pod brwi na akademika, obejrzawszy się dokoła, rzekł dość obojętnie:

— Dalipan nie wiem co jest!... Osobliwsze dziecko i osobliwsza choroba... boję się, żeby to nie było coś takiego, na co medycyna nie ma ani pigulek, ani mikstur... Znasz waćpan dawno tę dziewczynę?

Stanisław ledwie się śmiał przyznać, jak dawno

już trwało nauczanie jego i stara znajomość, a mówiąc to, dziwnie jakoś zaplonał. Nie uszło to oka doktora, który żywo poczał w nos napychać tabaki.

— No! no! to waćpanże mi powiedz co jej jest? rzekł w końcu. Śliczne dziewczę! aż przykro, że to w tych betach wyrosło i skisnie do licha! Co za oczy!... Ale ba! ja właściwie gadam o oczach, takżem się wybrał!... Choroby nie rozumiem, słabła, wiedła, schła i nakoniec rodzice przymusili ją, żeby się położyła, choć zdaje się, że pod wieczór gorzej jeszcze niespokojna... Gwałtem wstawać chciała!

— Cóż to? gorączka?

— Nie wiem! dalipan nie wiem... patrzę, śledzę, ale nie rozumiem... Zdaje mi się, że koniec końców *remedium* najpewniejsze—wydać ją podobno za męża!

Spojrzał na Szarskiego, który w tej chwili odzyskał studenckie piwoniove kolory swoje.

— Ale nie ma niebezpieczeństwa? rzekł po cichu akademik głosem nieco zmienionym.

— A któryż to doktor powiedzieć waćpanu potrafi, czy nie będzie go jutro, za godzinę, za kwadrans nawet? Jakkolwiek *facultas* nasza zarozumiała, natura mądrzejsza jeszcze od nas i figle nam płała co chwila.

Nie było sposobu pozostać dłużej. Szarski choć żywo zaniepokojony, chciał się już oddalić, gdy sam Dawid wszedł do saloniku.

Sklonił się grzecznie akademikowi i śpiesznie go wziął na stronę; ale widać było jakiś frasunek i niepokój w twarzy, gdy mu przemówić przyszło.

— Bardzośmy panu wdzięczni—rzekł—za starania jego około córki naszej... Chwała Bogu, skorzystała wiele; ale pan doktor utrzymuje, że nauka może na-

dał szkodzić jej zdrowiu. Chcemy ją wydać za mąż, jak nam radzi.

To mówiąc, dobył Dawid ściśle obrachowaną zapłatę za leky, i ścisnął rękę Szarskiego.

Ten zapomniawszy pieniędzy, żywo ruszył ku drzwiom, i nie wiedząc co się z nim dzieje, wybiegł na ulicę.

— Tak! tak! po wyjściu jego dodał doktor, który powrócił do chorób:—nic nie ma tak bardzo złego... ale tej nauce dać pokój, życie porywa do głowy, organizację całą wywraca! Wydać ją za mąż... wszystko się uporządkuje na nowo.

Dawid stał, patrzył na zostawione przez Stanisława pieniądze i ruszał ramionami.

— Czekamy narzeczonego — odparł, — przyjedzie z Kowna niezadługo... Wybrałem dla niej syna bogatego kupca; chłopiec niczego, trochę głupi, ale to umyślnie.

— Jak to umyślnie? zapytał Brant zdziwiony.

— Naturalnie, żeby ona nie on réj wodził w domu; ale przystojny chłopiec, delikatny... Wyobraź sobie doktorze... co to za oryginał z tego akademika! dodał zbierając pieniądze Dawid: zapłaciłem mu, a on pieniądze zapomniał.

— Zapomniał! powtórzył lekarz: a co? już poszedł? Ha! trafiają się oryginały!—Zażył tabaki.—No! no!... Wydajcie córkę za mąż; życzę, życzę... a im prędzej, tém lepiej.

Strapienia, boleści nigdy nie przychodzą same, powiada mądrość narodów, a postrzeżenie to odwieczne codziennie się potwierdza. Niewidzialne duchy losów

ludzkich, złe i dobre, czarne i białe, idą trzymając się za ręce, ciągnąc długim szeregiem. W niewysłownym niepokoju przyszedł na Łotoczek Stanisław, i zastał tam nadzwyczajne zamieszanie.

Martę spotkał w bramie wylatującą po doktora Branta, panią Dormundową z załamanymi rękami i w łzach, a Karolka siedzącego na łóżku z wypalonymi rumieńcami na twarzy.

— Co to jest? co się to stało? na Boga! zawołał wbiegając i wstrzymując Martę, która za nim wróciła do izdebki.

— Karolek! Karolek chory! Karolek krwią plunął! krzyknęła matka. Zlitujcie się, po Branta! po Branta!

— Śpieszę, bo wiem gdzie jest, odparł Staś. W domu go nie zastanie Marta. Mam pieniądze, wezmę dorożkę i przywiezę go natychmiast.

— Leć, jeśli Bóg kochasz!

Ledwie miał czas rzucić okiem na matkę i syna Szarski, wnet pośpieszył nazad na ulicę Niemiecką; w bramie spotkał się z Dawidem.

— Jest jeszcze doktor? zapytał.

— Jest... a co?

— Potrzebuję się z nim widzieć natychmiast, do chorego!

— Idź pan na górę... ale czekaj-no! nie wzięłeś ode mnie pieniędzy.

Staś już był na schodach, posłał po doktora sługą i schwytał go w sali.

— Na Boga doktorze! zawołał: zlituj się nad biedną Dormundową!... Karol krwią plunął... Rozpacz w domu... Prosi cię, zaklina!

— Krwią plunął, powiadasz! ba! już tak!

I Brant głowę zwiesił.

— Dormundowa wie co to znaczy!

— Jedź, na miłość bożą, jedź przedź!

Wtém Dawid niespokojny między nich się wcisnął.

— Jak to jedź? Doktor dziś od nas pojechać nie może! Sara od godziny jest gorzej!

— Twojój Sarze nic nie będzie, rzekł Brant: a tu pilniejszy interes woła.

— Panie doktorze! zawołał Żyd.

— Panie kupiec... daj mi waść pokój! Masz czém zapłacić, doktorów sobie znajdziesz na furi, ubogi u mnie pierwszy.

To mówiąc wziął kapelusz.

— Sarze nic być nie może? spytał niespokojnie Stanisław.

— Lekkie synapizma, krople laurowe co godzina, i dosyć. Jutro będę u was... tu

Dawid chciał go wstrzymać jeszcze.

— To być nie może! odpychając go z lekka, zawołał doktor: ja jechać muszę... Jeśli chcesz, wezwij sobie kogo innego!

Gdyby nie wiara, jaką wszyscy mieli w doktora Branta, Dawid byłby się pogniewał; ale z potrzeby, choć obrażony, spolitykował.

— Niechże pan choć zobaczy jeszcze moją córkę.

Zniecierpliwiony doktor poszedł, i w pół kwadransa od niej wrócił.

— Osobliwsza rzecz, rzekł kiwając głową: znowu czegoś zjawił się niepokój... z łóżka się zrywa... chce wstawać. Ale to widocznie coś nerwowego, choć i z temi dyabelskimi nerwami nie żartować...

Zamyślił się.

— Będę za parę godzin—rzekł—a teraz choć tamtych uspokoję... Krople laurowe, krople laurowe... i niech mi nie wstaje!

Wtém odwracając się, zdziwiony postrzegł Sarę w bieli stojącą na progu, z oczyma utkwionemi w Stanisława, który pobladł jak ściana.

— Ale nic mi nie jest! odezwała się Sara do lekarza: mogę wstać! widzi pan! wstałam! jestem zdrowa...

— O! tego ja nie lubię, kiedy mnie kto nie słucha, oburzył się Brant, szybko postępując ku niej. Do łóżka mościa panno! Co to jest! do łóżka...

Mówił już do istoty, która go słyszeć nie mogła. Oparta o ścianę, z oczyma zwróconemi na Szarskiego, biedna dziecina, śmiejąc się jeszcze usty, wpadła w stan kataleptyczny i skołowaciała w progu z uśmiechem boleści i łzą na powiece.

Przeraźliwe krzyki słyszeć się dały w domu, a Szarski zwyciężony uczuciami, których doznał, pochylił się omdlały i upadł na ziemię.

Gdy po długim gorączkowym śnie jakimś, w którym zmieszały się wszystkie przeszłego życia widziadła, otworzył oczy Szarski, długo nie mógł schwycić ciągu przerwanego pasma boleści i uczuć, nie mógł przypomnieć co się z nim działo. Czuł tylko ciężar wielki na sercu i niepokój w duszy. Oczy jego z otaczających przedmiotów pragnęły przyjść do poznania miejsca, w którym się znajdował; usiłował obrachować, jak długi czas trwało dziwne uśpienie i marze-

nie gorączkowe—ale się nie mógł pokierować w domysłach niczem. Widział się bowiem nie w izdebce na strychu, o której śnił, nie w pokoiku na Łotoczku przy chorym Karolku, gdzie był być powinien, nie w Krasnobrodzie u nóg ojca, ale znowu na Trockiej ulicy u pana Horyłki, na łóżku pocziwego Szczerby, którego twarz wkrótce się ukazała z za parawaną.

— Pawle, zawołał porywając się konwulsyjnie: gdzie ja jestem? co to jest? dla czego tutaj? mów!

— Cicho! cicho, a powoli, odparł Szczerba z widoczną radością w oku: wszystko bardzo proste i naturalne. Byłeś osłabiony, znużony, wycieńczony pracą... a może i czémś więcej jeszcze; rozchorowałeś się więc niespodzianie; a że na Łotoczek nie chciałem cię odwozić, bo tam i tak ma już Dormundowa jednego chorego, wziąłem cię do siebie... Szczęśliwie przeszło przesilenie choroby, będziesz rychło zdrow i po wszystkim.

Zaszeleściło coś u drzwi, i pocziwy stary Brant bez powitania stanął, spoglądając na Szarskiego.

— No, widzisz, rzekł do Szczerby: jak mówiłem, tak się stało... Natura w młodym silna, kryzys przyszła i przeszła szczęśliwie, będzie zdrow... A teraz tylko proszę mi się z łóżka nie zrywać przed czasem.

— A Karolek? spytał żywo Szarski.

— No! no! zdrowszy, rzekł doktor ruszając ramionami.

Stanisław może chciał jeszcze spytać o kogoś więcej, ale mu słowo na ustach zamarło; spojrzął na doktora, który go zrozumiał, bo głową jakoś kiwał... zawstydził się, i oczy spuściwszy, odwrócił się do ściany.

— Wszyscy zdrowi, rzekł z przyciskiem Brant, zżywając głośno tabakę,—i waćpan będziesz mi zdrow

także, bylebyś tylko słuchał. W gawędy żadne proszę mi się nie wdawać, do roboty żadnej nie śpieszyć; odpoczywać! odpoczywać! Natura pocziwa zrobi resztę z pomocą bożą.

— Ach! mój Szczerbo! zawołał w tej chwili Szarski: co ja ci musiałem narobić kłopotu i zawodu pocziwej Dormundowej, której teraz mogłem być właśnie najpotrzebniejszy! A koszta!

— Otoż jest! przerwał Brant: łamże sobie temi głupstwami głowę. Albo to myślisz, żeśmy się bardzo zmogli, ratując waści, kiedy cię sama natura ratowała?.. Czy to ci się zdaje, że bez waćpana nikt się już obejść nie potrafi? A koszta! przecież miałeś na koszta pieniądze w kieszeni; a leżąc w łóżku, niewiele potrzebowałeś!

Szczerba w milczeniu ścisnął rękę przyjaciela.

— Słuchaj Stasiu, rzekł: są obowiązki, które się spełnia z rozkoszą; nie odbierajże mi przyjemności tej małej posługi, trując się jej wspomnieniem. Bądź spokojny: położenie twoje nie wymagało żadnej ofiary.

— Długoż to trwało?

— Ale niedługo! niedługo! mrugając przerwał Brant. Dałbyś pokój pytaniom i zasnął a spoczął sobie. Zasłonić go parawanem, dać mu co lekkiego, ciepłego, i niech odpoczywa, niech odpoczywa.

Na rozkaz doktora, który znikł zaraz, Szczerba odsunął się także, ująwszy raz jeszcze rękę przyjaciela i odchodząc na palcach.

Stanisław tak się uczuł znużony i złamany, że mimo dręczącego niepokoju, zaledwie głowę do poduszki przyłożył, usnął prawie natychmiast.

W kilka dni zdrowie jego znacznie się polepszać

zaczęło, a co chwila, siły jakby czarodziejską przywołane potęgą, wracały. Przechadzał się po pokoju, mógł już zajrzeć do przerwanych robot swoich. Zdziwiło go bardzo, gdy schwytna data dnia wskazała mu blisko miesięczną chorobę jego. Nie mógł pojąć, gdzie się ten czas podział; usiłował badać Pawła, ale ten go zbywał ni tēm ni owēm, nie wdając się wcale w szerokie opowiadanie. Nareszcie, gdy Szarski całkiem się miał już lepij i Brant usta rozwiązał jego towarzyszom, dowiedział się własnej swojej historii.

Gdy zemdlony upadł w domu Dawida Białostockiego, zaraz prawie po silnych i powracających mdłościach wywiązała się niebezpieczna gorączka, do której przyczynić się też musiało uderzenie w głowę, gdy bezwładny padał na ziemię. Brant nie wiedział co począć z przybywającym mu chorym, a miarkując, że go do Dormundowej odwieźć nie można, zabrał go najprzód do siebie, potem z wielkimi ostrożnościami przewieziono go w powozie zamkniętym, noga za nogą, unosząc na rękach, na ulicę Trocką. Tu kilka tygodni Szarski był w istotnym niebezpieczeństwie; ale Brant od razu powiedział, że chyba coś nadzwyczajnego się w to wmieszało, inaczej młode siły natury przemogą wszystko i Stanisław zdrów być musi. Ledwie nie dnia i godziny naznaczonej przez niego, Szarski oczy otworzył i przytomność odzyskał.

Dowiedział się także, iż Karolek był znacznie lepij, ale odkrycie w nim symptomatów suchotniczych matkę jego zabiło na duchu... Straciwszy w ten sposób męża i córki, wiedziała nieszczęśliwa, że z téj choroby syn jój już nie wstanie i uleczonym być nie może. Pragnęła więc tylko przedłużyć to życie, które

było więcj niż własnym jój żywotem; odrzuciła książki, odsunęła wszelką pracę, i we łzach siedziała nieodstępna przy dogorywającym dziecku.

Karol bowiem, choć najpilniēj nad nim czuwano, nieznacznie coraz słabiał, podnosił się nieco i znowu zapadał. A jakby przerwa w dawnym sposobie życia zaszkodziła mu jeszcze, widocznie codziēn opadał na siłach.

Brant pocieszał, ratował, robił co mógł, ale jak było skłamać przed matką, którēj każdy symptom choroby przypominał śmierć męża i córek! Obraz to więc był powolnego konania i boleści liczącēj godziny, które pozostawały jój jeszcze.

Trudniēj Szarskiemu było zapytać o Sarę i wybać co się z nią stało; ale dnia jednego, gdy sam na sam był z Brantem, uzbroiwszy się w pozorną obojętność, niby przypadkowo go zagadnął:

— No! a pacjentka pańska?

— Jakaż to? jaka? rzekł Brant, niby nie chcąc go zrozumieć—która?

— A kupcówna?

— Córka Dawida Białostockiego? obojętnie odpowiedział stary, dopomagając sobie otwieraniem skrzypliwem tabakierki. No! zdrowa! zdrowa!

— Jednak, zdawało się... panu samemu...

— Tak, zdawało mi się; ale to tylko było coś lekkiego, kobiecego, nerwowego... Rodzice spostrzegli, że nadto wyegzaltowali dziewczynę; ale ją teraz za mąż wydają... ślub nastąpi w tych czasach,—to będzie dobre antidotum.

Szarski nie śmiał pytać więcj. Skoro mu jednak wyjść pozwolono, wybrawszy się na Łotoczek, bo czuł, że obowiązkiem jego było nie odstępować bied-

nój wdowy — nie mógł wytrzymać, żeby nie przesunąć się przynajmniej przez Niemiecką ulicę. Przed kamienicą Dawida zwolnił kroku, zatrzymał się, i znajomego dobrze Żydka sklepowego zapytał:

— Jak się tam mają u was?

— Nu! chwalić Boga, zdrowi!

— A Sara?

— Czemu nie ma być zdrowa! Ona tylko tak delikatna jak generalska córka! Tych dni sprawiają jej wesele.

Staś spojrział w okna, ale wszystkie były czarne i puste. Serce go odejść nie puszczało, tęsknota ogarniała i niepokój; przypominał sobie, że widok jego możeby odżywił już trochę przygasłe wspomnienia, i choć z boleścią, oddalić się musiał. Każdy krok od tych okien kosztował go wiele; szedł, wstrzymywał się, powracał, nareszcie co sił biedz począł, ażeby przemódz siebie.

Na Łotoczku zastał Martę w bramie, ciszę na podwórzu i smutek jak u trumny. I tak nigdy tu nie było wesoło, a teraz już myśl śmierci pokryła całunem ten biedny domek wdowi i sierocy.

W pokoiku Karola leżał chłopak na łóżku blady, ale z ognistemi oczyma, z życiem podnieconém i gorączkowém; u nóg jego, zapatrzona w twarz dziecięcia, siedziała nieszczęśliwa matka. W koło Karolka rozrzucone wały się ostatnie dla niego zabawki, ryciny, książki, skrzypiecza, na której grać się uczył, papiery, ołówki, wszystko, co tylko serce matki na osłodę chwil jego ostatnich wynaleźć mogło.

Smutny to był i rozdzierający widok.

Dormundowej lzy zaschły na zecerwieniłych od płaczu powiekach, z pod których śledziła uciekające życie;

patrzała, słuchała oddechu i marła z synem razem. Stanisław choć oznajmiony i poprzedzony wieścią, wszedł ostrożnie, po cichu. Ży mu się zakręciły w oczach, gdy Karolek na widok jego żywo się poruszył i obie ku niemu ręce wyciągnął.

Zatamowane lzy puściły się znowu z oczu matki, która z niemi uciekła; musiała się bowiem dla dziecka taić z boleścią i udawać wesele.

— A! jakżem ja szczęśliwy, żeś ty powrócił! zawołał Karol. A! jam ciebie tak bardzo, tak bardzo potrzebował! Ale ty, byłeś chory?

— Byłem niezdrow trochę.

— Aleś już zdrow, już zostaniesz z nami, nie prawdaż?—I Karol spojrział na drzwi niespokojnie.—Zobacz, dodał po cichu: czy nie ma tam mojej matki? Pilno mi pomówić z tobą, a boję się, żeby nas nie słyszała.

Szarski obejrzał się. Dormundowa poszła była płakać do ostatniego pokoju, zkąd jej szlochania słyhać nie było.

— Wiesz, rzekł Karol żywo, ale głos zniżając: ja mam suchoty! Ojciec mój, dwie siostry poumieraly z nich, i ja umrzeć muszę!

— Ale co ci się marzy! przerwał Stanisław bledniejąc.

— Tak jest! O! chce mi się żyć... Bóg jeden wie, jakbym pragnął żyć dla niej,—ale to próżno, próżno muszę umierać! Kiedym jeszcze był zdrow i nie nie pozwalało się domyślać, że i we mnie jest zaród śmierci, opowiadała mi nieraz Marta o chorobie ojca i siostrzynek... to słowo w słowo moja! Ale zdaje mi się, że matka spokojna, że ją pocziwy Brant nadzieją kołysze, że się niczego nie domyśla... nie trzeba, by za

wczasu cierpiała. A! nie to umrzeć jeszcze; ale ją tak samą, samą! sierotą na świecie zostawić! O! mój Boże!... Cała moja nadzieja w tobie Stanisławie.

— Mój drogi, nie trąp się takimi myślami.

— Na co te kłamstwa ze mną? już ja wiem co mnie czeka! O! żebyś ty mógł zajrzeć, jaka walka we mnie! Życie mi się śmieje, czuję niezmierną siłę jego w sobie, nie mogę w śmierć uwierzyć, a wiem, pewien jestem, że prędko, bardzo prędko umrę! Czasem z rana wstając, gdy wypocznę, myśl ta o śmierci niechybnie wydaje mi się przywidzeniem, a potem spostrzegam, że tylko pragnienie życia mnie oszukało! Siły lecą ze mnie, opuszczają, codzień słabszym się czuję... niknę... A! co ona pocnie sama!

Karolek otarł pot z czoła i westchnął.

— Słuchaj, rzekł do Stasia, który drżał ze wzruszenia: ty musisz mnie przy niej zastąpić; ty ję będziesz synem... Ale ty pewnie suchot nie masz? bo to byłoby okropnie!

— Dziecko kochane... uspokój się, nie nękać temi przywidzeniami; ty żyć będziesz...

— Nie, o nie! zawołał Karol, potrząsając bladą główką. Ty mnie zastąpisz; ty ję potem powiesz kiedyś, że ja widział z daleka przychodzącą śmierć, ale nic o niej nie mówił, ażeby ję nie straszyć; ty ję powiesz, że ci polecił czuwanie nad nią; ty zostaniesz ję synem. A! na całym świecie nikogo! cztery groby! cztery tylko mogiły! i cisza! i cisza!... A! jak ona to wytrzyma!

Stanisław ściśnieniem ręki biednemu chłopcu dał znać, że matka nadchodzi,—a Karol począł coś zaraz mówić wesoło. Dormundowa też z twarzą wyjaśnioną

wysiłkiem woli, ukazała się uśmiechnięta prawie. Oboje witali Stanisława, a Karol przez pocziwe oszukiństwo, rozpoczął rozmowę o blizkim swym wyzdrowieniu, o dogonieniu współuczniów, co go wyprzedzili, o przedmiotach obojętnych. Cały wieczór zszedł na pogadance dziwniej a ciężkiej, pod której tłem lekkiem tyle było boleści, tyle groźb na jutro!

Ułoża Karolka rozpoczął na nowo Szarski życie poświęcenia i pracy.

Kto z was lat kilka ślęczył nad książkami zapierającymi mu wrota życia, i niecierpliwem okiem mierzył tę przestrzeń, która go dzieliła od świata i jego upragnionej swobody,—ten pojmie, czém jest ostatnia lekcja godzina dla wyzwającego się akademika, czém egzamin ostatni, otwierający mu szeroko bramę, i pożegnanie z twardą ławą studencką.

Pragnie się tej godziny, o! pragnie,—a gdy wybije nareszcie... smutek ogarnia serce i nagły żal... rozbójnik chwytą za piersi... Któż wie co tam czeka na progu nowego naszego życia! a ile tu się rzuca niedzyskanych, cichych, niedorównanych rozkoszy!

Ta garść młodzieży, którą związała przyjaźń, codzienne zbliżenie, jedność myśli i nadziei, ta święta wiązanka ludzi, rozpręga się na wieki wieków. Każdy z kijem pielgrzyma, jak na rozstajach podróży, odchodzi w swoją stronę, a choćby chciał spotkać znów tych, z którymi najlepsze lata przepędził, kto wie czy potrafi?

A gdy po lat dziesiątkach, po skosztowaniu losów

nowych, co włos jasny przerzedziły na skroni lub poproszyły siwizną, dłoń namulały pracą, oczy wypiekły łzami, spotkają się ci, których serca były uczuciem jedném tak zgodnie, któż wie, kto wie, czy się serca poznają, czy poznają oczy i ścisną dłonie? Najświętsze nawet i najczystsze węzły świat rozerwać umie, najlepsi się psują, a najtwardsi mieniają. O! jutro, jutro! straszliwe słowo! bo któż zakrytą jego twarz odgadnie?

W stanowczych chwilach, nawet przy największej nieznajomości warunków ludzkiego bytu, jest jakieś ich przecucie, i ta młodzież, co wyskakuje z ławy równemi nogami w przepaść, choć przyrzeka sobie wierność na jutro, choć pragnie spotkania, jakoś niebardzo w nie wierzy. Drżą dłonie, płaczą oczy, serca biją przyspieszonymi uderzeniami... kiedyż, kiedyż to my się zobaczymy?

— Prędko! mówią usta.

— Może nigdy! szepcze serce.

W chwili gdy się na zawsze rozstać mieli towarzysze, których los związał przyjaźnią, postanowili pożegnać się uroczyście, ślubując sobie pamięć i podając ręce raz ostatni, z uczuciem młodem jeszcze. Bogatsi chcieli, by ta uczta odbyła się ich kosztem i była prawdziwą orgią akademicką, któraby się wyryła na wieki w pamięci, nie tylko jako chwila rozstania, ale jako chwila ozłoczonego poezją lat dwudziestu szalu. Zamówiono więc salę u Nowickiego składkowemi pieniędzmi i bankiet na dwadzieścia kilka osób. Bankiet! bo dla tych, co lat kilka często doświadczali głodu, dobry obiad szlachecki już na ucztę zakrawał. Łatwo im było kupić ucztę Sardana-pala! Prócz akademików świeżo wyzwolonych i ustop-

niowanych, z różnych oddziałów uniwersytetu, zaproszeni byli niektórzy professorowie, pocziwy Hipolit i znajomy nam doktor Brant.

Około godziny trzeciej z południa gospodarze stanęli u drzwi salonu, wśród którego lśniący od porcelany i kryształów stół wyciągnął się umajony kwiatami i zielonemi liśćmi ubrany, poczynając witać przychodzących gości.

Oprócz Korczaka, który istotnie wdział suknię duchowną, i jako seminarzystą na pożegnalnym obiedzie znajdować się nie mógł, zeszli się tu znowu ci wszyscy, których los zebrał był już raz w karczemce pod Wilnem; ale ileż to zmian zaszło od czasu jak ściśnięci w lichéj budce jechali do grodu Gedymina! Bazylewicz, który szedł do Wilna dziurawo i wytarto, miał minę wesołą, głos wodza, ubranie wytworne od najpierwszego krawca i kieszeń dobrze nabitą, dzięki prenumeracie. Bolesław Mszyński utył ogromnie, a że na niego spadała jakaś successya i mógł sobie pozwolić najadać się do sytu, zaczynał już nabierać brzucha, a do twarzy przyrastał mu drugi okragluchny i rumiany podbródek. Szczerba przeciwnie wychudł, wymizerniał, żółkł egzaminami zmęczony, i oczy mu straszliwie zapadły. Michał Żryłło, ulubieniec, *arbitr*, ale nie *elegantiarum*, bo wszystkich sporów młodzieży, i wyrocznia ich w potrzebach praktycznego życia, miał minę wesołą, rażną, rozrósł się tylko, opalił, zczerniał, zresztą nie zmienił serca ani twarzy. Szarski nareszcie, owa Piwonia szkolna, z blademi dziś policzkami, z okiem zamgloném lżą ciągłą, wysoki, chudy, smukły, widocznie dorósł do cierniowego wieńca, który już nosić poczynął. Na nim widać było dobrze lata pracy: zdawało się, że mu czoło urosło, że rysy

twarży przeszły w typ idealniejszy. Uśmiech wywołany siłą zjawiał się na jego ustach na chwilę, ale gasł jak te iskry, które tleją w popiele bez węgla, i rozdmuchane błyskają tylko, by zamarznąć. Nigdy wesołość jego nie przybierała już tej cechy niepamiętnego na jutro dziecinnego rozweselenia, które raz wygnane z serca nigdy już nie powraca. Widział życie jak było, pasmem bojów, utrapień, bez nagrody tutaj, śmieszną jakąś maluczką parodią czegoś większego, przez bardzo miernych odegrywaną aktorów. On i Bazylewicz, obaj poeci w mniemaniu ogółu, byli jak dwa bieguny przeciwne, różnemi istotami. Tamten utył, wyświeżał, rozrósł się na chlebie literackim, ten zsechł i zwiędniał; jednego podtrzymywała duma herkulesowa, drugiego palił wewnętrzny ogień poezji.

Byli tam obok i inni, nieznajomi nam, najróżniejszych charakterów młodzi ludzie, stanowiący tkaninę różnobarwną a świeżą, mającą służyć za wątek przyszłemu społeczeństwu.

Był świeżo wyzwolony prawnik z wytartemi łokciami, w wyszarzanym mundurku, wybierający się na służbę do stolicy, z której miał wrócić później elegantem i znakomitą figurą; młody artysta pełny nadziei Włoch i Rzymu, za kilka miesięcy mający się ożenić, by zgnić na miejscu i talent na fraszki zmarnować; mędyk jadący służyć na Kaukazie; inny wesoło wiążący tłumoczek do Astrachania; trzeci co się wybierał pod komendę Dupuytren'a dokazywać cudów na nieszczęśliwych kalekach... al i wielu, wielu jeszcze... Na pierwszych miejscach *honoratiores*, siedzieli professorowie; przy nich Hipolit, zawsze wesoły, jakby nie przeczuwał w przyszłości nic gorzkiego; dalej uczniowie ubożsi, zaproszeni jako goście; a na szarym końcu ci, co gos-

podarowali i płacili. Bazylewicz naturalnie zasiadł tuż przy professorach, rozparł się, i traktując swoich mistrzów wczorajszych na stopie równości, zabierał głos z właściwem sobie zuchwalstwem i deklamacją.

Szarski milczał... jemu ciężko było na sercu, bo kończące się nauki, wyzwalając go, zmusiły myśleć o sobie, o obiorze stanu, o chlebie, a codzień widoczniej przekonywał się, że to, co z serca płynie, chleba nie rodzi.

Pierwsze chwile tej uczty smutne były jak stypa, choć je wszyscy pragnęli rozweselić, dorzucając każdy po szczypcie konceptu do leniwiej rozmowy.

— A cóż u licha! ozwał się nareszcie podnosząc się z kielichem w rękę Hipolit: czyśmy to już tak starzy, że zamiast chwytac godzinę wesela, wcześniej się dławimy jej ogonem? Do kielichów! po staropolsku! *bonum vinum laetificat cor hominum!* łacina nie tęga, ale zdanie przedziwne... Czołem mistrzom i wodzom! professorów zdrowie!

Na to hasło runęły stołki, brzękły kielichy, pobiegli wszyscy do kilku osiwiiałych nauczycieli, krzycząc, wołając: *Hura!* i *Vivant!*

— Nie! głośnij od innych wlaższy na krzesło za-protestował Mszyński: *Veto! veto!* Któż tak zdrowie pije? Wszystkich razem? co to znaczy? Chyba to tylko summariusz rozdziałów i przedmowa dzieła? Inaczej nie przyjmuję zdrowia professorów, tylko pojedynczo każdego!

— A zatem, jako przedmowa tylko, zdrowie wszystkich razem!

— Zdrowie... przedmowa! zawołano zewsząd; a najstarszy z nauczycieli podniósł się z podzięką.

- *Silentium!* stuknął o stół Bazylewicz.
- Cicho! powtórzyli drudzy.
- Panowie, odezwał się professor ze łzami w oczach:

żał nam was żegnać, choć wesoło wam odlecieć! Pijcie zdrowie nasze, przyjmujemy je. Ale nie dosyć szanować w nas przewodników: cześć istotną wyrządzicie nam, wyprzedzając tych, którzy zostać muszą na drodze, wlokąc się po niej o kiju! Z jednej strony szacunek i cześć tradycyi, pracy poprzedników; z drugiej niech was zapala żądza więcej coś zrobić niż oni, wyszukać drogi nowe, odkryć z kolei choć cząsteczkę prawdy, wdrapać się wyżej na stromą skałę wiedzy ludzkiej! A zatem, za zdrowie odpowiadamy życzeniem, byście nas przeszli, byśmy się wam kiedyś dziwić i poklasnąć wam musieli. Kto stanie na tej drodze, ten się cofnął, kto spoczął, ten jak ów na Mont-Blanc'u podróżny, zechce usnąć i zamrze na wieki! Do góry! do góry, żywo! nie żałując nóg, mości panowie!

— I jeszcze jedno! przerwał nauczyciel drugi: ja mówię w imię serca, gdy kolega mówił w imię nauki. Starzejcie się rozumem, dojrzewajcie wyobraźnią, wyrabiajcie wolę silną, ale bądźcie sercem młodzi na wieki wieków, amen!

— Amen! krzyknęli wszyscy wielkiem echem.

— Młodzi bądźcie, dodał nauczyciel: szlachetnością uczucia, niepamięcią na siebie, gotowością do ofiary i miłością ludzi!

— Amen! amen! powtórzyli uczniowie z zapalem.

— Zdrowiel zdrowiel! I poszły toasty szeregami, a w miarę jak wino rozpowsiadało myśli i wzmagalo serce, zapalały się oczy, rozwiązywały usta, szmer, gwar, krzyk, śmiechy i tłumna rozmowa zawrzała.

Każdy mówił co myślał, ale niestety! najwięcej z nich już tylko o sobie, o swęj przyszłości, o swoich rozprawiali nadziejach! Bazylewicz tworzył epopeję z przyszłości, Szczerba się nią niepokoił jak zadaniem nie wiem tam którego stopnia, Mszyński układał życie wiejskie nakształt filantropijnej sielanki, Żryłło gotował się do roli pośrednika i sługi w obywatelstwie; jeden Szarski nie stęknął ani wzdychał do jutra, ale też milczał uparcie. Wstawał z pełnym kielichem i z pełnym prawie usiadał; łączył swój głos serdecznie z innymi, ale sam go ani razu nie podniósł.

Aż Hipolit chwycił go wreszcie rubasznie za szyję, i po swojemu wstrząsnął nim, krzycząc:

— Zdrajca! panowie! zdrajca! Szpieg bestya! ani się śmieje, ani je, ani pije, ani gada, siedzi mrukiem, a może jeszcze kpi w duszy z pocziwych ludzi... powiesić go na...

— A! do dyabła! nie ma na czém, przerwał Szczerba: choć stryczek zrobilibyśmy z serwety.

— Utopić go w kieliszku! zawołał Mszyński.

— Większość za utopieniem, powtórzyło kilku: niech ginie w portrze lub szampańskiem winie; zostawimy mu wybór rodzaju śmierci.

— Tak! tak! ale bez przebaczenia śmiercią go ukarać, począł Hipolit. Trujesz nam sobą ucztę weselną; hulaj z nami, lub wypowiadaj się bratku!

Szarski już miał w głowie kieliszek wina.

— A! towarzysze kochani! zawołał: chcecie nalać z próżnego, gdyście z moich ust zażądali wesołości! Zkądże ja jęj wam wezmę? Jest to jakbyście zapragnęli upoić się atramentem; otruć się nim można, upoić niepodobna!

— Idź do licha z atramentem! krzyknął Bazyle-

wicz: jeszcze nam ten napój studencki przypominać będziesz! upoić go! upoić!

— Zgoda! zakrzyknęli wszyscy: niech się upije!

— *Vox populi, vox Dei!* dodał ktoś z boku.

— Mocą nam daną przez wino i wódkę wypitą, skazujemy cię—odezwał się wstając uroczyście i rękę wyciągając wyprostowaną ku winowajny Hipolit—skazujemy cię na sześć kieliszków szampańskiego.

— Na Boga! zawołał Szarski: to się spiję!

— Właśnie nam tego potrzeba, odparł sędzia. Potem zmusimy cię improwizować.

— To najprędzej zaimprowizuje mi ból głowy, panowie!

— Wyrok stanął... lub za kołnierz!

— Kołnierz, to u mnie rzecz droga, nie mam drugiego... westchnął cicho Szarski.

— Niech pije! zawrzeli wszyscy już dobrze podochoceni: jeśli nas kocha niech pije! Każdy z nas wypił już najmniej po sześć kieliszków; niech się zrówna z nami... cóż to, my mu służyć mamy za Iłotów?

— Niech pije! powtórzył chór, i zewsząd zbiegły się kieliszki, a poczęto tak naglić, tak naglić, tak naciskać, zaklinać i prosić, że biedny Stanisław podniecony, odurzony, nie chciał się dłużej opierać, i wstał zarumieniony z pierwszym kielichem w dłoni.

— To za zdrowie wasze—rzekł—mistrzowie nasi! Czołem wam! czołem wam, coście zasieli w nas nasiona, za których wzrost odpowiadamy! Wielkich siewców przyszłości!

I wypił.

— To drugi toast... cześć nauki poświęcony! Niech na wieki przypomina, żeśmy jęj winni rozwicie nie tylko głowy, lecz i serca. Z pocziwój głowy płynie stru-

mień nieprzerwany w pierś, by z serca nazad ku nięj odpłynął.

— To trzeci toast: uczuciom młodzieńczym! młodości serca i myśli! Nie starzejmy się bracia! a gdy sucho zatrzaśnie się za nami wieko trumny, niech nas z wiankiem dziewictwa na skroni pokryje.

— To czwarty: szkolnej przyjaźni! Idźmy wierni jęj, wierni pamięci lat młodych, w świat nowy! A każdy na piersi niech powiesi imiona towarzyszków swoich jak talizman... Imiona te niech mu przypominają cnoty towarzyszków, bo każdy z was miał jakąś.

— Ale ba! zaprotestował Mszyński: ja swojej nie widzę; jem dobrze, to prawda.

— I ostatnim kęsem dzielisz się z drugimi, odparł Szarski.

Wszyscy poklasnęli.

— To piąty!

— Piątego zdaje mi się nie stanie, szepnął Bazylewicz.

— Przepraszam!

— Nie przerywać!

— Piąty naszemu staremu grodowi, ulicom i murom pocziwego Wilna i jego zacnym mieszkańcom! Gdzież znajdziemy serca, coby żywszą przyjęły nas wędrowców sympatyą?

Podniesiono z hałasem kielichy do góry.

— A szósty toast rozstania, zawołał rozogniony poeta: toast żalobny, toast zakrytemu jutru! które stoi na progu téj sali obwieszone ciemnościami. *Deo ignoto* doli naszój!

Te słowa wymówił z takim uczuciem głębokiego smutku, z taką jakąś przerażającą siłą, że wszyscy

zdrętwieli, a niejedno oko zwróciło się ku drzwiom, jakby istotnie na progu okazać się miało widmo czarne.

Doktor Brant, który dotąd siedział cicho, podniósł się dopiero z kielichem, nasypawszy węń przez roz-targnienie niemało tabaki.

— A co ci do jutra? wieszczu-poeto! a co ci do tego jutra? Jutro idzie, ale w różach i kwiatach, z rogiem obfitości w dłoni.

— Z rogiem! a nuż się pożenimy! przerwał Hipolit.

— Róg Amaltei, począł Brant.

— Chociażby, zawsze to znak niedobry.

— Dość, że szósty wypiwszy kieliszek, niech siada ten, co wypił już toast jutra, a nam dozwoli kończyć w nieoględności naszej. Jako medyk, proponuję *zdrowie zdrowia, katechochen!* niech wam przyszłość ze swęj skarbnicy niewyczerpanej da jak najlepsze żo-łądki, jak najsilniejsze płuca, jak najdzielniejszy mózg, *et caetera, et caetera!*

— *Vivant et caetera* doktora Branta! przerwał Mszyński, i z hukiem niezmiernym, olbrzymim, aż się sala zatrzęsała, a słudzy wlecieli przerażeni, wychylono toast nowy.

— Panowie dobrodzieje, rzekł zbliżając się jeden ze sług z miną zakłopotaną: tu obok obiada je książę Jan... hrabia P... prezes X...

— I kto więc kochanku? zainterpellował Bazylewicz, podnosząc się z dumą.

— Nikt więc... nie wiem... ale ten hałas, przepraszam panów... Książę Jan się uskarża...

— Powiedzże od nas księciu Janowi, żeby sobie mitrę na uszy nasunął, to mu hałas wadzić nie bę-

dzie... lub jeśli chce, poszlemy mu funt bawełny, bo mitra podobno dziurawa... I ruszaj pókiś cały!

Sługa zniknął jak zmyty.

— A! książę Jan! rzekł Bolesław: obchodzi tu wi-dać jeden z dni i jedną z uczt swojego wesela...

— Alboż się ożenił? spytał ktoś drugi.

— Najniezawodniej, tydzień temu.

— Z kim? z kim?

— Ale ba! z panną Szarską, podobno kuzynką pa-na Stanisława.

Stanisław począł szukać serwety pod stołem, i mo-że tego nie słyszał, a rozmowa się urwała, by za chwi-lę żywszą się jeszcze obudzić.

— A słuchajcie-no panowie, zaproponował Żryłło: gdybyśmy napisali na karcie zdanie wielce nam pa-miętne, z czasów nianiek naszych: „Mądry głupiemu ustąpi!“ i pojechali dokończyć rozpoczętego dzieła w Tivoli.

— Zgoda na Tivoli! zawołano: ale kto uciecze, ko-rzystając z tej zawieruchy... wykleły!

— Wykleły! powtórzyły многие głosy, i poczęto co żywo chwytać za czapki, a nikt od dobrego i rozo-choconego towarzystwa nie chciał odstąpić, nawet Szar-ski, który na wpół upojony dawał z sobą robić co chcieli.

Wyszli więc wszyscy w ulicę, siedli na dorożki, i sznurem długim pociągnęli, korzystając z prześliczne-go i już gwiazdani okrytego wieczoru, na Antokolskie przedmieście. Ten szereg dorożek, z których wesoła i donośna rozchodziła się rozmowa, zwracał uwagę prze-chodniów, gdy nagle przed Ś. Janem na zawrocie w Zamkową, zatrzymać się musieli wszyscy.

— Co tam? co tam? krzyczeli jadący z tyłu.
 — Czemu nie jedziecie?
 — Nie można!
 — Dla czego nie można! Wiecie, że tego wyrazu nie ma w dykcyonarzy pijanych.
 — Ulica zapchana... powozy jakież.
 — Cóż? pogrzeb czy wesele?
 — Trudno zgadnąć... coś nadzwyczajnego.
 — Co to jest? spytał siedzący ze Stanisławem Szczerba przechodzącego Żydka, w którym rozpoznał Hersza, dawnego faktora z Trockiěj ulicy. Co to u licha?

— A co ma być kiedy nie wesele? Kupiec Dawid Białostocki wydaje córkę swoją Sarę za bogatego syna kupieckiego... jadą paradą do krewnych... pan widzi... ten kocz... niech pan patrzy... to panna młoda! Co za śliczności i jakie bogactwa! ona ma na sobie za tysiąc dukatów pereł i dyamentów!

Stanisław stanął wyprężony, oczy jego zwróciły się w stronę wskazaną, i ujrzał w bieli, bladą, wpół martwą piękną Sarę, której wzrok nieruchomy wlepiony był w inne dalekie światy... bo nie widziała ziemi... przemknęła się jak zjawisko... tylko w chwili gdy się mijali, zadrżała, poczuwszy zbliżenie niewidzialnego kochanka, odwróciła się, znalazła go magnetycznymi oczyma, krzyknęła głosem zagłuszonym gwarem boleści, a konie uniosły ją dalej w świat, w tłum, w ciemności.

— Stój, rzekł Szarski silnym głosem do Szczerbyja z wami jechać nie mogę, jeśli nie chcecie, bym oszalał. Pozwólcie, zaklinam, pozwólcie mi wrócić do domu!... Miejcie litość nademną.

— Więc i ja chyba powrócę z tobą, rzekł Szczer-

ba: bo samego cię nie puszcę... Zdam ci się, chora duszo poety.

Skinął na woźnicę, cofnęła się nieznacznie z szeregu dorożka, i cicho posunęli się na Łotoczek. Szarski nie przemówił słowa, ścisnął tylko rękę przyjaciela, i oddalając się od towarzyszków, szepnął ledwie dosłyszczanym głosem:

— O! przeczułem czarne widmo przyszłości!

Dziwnie w ich uszach tętniących jeszcze wrzawą, którą opuścili nagle, wydała się odludniejsza, milcząca część miasta, w którą się zapuszczali. Tu życie szło cichym, powszednim trybem swoim... wlokło się raczej leniwo i tęskno. Latarnie płonęły ciemno, postacie przechodzące suwały się powoli, wiatr nawet jakiś smętny znalazł się na samotnym Łotoczku.

U bramy zatrzymali się i weszli pieszo. Fórtka była otwarta; tknęło to Szarskiego jakoś. Nikogo w ganku, drzwi wszystkie na roścież... w izdebkach cisza grobowa. Na palcach wsunęli się do pokoiku Stanisława, sądząc, że Karolek usnął... ale tu widok straszliwy uderzył ich oczy.

Na łóżku jeszcze obrzuconém książkami, nótami, zabawkami chłopięcia, leżał Karol niby uspiiony, ale z twarzą żółtą, woskową pokrytą bladością.

Sen ten był už snem śmierci. Snadź nagle, niespodzianie jak spoczynek przyszedł zgon, zamykając mu oczy łagodnie. Jedną ręką wsparty był jeszcze na dłoni, druga wyciągniona leżała na pościeli. W pokoiku nic nie tknięto, nie poruszono.

Tylko na podłodze, u łóżka, martwa na poły, skostniała, bez łzy w oku, z zaciętymi ustami, z załamaniem rękoma... leżała matka nieszczęśliwa... W tej drgała jeszcze resztką życia, ale go i tam niewiele

pozostało... siły nie miała ani na krzyk, ani na łyż narzekania.

Ujrzawszy dopiero Stanisława, który otrzeźwiony widokiem osłupiał.. podniosła się jak posąg dźwignięty sprężyną, i wypreżoną ręką wskazawszy trup dziecka, z ogromnym, straszliwym krzykiem, upała...

Taki widok spotkał poeetę na progu nowego życia.



(Dokończenie w tomie siódmym).

